

estelle laure

# Na przekór WOCY

czasem trzeba zstąpić w ciemność,  
by odnaleźć w sobie światło

Na przekór  
NOCY

estelle laure

# Na przekór NOCY

Przekład: Zuzanna Byczek



Tytuł oryginału: *This Raging Light*

Redakcja: Ewa Holewińska

Skład i łamanie: ALINEA

Projekt okładki: Joanna Wasilewska

Zdjęcia na okładce:

Zdjęcie dziewczyny: Copyright ©Aleshyn Andrei

Zdjęcie ptaków: Copyright © Mrs. Opposum

Fragment wiersza „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy”  
Dylana Thomasa w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Copyright © 2015 by Estelle Laure

Polish language translation copyright © 2016 by Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

**ISBN 978-83-7686-469-3 (e-book)**

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna  
ul. Kazimierzowska 52 lok. 104  
02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://youtube.com/wydawnictwojaguar)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://facebook.com/wydawnictwojaguar)  
snapchat: jaguar\_ksiazki

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# *Spis treści*

Dedykacja

Dzień czternasty

Dzień dwudziesty siódmy

Dzień dwudziesty ósmy

Dzień dwudziesty ósmy

Dzień czterdziesty dziewiąty

Dzień pięćdziesiąty

Dzień pięćdziesiąty trzeci

Dzień pięćdziesiąty czwarty

Dzień sześćdziesiąty pierwszy

ZTZ (Zanim Tata Zwariował)

Dzień sześćdziesiąty pierwszy

Dzień sześćdziesiąty drugi

Dzień sześćdziesiąty siódmy

Dzień sześćdziesiąty dziewiąty

Dzień siedemdziesiąty pierwszy

Dzień siedemdziesiąty drugi

Dzień siedemdziesiąty trzeci

Dzień pierwszy

Dzień drugi

Dzień trzeci

Wciąż dzień trzeci

Dzień czwarty

Dzień piąty

Dzień siódmy

Dzień szósty

Podziękowania

*Dla moich ukochanych dzieci,  
Lilu Sophii i Bodhi Lux*

## *Dzień czternasty*

**M**ama miała wrócić wczoraj po dwutygodniowych wakacjach. Czternaście dni. Oznajmiła, że musi oderwać się od wszystkiego (czytaj również: nas) i że wróci przed rozpoczęciem szkoły. Przeczuałam, że się nie zjawi – na podstawie treści wczorajszego maila – czekałam jednak aż do rana, wciąż nie tracąc nadziei, że po prostu wpadłam w paranoję, że mój prawie nieomylny instykt tym razem wyjątkowo się pomylił. Ale drzwi wejściowe nie skrzypnęły, deski podłogowe nie zatrzeszczały. Patrząc na ścianę zabarwioną blaskiem wschodzącego słońca, już wiedziałam, wiedziałam aż nazbyt dobrze: zostaliśmy same, Wrenny i ja. Przynajmniej chwilowo. Wren i Lucille. Lucille i Wren. Zrobię wszystko, co trzeba. Nikt nas nie rozdzieli. A to znaczy, że nasze życie musi się toczyć normalnym trybem. Ściśle rzecz biorąc, trzeba mu nadać pozory normalności. Bo normalnym na pewno nie da się go nazwać.

Normalne życie skończyło się wraz z odejściem taty.

Zaplotłam Wren warkoczyki – jak stwierdziła, za ciasno – zrobiłam kawę, śniadanie, drugie śniadanie na wynos dla nas obu, przygotowałam jej ubranie, plecak i zaprowadziłam do szkoły – pierwszy dzień w czwartej klasie – po drodze witając się z wszystkimi sąsiadami i przyspieszając kroku na widok osób potencjalnie zdolnych zdobyć się na odwagę i spytać, gdzie, do cholery, podziewa się moja matka. Przez cały czas towarzyszyło mi dziwne zabawne uczucie, jakbym unosiła się nad ziemią, oderwana od własnego ciała. Tyle że wszystko zrobiłam nie tak. Nie po kolei.

Powinłam była najpierw zaparzyć kawę i przygotować się do wyjścia. Kazać Wren najpierw zjeść, a dopiero potem się ubrać, bo straszna z niej fleja. Tego ranka nagle stwierdziła, że nie lubi tuńczyka („wygląda jak rzygi”), chociaż jeszcze wczoraj wprost go uwielbiała, w dodatku dokonała tego wyznania, kiedy kanapki z tuńczykiem już leżały zapakowane w plecaku i właśnie miałyśmy wychodzić.



Poza tym uporałam się z całą górą prania, złożyłam swoje ciuchy, powiesiłam w szafie rzeczy mamy, a te należące do Wren starannie poukładałam w komodzie. Okazało się jednak, że właściwie nic na nią nie pasuje. Jak to możliwe, że tak urosła w ciągu zaledwie dwóch tygodni? Może dlatego, że trwały całą wieczność?

Te wszystkie czynności zawsze wykonywała mama. Niedostrzegalnie. Ale teraz je dostrzegam. Dostrzegam, że jej nie ma. Że już tego wszystkiego nie robi. Mam ochotę dać Wren kuksańca. Dlaczego nie pyta, czemu mama nie wróciła, czemu wciąż jej nie ma? Czyżby w głębi serca moja siostra też przeczuwała, że tak to się potoczy, że tamta noc, kiedy przyjechała policja, była początkiem, a to teraz jest jedynie koniecznym i nieuniknionym zakończeniem?

Czasem po prostu się wie.

W każdym razie wykonałam wszystkie czynności, które zwykle wykonywała mama. Przynajmniej próbowałam. Ale wszechświat doskonale wie, że tylko gram, udaję, jakbym robiła wszystko według podręcznika – chciałabym taki mieć. Ale kiedy pocałowałam Wren w czubek głowy na pożegnanie, w podskokach pognęła do wejścia. Chyba można to uznać za sukces.

Jest ciepło. Lato jeszcze nie wie, że odchodzi. Szybkim krokiem pokonuję odległość dzielącą obie szkoły, dziewięć przecznic. Kiedy w końcu wpadam do środka, jestem cała spocona.

A teraz siedzę w klasie. Piosenka, którą Wren śpiewała przez całą drogę, jakiś rytmiczny pop, pulsuje w mojej głowie tępym monotonnym bólem. Trochę się spóźniłam na angielski, ale chyba wszyscy przyszli spóźnieni tego pierwszego dnia. Wkrótce będziemy doskonale wiedzieć, co gdzie kiedy, każdy będzie znał przypisane sobie miejsce. Posłuszne stado owiec.

Eden zjawiła się przede mną, zawsze o czasie, zawsze odpowiednio wcześniej, by usiąść tam, gdzie chce. Ramieniem obejmuje oparcie stojącego obok pustego krzesła, na mój widok opuszcza ramię. W tym roku chodzimy razem tylko na angielski, totalna żenada. Po raz pierwszy. Wolałabym podróżować z nią u boku przez cały dzień. Ale przynajmniej szafki mamy obok siebie.

Jest strasznie fajna, lecz fajna w taki Edenowy sposób. Nie. „Chodź, zobacz, jaka jestem super”. Obserwuje, czeka i wszystko widzi. Myśli. Grube płomiennie rude włosy dosłownie spływają na oparcie krzesła, zbroja w postaci skórzanej kurtki jest na miejscu, można by uznać ten strój za nieco

ekscentryczny jak na wrzesień w Cherryville, New Jersey, gdyby nie fakt, że klimatyzacja w budynku szkoły dmucha lodowatym powietrzem, zupełnie jak w kinie. Bardzo żałuję, że nie wzięłam kurtki, żałuję, że nie włożyłam czegoś ciepłego do plecaka Wren, chociaż w podstawówce pewnie nie jest aż tak tragicznie. Zapewne nasza administracja uznała, że za pomocą niskich temperatur da się kontrolować niesforne młodzieńcze hormony czy coś w tym rodzaju.

Błąd.

Kiedy siadam, pan Liebowitz rzuca mi surowe spojrzenie. Bezczelnie przerwałam standardową nudną przemowę na temat nadchodzącego roku, pełną ostrzegawczych uwag, że nie zamierza tolerować żadnych głupot, a fakt, że znaleźliśmy się w ostatniej klasie nie znaczy, że wszystko nam wolno. A może patrzy na mnie w ten sposób, ponieważ wie o tacie. Ludzie gadają, ale Eden i jej skórzana kurtka zdają się tłumić wszystkie głosy. Nie zginę, póki mam ją obok siebie. Zresztą i tak nie bardzo zadaję się z innymi ludźmi. Digby jest jej bratem bliźniakiem, ale to my dwie mamy jeden umysł.

A Liebowitz wygląda jak Pan Rogers, ten poczciwy facet z programu telewizyjnego dla dzieci, więc może sobie do woli groźnie marszczyć brwi, i tak na nic mu się to nie zda. Od razu widać, że to poczciwina, nie może się doczekać, kiedy wreszcie wróci do domu, przebierze się w sweterek i wygodne buty i otoczy czułą opieką rośliny w doniczkach, puści im Franka Sinatrę czy coś w tym stylu. Zresztą zaraz się uspokoi. Zawsze zaczyna od totalnej spinki. Czy można go za to winić? Liceum to prawdziwy dom wariatów. Przydałyby się kraty w oknach i paru ochroniarzy przed wejściem. Ale tutaj to wykluczone.

Eden kopie mnie lekko w stopę i tym samym sprowadza z powrotem do tu i teraz. Tu i teraz naprawdę mi się podoba, więc oddaję, zastanawiając się przy tym, czy dotykanie się pod stołem stopami z najlepszą przyjaciółką należałoby zaklasyfikować jako „głupoty”.

– Obiad – szepcze.

– Wren – odpowiadam, również szeptem. Wzruszam ramionami.

Moje spojrzenie, wbrew intencjom, mówi jej wszystko na temat mamy i naszej obecnej sytuacji.

Potrząsa głową.

– Sucz – mówi.

Znowu wzruszam ramionami, próbuję na nią nie patrzeć.

– Weź Wren. Moja mama najchętniej nakarmiłaby cały świat.

Kiwam głową.

– Digby też będzie. – Ponownie kopie mnie w stopę.

Zapadam się w sobie, w ciszę. Patrzę na cienkie blade wargi Liebowitza, formujące kolejne słowa.

– Cóż, w końcu mieszkacie w tym samym domu – stwierdzam. Megasłabe.

– Drogie panie – mówi Liebowitz tonem melodyjnym i ostrzegawczym. – Nie zmuszajcie mnie, bym was rozdzielił zaraz pierwszego dnia.

*Życzę powodzenia, mam ochotę powiedzieć. Idź nakarmić rybkę i podlać paprotki. Włóż trampki i sweterek i daj mi święty spokój.*

„Taki piękny dzień w sąsiedztwie. Czy zechcesz zostać moim sąsiadem?”, rozbrzmiewa mi w uszach intro do „Pana Rogersa”.

Kiedy podjeżdżamy starą corollą mamy pod dom Eden, Digby gra z tatą w kosza, chcę jak najszybciej znaleźć się w środku, bo istnieje ryzyko, że tu zostanę i będę się gapić aż do wieczora. Na widok taty grającego z dzieckiem w piłkę czuję dziwne ukłucie. Ta scena jest całkowicie prawdziwa, chcę zakryć Wren oczy, żeby nie widziała, co traci.

Teraz mi się przypomina.

– Wren.

– Tak? – Wyciera ręce w koszulkę, na kolanach trzyma książkę, wygląda trochę nieświeżo, włosy ma tłustawe i potargane mimo moich porannych starań. W którymś momencie warkoczyki się rozplotły, Wren przypomina małą dzikuskę.

– Mama długo nie wraca, prawda?

Zastyga. Spina się.

– Aha – mówi.

– Nie chcemy, żeby ktoś jeszcze wiedział. Dobrze? Nawet Janie, Eden, Digby i John.

– Ale mama jest na wakacjach. Wypoczywa. Niedługo wróci.

– Jasne, jasne – odpowiadam. – Ale i tak lepiej nikomu nie mówić, bo mogą nie zrozumieć. Jeszcze coś sobie pomyślą.

– Że zostawiła nas na zawsze? – W głowie Wrenny dzieje się znacznie więcej, niż mi się wydaje.

– Na przykład. Albo że wyjechała na dłużej, niż zamierzała. – Chwytam za kłamkę, by uniknąć wzroku Wren. – Ktoś mógłby tak pomyśleć.

– Ale to nieprawda. Nie zostawiła nas. – mówi. – To nasza mama.

– Ależ oczywiście. – Kłamstwo.

– No to co za różnica, co ludzie pomyślą?

– Wren, po prostu nic nie mów, okej?

– Okej.

– Niektóre sprawy powinny pozostać prywatne. – Otwieram drzwi, pochylam się w stronę Wren i pocieram kciukiem jej zasyfioną koszulkę, bez większego efektu. – Jak wyjazdy wakacyjne naszej mamy. To jak?

– No, powiedziałam okej. – Wysiada i czeka, patrzy na mnie, jakbym była najbardziej irytującą osobą na świecie. – Hej, Lu?

– No? – Szykuję się na to, co zaraz nastąpi.

– Twoja stara jest taka gruba, że jak wyszła z domu na obcasach, to wróciła w klapkach.

Mam chęć powiedzieć, że nie cierpię jej nowej fascynacji dowcipami na temat grubasów, ale nie chcę dłużej tak stać, więc śmieję się bez przekonania i ruszam w stronę wejścia. Chcę jak najszybciej znaleźć się w środku, również z powodu tej drugiej rzeczy. Przez „drugą” rozumiem tę, z powodu której właśnie cała się pocę. A przez „rzecz” rozumiem Digby’ego, którego znam od siódmego roku życia, lecz który od pewnego czasu robi ze mnie totalną nieogarniętą debilną debilkę, przygłupa na cały regulator. Zapytaj mnie w jego obecności, jak mam na imię, a zapewne nie będę w stanie odpowiedzieć. Pewnie tylko wybełkoczę: „Lllll... llllllu...” i trzeba będzie wytrzeć ślinę ściekającą mi po brodzie.

Wiem. To nie jest ani trochę atrakcyjne.

No, ale. Wysoki, spocony i bez koszulki, mięśnie prezentują się w całej okazałości. Może nie do końca można powiedzieć, że lśni, ale jest biały, niesamowicie biały, a od słońca tylko dostaje piegów i teraz, po lecie spędzonym na powietrzu, jest nimi pokryty od stóp do głów. I kiedy patrzę na włosy przyklejone do czoła, na długie smukłe ciało, na ruchy, kiedy wymija ojca, by wrzucić piłkę do kosza, mam ochotę paść na kolana, wykrzyknąć: „Panie, zmiłuj się nade mną, Alleluja”, pisać sonety i namalować jego portret, i czcić to miejsce, w którym szyja przechodzi w bark, absolutnie doskonałe miejsce.

Jest piękny.

I właśnie dlatego, kiedy go mijam, a on mówi: „Cześć”, ledwo raczę zareagować. Istnieją dwa główne problemy, nie licząc faktu, że jest on bratem bliźniakiem Eden, co wydaje się wystarczająco dziwne. Po pierwsze, od

zarania dziejów chodzi z tą samą dziewczyną. Są sklejeni na stałe, ona pożyczka od niego kurtkę, świadectwo ślubu praktycznie już podpisane. Wszystkiego najlepszego na starej drodze życia. Po drugie, nawet gdyby coś się wydarzyło, gdyby na przykład mnie pocałował, to chyba bym umarła, uległa natychmiastowej implozji. Wiem, że zachowuję się jak dwunastolatka wzdychająca do sławnego aktora, a nie jak niezależna i opanowana kobieta, którą przecież jestem, ale przez niego naprawdę tracę głowę. Ma w sobie coś takiego, ten sposób poruszania się, taką samczość – jego widok wstrząsa mną do głębi. Tak więc mam nadzieję, że nigdy nie dojdzie do pocałunku. To byłaby katastrofa. Nie chcę, żeby ktoś widział, jak rozpadam się na kawałki. A już na pewno nie on.

A może przede wszystkim – na pewno nie ja.

Janie, mama Eden, zrobiła pulpety. Nie potrafi gotować dla czterech czy nawet sześciu osób, zawodowo zajmuje się cateringiem i urządzaniem przyjęć, więc w lodówce jest zawsze pełno niedojedzonych przystawek. A jak coś gotuje, to w bardzo dużych ilościach. Sądząc po zapachu, pulpety duszą się na wolnym ogniu od samego rana. Wszystko przesiąkło tą wonią.

Przyglądam się Eden i Janie. Dwa rudzielce, pracujące ramie w ramie przy blacie w wielkiej nowiuteńskiej kuchni, zwrócone do nas plecami. W ich wymarzonym domu wszystko jest idealne, dokładnie takie, jak sobie wymyślili, a kuchnia wygląda niczym przedłużenie Janie. Eden i jej mama są do siebie niesamowicie podobne, tyle że Janie jest bardziej ogarnięta, Eden zaś ma na sobie swój cudaczny strój do baletu, zawsze wkłada go zaraz po szkole, jakby oblekała się z powrotem w prawdziwą skórę. Janie uderza tyłkiem w tyłek Eden. Eden oddaje. Stopy, tyłki. Eden lubi tę zabawę w przeróżnych wersjach. Kroją warzywa na sałatkę, obie chude i energiczne. Razem. Obejmuję ramieniem plecy Wren i przyciągam ją do siebie, w tym samym momencie skacze na nią Beaver Cleaver, goldendoodle, a Janie się odwraca.

– Cześć, dziewczynki.

– Cześć, Janie – mówi Wren i opada na podłogę w towarzystwie BC.

Macham na powitanie.

– Ładnie pachnie – rzuca Wren spod białego futra. – Czy to sos z wódką?

Janie uśmiecha się.

– Sos z wódką? To chyba wyższy stopień wtajemniczenia?

– Food Network – wyjaśnia Wren, wracając do pozycji pionowej. – I bar „U Gina”. Podają tam dobry sos z wódką.

– Cóż. – Janie pokazuje palcem kredens w jadalni, a ja zaczynam wyjmować talerze. – Jestem pod wielkim wrażeniem, Wren. Ale nie, to nie jest sos w wódką. Zwykła klasyczna marinara. Mam jednak nadzieję, że ci posmakuje.

– No pewnie – odpowiada Wren. – Od kilku tygodni żywimy się mrożoną pizzą.

– Nieprawda – wtrącam. Duża przesada.

– Lucille robi wszystko z gotowców.

Przyznaję, w zamrażarce leżał spory zapas pizzy.

– A wasza mama? – pyta Janie. – Przecież nieźle gotuje.

– Mamy nie ma – oznajmia Wren, po czym spogląda na mnie, wzruszając ramionami, jakby mówiła: „No co miałam powiedzieć?”. – Jest na wakacjach – dodaje.

– No tak. – Twarz Janie się kurczy.

– Może chcesz pooglądać telewizję przez obiadem? – proponuje Eden, wchodząc klinem między Janie i Wren.

– Dziesięć minut – mówi Janie, odwracając się z lekkim wahaniem. – Dokończcie nakrywać do stołu, dziewczynki. – Jak miło słuchać czyichś poleceń.

– Wiesz – stwierdza Eden – to chyba trochę porąbana i seksistowska sytuacja: gnieciemy się w tej kuchni jak żywy inwentarz, grzebiemy w garach, a chłopcy grają sobie w piłkę.

– Eden, na litość boską – mówi Janie, wlewając dressing do wielkiej drewnianej miski. – Uwielbiam gotować.

– Jego książęca wysokość mógłby przynajmniej nakryć do stołu. – Szczękają szklanki.

– Powinien spędzić trochę czasu z tatą.

– Powinien też nakryć do stołu. Zrobić coś pożytecznego, a nie tylko zajmować się eksponowaniem cech typowego neandertalczyka. Promujesz i utrwalasz samcze przywileje, wiesz?

– Eden, przygotowuję obiad dla rodziny i czerpię z tego wielką radość. – Głośno wzdycha. – Czemu ja się w ogóle tłumaczę? I chyba można im czasem pozwolić pograć, to żadna zbrodnia.

– Jasne, a kiedy my sobie pogramy? Oto jest pytanie.

Oczy robią się mokre. Oddech jakiś dziwny. Ależ one są durne, żeby kłócić się o takie drobiazgi. Nie wiedzą. Nie mają pojęcia.

– Lucille – mówi Janie nad głową Eden – mogłabyś zawołać chłopaków? Powiedz, że obiad prawie gotowy.

A niech to.

Jak to możliwe, że osoba, która do tej pory stanowiła zaledwie dekoracyjny element wyposażenia wnętrza – może coś w rodzaju ładnego stołu – nagle staje się czymś jak system rur, fundamenty, belka konstrukcyjna, bez której cały budynek się zawali? Jak to się dzieje, że ledwo dostrzegalna gwiazda zmienia się w twoje prywatne słońce?

Jak to możliwe, że Digby jednego dnia był bratem Eden, owszem, bardzo przystojnym, a następnego zapiera mi dech w piersiach, przyprawia o dreszcze, wywraca na drugą stronę? Czy to hormony? Błąd w matriksie? Oznaka skrajnej desperacji i braku osobowości?

Milion razy próbowałam uchwycić moment, kiedy stał się tak ważny, ale bez rezultatu. Wiem tylko, że moje głupie beznadziejne emocje całkowicie uniemożliwiają mi normalne funkcjonowanie w jego obecności i że chciałabym pokonać dzielącą nas przestrzeń i mocno go objąć, i owinać się wokół niego. Chyba rozpląnęłabym się w powietrzu. Idiotyczne.

I dlatego wbijam wzrok w talerz. Uporczywie wbijam wzrok w talerz. Przeżuwam pulpet (chyba dam radę zjeść tylko jedną sztukę), a Eden i Digby przerzucają się uszczypliwymi uwagami. Na szczęście, chyba nikt nie widzi, co się ze mną dzieje. Boję się podnieść wzrok, bo Digby siedzi dokładnie naprzeciwko.

Wren wypchała usta mięsem. Sos kapie na koszulkę.

– O rany – mówi do Janie – jesteś normalnie kulinarnym geniuszem.

Janie promienieje, widzę ją kątem oka.

– Możesz przychodzić do nas, kiedy tylko chcesz – mówi. – Oficjalnie ogłaszam cię swoim ulubionym gościem. – Nadziewa na widelec kilka szparagów, uśmiecha się. – Kulinarnym geniuszem. – Kręci głową. – A więc, Lucille, na jak długo wasza matka wyjechała?

Na zawsze.

– Powinna wrócić za kilka dni.

– Jak ona sobie radzi? – *Od*, chciałaby dodać. *Po*. Janie zawsze wygląda na taką poważną i skupioną.

Wren przekrzywia głowę w moją stronę. Staram się rozluźnić.

– A wy dajecie sobie same radę? – draży Janie.

– No jasne – odpowiadam, również sięgając po szparagi. – Mama niedługo wróci.

Wszystko się zatrzymuje. Ruch przy stole.

– Oczywiście – mówi Janie. Jej widelec robi „tik-tik-tik” na talerzu. – Oczywiście, że wróci. – Wkłada kęs do ust, żuje. – Kilka razy nagrałam jej wiadomość. No wiesz, chciałam tylko sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy. Ale nie odpowiedziała. – Od razu włącza się poczta głosowa. Tak, coś o tym wiem. Widocznie dobrze się bawi. Na pewno potrzebowała wakacji. – W tonie jej głosu jest coś, co nie ujawnia się na twarzy.

Zmuszam się, by spojrzeć jej w oczy. Kiwam głową. Prezentuję słaby uśmiech. Opuszczam wzrok z powrotem na talerz, ale zdradzieckie gały zatrzymują się na Digbym i moje wnętrze wyrusza na szaloną jazdę rollercoasterem. Digby też spuszcza wzrok, nawija spaghetti na widelec i bardzo uważnie słucha, jak Janie opowiada o najnowszym przyjęciu weselnym, na które przygotowuje catering.

Dotykam stopą stopy Eden pod stołem.

On wie o mojej mamie.

Digby wie.

– Wszystkie prawdziwe występki mają początek w niewinności – mówi Eden.

Janie zabrała Wren do kuchni, robią ciasteczka czy coś w tym rodzaju, a my siedzimy w pokoju Eden, która rozciąga się i wygina w taki sposób, że zaczynam się czuć nieswojo, bo ludzkie ciało nie jest stworzone do takich wybryków. Poza tym jej stopy wyglądają odrażająco, muszę odwracać wzrok, kiedy prawie wsadza mi w oko jedną z nich, ale nie celowo, po prostu właśnie wykonuje jakąś zwariowaną sztuczkę akrobatyczną.

– Chore – mówię do haluksa, pękniętego sinego paznokcia i krwawego kawałka skóry.

– Hemingway – mówi Eden, a stopa trzepocze jak motyle skrzydło.

– Serio, powinnaś coś z tym zrobić. Chyba wdała się infekcja.

– Bzdura. Czy ty mnie słuchasz?

– Hemingway – powtarzam, zastanawiając się, czy te słowa w jakikolwiek sposób mogą mi pomóc.



- Nikt nie jest umyślnie beznadziejny. Ani zły.
  - Seryjni mordercy?
  - Chyba też nie. Zaburzenia osobowości komplikują moją teorię, ale musisz pamiętać, że nawet oni byli kiedyś słodkimi bobasami. Nic nie poradzą, że dostał im się gorszy los na loterii genowej. Empatia.
  - Nazwałaś ją suczą.
  - Tak uważam.
  - Że moja matka jest zła? – Czasami wolałabym, żeby powiedziała to wprost zamiast narażać mnie na taki wysiłek.
  - Nie. Nie ona. Jej zachowanie jest złe. Wynika z niewinności.
  - Tak czy inaczej, jest fatalna.
  - Jest fatalną suczą.
  - Ładnie – mówię, ale takim tonem, jakby wcale tak nie było, bo nie jest.
  - Ale i tak mam dla niej empatię. To musi być bardzo trudne. Ale teraz ty.
  - Ja. – Cyfry zaczynają tańczyć w mojej głowie.
- Patrzę w sufit, miejsce nad łóżkiem Eden. „Zważ, co powiem”, głosi fragment papieru przyklejony do sufitu. „Nie ma większego potwora niż rozum”.
- Uwierz w to – mówi Eden, wystawiając do góry paskudny palec u nogi.
  - Muszę siku – oznajmiam.
  - Cormac McCarthy – rzuca Eden, kiedy uciekam z pokoju.

I wpadam na Digby’ego, który zmierza w przeciwnym kierunku, mokry, ubrany w czysty T-shirt i spodenki, widok dziwnie intymny. Przed chwilą był nagi.

Sięga w moją stronę. Jego ręka, która przed chwilą wisiała sobie spokojnie, nic nie robiąc, odrywa się od boku. Obudziła się, dotyka mnie. Lekko przesuwana się wzdłuż ramienia, coraz niżej, ześlizguje po dłoni. Nagle Digby znika. Idzie dalej. Nawet na mnie nie spojrział.

Wpadam na zdjęcie rodzinne. Dziwne, że trzęsienie ziemi w moim wnętrzu nie straciło wszystkich fotografii na podłogę. Skóra płonie. Cała krew napływa do miejsca, którego przed chwilą dotknął.

Wojna.

Walka na śmierć.

Wchodząc do zaparowanej łazienki, niczym na wpół ugotowane zombie, myślę sobie, że czasami pewne rzeczy, które dzieją się bardzo powoli,

zdarzają się bardzo szybko i bardzo trudno uchwycić ten moment, trudno stwierdzić, czy był ważny, czy naprawdę się zdarzył, czy tylko ci się wydawało. Właśnie tak. Czy on naprawdę to zrobił? Czy naprawdę przesunął palcem wzdłuż mojego ramienia? Naprawdę sobie na to pozwolił? I niech to, niech to dwa razy, jeśli dotyk jednego palca potrafi wywołać we mnie taką reakcję, moje poprzednie słowa na temat pocałunku-który-nigdy-nie-powinien-się-zdarzyć należy pomnożyć przez milion-pierdylion.

W miejscu, którego dotknął, została blizna. Formuje się na skórze, wodniście niebieska, lekko lśniąca, jak czasem wyglądają oparzenia. Kiedy skóra wydaje się nowa i zarazem nieodwracalnie zniszczona.

Dramatyzuję.

Spuścić wodę. Umyć ręce. Wyjść.

Eden.

– Co się z tobą, do cholery, dzieje? – spyta, głaszcząc BC, który leży rozwalony na jej kolanach, sapie i dyszy.

Spoglądam na nią.

– Co jest? Brałaś coś? Wpadłaś w K-hole?

Żeby tylko Digby nie usłyszał.

– Ciasteczka! – drze się Wren z kuchni. Najwyraźniej przeszcześliwa.

Znów zasiadamy wokół stołu i pozeramy owsiane ciastka z kawałkami czekolady (oczywiście Eden nie), Digby przemyka przez pokój. Nie patrzy w moją stronę. Żadnej sekretnej komunikacji. Chwyta piłkę, leżącą przy drzwiach, kiwa głową w stronę stołu i znika.

Jest czwarta rano. Mój brzuch trawi pulpet w liczbie jeden, napój z bąbelkami w zbyt dużych ilościach i kilka ciasteczek. Wszystko wskazuje na to, że nie mogę zasnąć.

W prawej dłoni trzymam plik kartek. A na tych kartkach jest dużo cyfr. Rachunki. Elektryczność. Paliwo. Ubezpieczenie samochodu. I kwartalne rachunku, które nagromadziły się w ciągu ubiegłego tygodnia. Woda. Ścieki. No i jeszcze telefon. Ten rachunek koniecznie trzeba opłacić. Jeśli mama w końcu postanowi zadzwonić, telefon musi działać. Potrzebujemy jedzenia, Wren są potrzebne nowe ubrania, mnie zresztą też, chociaż ten punkt możemy przesunąć w bardzo odległą przyszłość.

Prawa dłoń drży jeszcze mocniej.

W lewej – tak, panowie i panie, dziewczęta i chłopcy – w lewej trzymam

błyszczący i nowiutki banknot studolarowy. Dowód na to, że ona wciąż żyje. Znalazłam go we wczorajszej poczcie. Dzięki niemu wiem, że moja matka wciąż stąpa po tej ziemi. Nie doznała urazu głowy. Nie cierpi na amnezję. Nie leży martwa gdzieś w rynsztoku. Po prostu nie ma jej tutaj. Jest gdzie indziej. Studolarowy banknot przyszedł w kopercie bez adresu nadawcy, znaczek wskazuje na to, że wysłała go z Kalifornii. Pewnie spotyka się z dawnymi znajomymi, może odkrywa na nowo własną przeszłość czy coś w tym stylu. Krótka notka: *Próbuję. Kocham was, mama.* To wszystko. Tyle napisała, moi drodzy.

I co te słowa mają znaczyć? Próbuje do nas wrócić? Próbuje poczuć się lepiej? Próbuje znaleźć pracę? Może po prostu chciała nas powstrzymać przed wysłaniem FBI na poszukiwania. Skuteczna taktyka. Chciałabym, żeby w moich ostatnich wspomnieniach pozostała kimś, kogo jestem w stanie rozpoznać, czyje zachowanie potrafię przewidzieć. Chętnie stanęłabym nad nią, wsparta pod boki, mówiąc: nie wystarczy próbować, młoda damo.

Tak, mamó. Ja też próbuję.

Przesuwam banknot przed oczami, dotykam nim rzęs. Dawniej banknot studolarowy byłby bardzo ekscytującym zjawiskiem, obietnicą nieograniczonego szaleństwa w sklepie z zabawkami, czymś, co chowa się na później, kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

Ale teraz jest inaczej. Teraz banknot studolarowy to część wielkiego równania, którego wynik wywołuje u mnie stan totalnego obłądzenia. Wiem, że ona zamierza wrócić. Nie zostawiła karty kredytowej ani czeków, niczego takiego nie znalazłam. A gdyby postanowiła zniknąć na zawsze, na pewno by zostawiła. Nie jest zła, przynajmniej na początku nie miała złych intencji. Ale nie ma jej tu, a ja nie mam nic. Zostawiła tylko samochód i ten dom.

I Wren.

Lewa dłoń zaciska się w pięść.

## *Dzień dwudziesty siódmy*

**S**iedzę w parku. Piękny dzień. Słońce świeci, ptaki ćwierkają, wieje chłodny wiatr. Zawsze marzę, by było więcej takich dni, nie za wilgotnych, nie za zimnych, tutaj to rzadkość. Jest po prostu idealnie. Tylko w środku cała jestem roztrzęsiona, nie mogę oddychać.

Kończy się jedzenie. Przeczesalam cały dom w poszukiwaniu drobniaków. Szukałam w słoikach, pod poduszkami na kanapie, w zakamarkach kieszeni. Zabrałam torbę pełną zakurzonych ćwierćdolarówek, paskudnych dziesięciocentówek i lepkich piątaków i wymieniłam w supermarkecie na dolary. Wyszło bardzo skromnie. Już widzę siebie, jak klęczę przed pracownikiem opieki socjalnej, błagając, by nie odbierał mi siostry, bo tylko ona mi została.

Wren z koleżanką bujają się na huśtawkach, wysoko, śmieją się. Wren bawiła się z tą dziewczynką, Melanie, w szkole, a ja bardzo chcę, żeby czuła się normalnie, więc siedzę tu, chociaż mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Melanie ma warkoczyki ozdobione na końcu małymi koralikami i jest ubrana w różne błyszczące rzeczy, cała lśni. Patrzę na nie z prawdziwą przyjemnością, chociaż za każdym razem, kiedy huśtawka leci do góry, myślę „rachunki”, a za każdym razem, kiedy opada „pieniądze”. Siostra Melanie, Shane, siedzi na ławce obok mnie. Mieszkają tu od niedawna, poza tym do szkoły chodzą dzieci z całego hrabstwa, więc trudno znać wszystkich. Ale teraz nie mam wyjścia, muszę ją poznać. Przynajmniej trochę.

Zadaje mi różne pytania między pisaniem kolejnych esemesów. Dostaje ich całe mnóstwo, więc jest bardzo zajęta, czytając, dużo się śmieje i powtarza: „O-nie-wierzę”. Zagadała do mnie wczoraj. Chciałabym zadawać jej pytania, lecz sama nie chcę na żadne odpowiadać, więc zachowuję milczenie, dłonie trzymam złożone na kolanach.

– Dziesięć minut! – krzyczy do Melanie. – I nie będę powtarzać. – Telefon

wibruje. Shane odczytuje wiadomość. Potrząsa głową. – Faceci są głupi, nie uważasz? Zawsze przychodzą akurat, kiedy ich nie potrzebujesz, i znikają w najmniej odpowiednim momencie.

Uśmiecham się. Potakuję. No jasne, do niej przychodzą. Jest śniada, egzotyczna, pewna siebie, ale przystępna. Wygląda jak obietnica dobrej zabawy.

– Masz chłopaka? – pyta.

– Nie.

– Jesteś lesbijką?

– Nie!

– Homofobem?

– O rany!

Robi sobie jaja. Chichocze.

– Są w pracy?

– Kto?

– Rodzice. To twoja siostra, tak?

– Aha.

– Więc twoja mama jest w pracy?

– Nie. – Dlaczego to powiedziałam?

– To gdzie jest?

Wzruszam ramionami. Moje gardło zaciska się stanowczo za mocno.

– Zostałaś sama?

Mówi to tak, jakby to była najzwyczajniejsza sprawa pod słońcem. Strzela pytaniami w takim tempie, że nie mam czasu się zastanowić.

– Z nią?

Milczę. Wiem, że brak odpowiedzi też jest odpowiedzią, ale nie powiem tego na głos. Nie znam tej dziewczyny, ale coś mi mówi: „Zaufaj jej”. Shane chyba nie przejęła się moim milczeniem, zerka na mnie, szybko. Jest bezużyteczne. Już wiem, że należy do osób, które widzą rzeczy takimi, jakie są. Coś w sposobie, w jaki trzyma głowę.

– Miałam koleżankę, Janine, w domu, znaczy, w Hoboken. Opiekowała się dwoma małymi braćmi. Ale rodzina była na zasiłku. Znaczy, jej mama, i kiedy odeszła, Janine przynajmniej miała pieniądze. Na jakiś czas starczyło. Ale i tak nie było jej łatwo. – Urywa. – Ty też jesteś na zasiłku?

Chyba wystrzełę.

– Chce mi się jeść! – woła Wren. – Pójdziemy do Eden?

Nie, nie pójdziemy do Eden.

– Moja mama pracuje jako pielęgniarka we Flemington. – Shane nawija dalej, jakby nigdy nic. – Dlatego przeniosłyśmy się na to zadupie. Pracuje tylko trzy razy w tygodniu, ale w jakichś zwariowanych godzinach. Głównie w weekendy. – Wskazuje na Melanie. – Więc na mnie spadła ta robota, resztę czasu zajmuje mi praca. Ale nie narzekam. Melanie jest w porządku. – Wyjmuje z torebki paczkę gum do żucia. Podaje mi jedną, a ja przyjmuję, pyszna. – Jak na totalną katastrofę. – Pochyliła się w moją stronę, tryka ramieniem w taki sposób, że normalnie bym oddała. Ale nie oddaję.

– A więc opiekujesz się nią? – próbuję. – Kiedy wasza mama pracuje?

Shane uśmiecha się, jakby wygrała na loterii. To dlatego, że wreszcie wypowiedziałam pełne zdanie.

– Tak, czasem to naprawdę upierdliwie, ale jak musisz coś zrobić, to robisz i kropka.

Nie ma wyjścia, robisz, co musisz.

– No, jak musisz – powtarzam, myśląc o wszystkich rzeczach, które muszę zrobić.

– Strasznie jesteś spięta, wiesz? – mówi Shane, mierząc mnie wzrokiem. – Wyluzuj trochę. – Jeszcze raz mierzy mnie wzrokiem, od stóp do głów. – Masz kasę?

Jestem bliska wybuchnięcia płaczem.

– Mogłabyś poszukać pracy. Znasz knajpę u Freda? Szuka pomocnika kelnerki. Od zaraz.

Jasne. Znam tę knajpę. Wszyscy znają. W każdym większym czasopiśmie można znaleźć recenzje, ludzie przyjeżdżają ze wszystkich stron. Fred jest podobno walniętym kulinarnym bogiem otoczonym wianuszkami cynamonowymi kelnerek. Nigdy tam nie byłam. Fuzja meksykańskiej restauracji z artystycznym performansem, totalne szaleństwo. Tak przynajmniej głosi legenda. Przerazająca wizja.

– O – dodaje, marszcząc nos. – Rozumiem. To poniżej twojego poziomu.

Wcale tak nie uważam.

Woła Melanie ruchem ręki, a Melanie całkowicie ją ignoruje.

– Szkoda – dorzuca, unosząc okulary słoneczne, by znowu sprawdzić telefon. – Wczoraj zarobiłam dwieście dolarów.

Dwieście dolarów to opłacony rachunek za elektryczność. I tyle można zarobić w jeden wieczór?

Wren podbiega do mnie i chwyta moja rękę.

– Choooooźmy już – mówi błagalnie. – Jestem głodna.

– Chcesz nakarmić siostrę? Potrzebujesz pracy – stwierdza Shane, podnosząc się z ławki. – Rusz tyłek, Mel. Idziemy! – Wydmuchuje balon z gumy, strzela, patrząc na mnie. – W razie gdybyś jednak doszła do wniosku, że to nie jest poniżej twojego poziomu, powinnaś spróbować. Myślę, że Fred z miejsca cię zatrudni. Właśnie straciliśmy jedną dziewczynę. Cisnęła fartuchem o podłogę i wyszła. Nie wytrzymała gorąca.

– Nie jestem...

– Wiem o twoim tacie – dodaje szeptem, żeby Wren nie słyszała. – Ześwirował, zgadza się?

Czuję, jak moja twarz zmienia kolor.

Wren puszcza moją rękę i biegnie do Melanie.

– Nic nie szkodzi. – Shane klepie mnie po ramieniu. – Każdy z nas jest walnięty, dziewczyno. Za jakiś czas sama tak stwierdzisz. Jedyna różnica, jaki to rodzaj wariactwa i czy je akceptujesz czy nie. Tylko na to mamy wpływ. Reszta od nas nie zależy.

– Patrz, czego mnie nauczyła Melanie – mówi Wrenny i razem wykonują układ złożony z podskoków i klepania się po tyłkach, zaskakująco skomplikowany i rytmiczny jak na możliwości przeciętnej dziewięciolatki.

– Niesamowite! – wyrokuję, starając się za wszelką cenę ukryć, jak szybko i nierówno tłucze się mój puls w reakcji na słowa o tacie.

Nagradzamy występ oklaskami, potem chwytam leżący na ziemi plecak Wren. Dotykam w kieszeni milczącego telefonu, który niedługo przestanie działać, i ostatniego banknotu dziesięciodolarowego.

– Fred? – mówię. – Naprawdę myślisz, że mnie zatrudni?

– Brawo, dziewczyno. Masz numer?

Zaufanie. Co to właściwie znaczy? Kiedy komuś ufasz, to tak, jakbyś dał mu nóż do ręki, żeby cię nim dźgnął. Dobrze wiem, że tak właśnie jest. Cała się trzęsę, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że dzięki Shane napełnię lodówkę jedzeniem, opłacę prąd i kablówkę, żeby Wren mogła dalej oglądać swoje programy kulinarne, że nas nie rozdziela. Tak, ręka mi drży, ale muszę dać nóż tej dziewczynie, chociaż właściwie jej nie znam i chociaż wiem, że jest bardzo ostry.

Digby trzyma jeden nóż.

Eden drugi.

A teraz Shane.

Sporo tych noży.

Czuję dotyk ostrzy na gardle, mam nadzieję, że trzymające je dłonie są pewne.

I tak...

Za ostatnie dziesięć dolarów kupuję:

dwadzieścia deko szynki

bochenek białego chleba (Wren nie chce jeść innego)

dwie cole (proszę mnie nie potępiać)

sałatę lodową (wiem: zero wartości odżywczych)

jedno jabłko (Fuji – tylko takie lubię, nigdy nie są mączyste).

Zjadamy kanapki na zewnątrz, bo jest zbyt ładnie, żeby kisić się w środku. Łapczywie wypijamy cole, Wren gada i śpiewa, ja wspominam czasy, kiedy Eden i Digby mieszkali tuż obok. Domy są połączone i mają wspólny ganek, jak byłyśmy małe, zostawiałyśmy sobie różne rzeczy na białej balustradzie, która dzieli go na pół. Jeśli Eden zapomniała u mnie butów, po prostu je tam kładłam i następnym razem, kiedy wyglądałam, już ich nie było. Eden zostawiała mi książki, wtedy miałam czas czytać, z powklejanymi karteczkami w miejscach, które szczególnie jej się spodobały. Eden i Digby mieszkali po tej ładnej i uporządkowanej stronie, a ja tkwiłam w cudacznym cyrku, gdzie wszystko stało na głowie. No bo powiedzmy sobie szczerze: owszem, byliśmy wtedy rodziną, ale nigdy taką. Nie przypuszczałam, by stan rzeczy kiedykolwiek miał się zmienić. Jeszcze nie rozumiałam, że wszystko się zmienia. Takie są prawa rządzące kosmosem. Szkoda, że nikt mi nie powiedział. Bliskość tych ludzi wydawała mi się czymś naturalnym i stałym. Sądziłam, że tak będzie zawsze.

Ale oni ruszyli dalej, a my się cofnęliśmy.

Potem zjawiała się pani Albertson z nieodłącznymi wałkami i wieczną szklanką lemoniady. Teraz też trzyma ją w ręku, siada na fotelu bujanym, w miejscu, gdzie kiedyś stał ulubiony fotel Eden, zawsze oparty o ceglana ścianę. Pani Albertson pozdrawia nas skinieniem głowy.

– Hej, dziewczynki.

Machamy w milczeniu, nie przerywając jedzenia. Jesteśmy naprawdę



głodne.

– Co słytać?

– Wszystko w porządku. – Wrenny wpycha do ust resztki kanapki. – Chce pani zobaczyć, czego nauczyłam się w parku?

Zaczyna wykonywać taneczne ruchy. Teraz wyglądają raczej cudacznie niż imponująco. Czy ona musi tak wirować?

– Mmmm – mówi pani Albertson. Zmarszczki na twarzy stanowią wyrok. Muszę zamieść ganek.

– A jak mama?

– Dobrze. – Kanapka rośnie mi w ustach, nie daje się połknąć. – Zajęta.

Wren opiera się o balustradę, cichnie.

– Dawno jej nie widziałam.

– Bardzo dużo pracuje. Jako pielęgniarka, we Flemington. Zwariowane godziny. – Tak jakoś mi się powiedziało.

– O. – Pani Albertson upija lemoniadę z wyraźnie zdezorientowaną miną. – Nie wiedziałam, że jest pielęgniarką.

– Aha. Pracowała w zawodzie, zanim pojawiła się Wren. Musiała nieźle się namęczyć, żeby uaktualnić dyplom w New Jersey, i w ogóle, no, ale w końcu się udało. Jestem z niej bardzo dumna. Dużo pracuje i jest wykończona. Bardzo się dla nas poświęca. – Przeholowałam. Trzeba przyhamować. Zwykle nawet tyle nie mówię. To może wzbudzić podejrzenia.

Wren bębni palcami po balustradzie. Nuci.

– No cóż, przekazcie pozdrowienia – mówi pani Albertson.

– Przekazemy – mówię, chociaż nigdy tak nie mówię. – A jak pani się miewa? – Moje serce wali jak szalone, marzę tylko o tym, by wejść do środka, boję się jednak, żeby to nie wyglądało na ucieczkę.

– O, u mnie wszystko dobrze. Nadal się zastanawiam, po co, do licha ciężkiego, kupiłam ten dom. Kiedy Geoffrey zmarł, a cała piątka się wyprowadziła, uznałam, że trzeba przenieść się do czegoś mniejszego. Ale z moimi nogami coraz gorzej. – Pociera uda i dodaje: – Trzeba było pomyśleć, że tu są schody. – Znów upija lemoniady. – Pewnie i tak powinnam być wdzięczna, że jeszcze mogę jeść słodkie. Nie mam cukrzycy. – Z uśmiechem odpukuje w balustradę.

– Chyba każdy z nas powinien być wdzięczny za różne drobne rzeczy. – Wydaje mi się, że wypada coś takiego powiedzieć.

Pani Albertson pochyła się do przodu, tak mocno, że widać pomarszczony

trzęsący się przedziałek, zwykle schowany w koszuli na guziki.

– Tak jest, Lucille – mówi. – To pewnie wszystko, co mamy.

Popycham Wrenny przez rozklekotane drzwi z siatki, potem przez drewniane odrapane do wnętrza naszego podupadłego pałacu wypełnionego bezpieczną ciszą i spokojem. Hm, to akurat jest dyskusyjne. Może raczej milczeniem. Niepokojącym milczeniem. Wren prawie nigdy nie jest taka cicha.

Po drodze dostrzegam, że:

- kafelki w łazience proszą o wymianę, a deska klozetowa się obłuzowała
- klamka przy drzwiach do sypialni z tyłu odpadła, więc jeśli drzwi przypadkiem się zatrzasną, trzeba będzie otwierać śrubokrętem
- coś jest nie tak z termą, ciepła woda leci tylko po włączeniu zmywarki do naczyń, a tak raczej nie powinno być
- wczoraj wieczorem, kiedy chciałam powiesić ręcznik po kąpieli Wren, wieszak po prostu odpadł, muszę go naprawić.

Ten dom opanował wkurwiony duch, który dobrze wie, że rodzice odeszli, i zamierza rozwalić wszystko w strzępy.

Wczołgujemy się do łóżka mamy i włączamy stary poczciwy Food Network. Cudownie, akurat leci ulubiony program Wren. Bosonoga Contessa uśmiecha się do nas błogo. Przygotowuje pieczeń, czuję, jak ciało Wren stopniowo się rozluźnia.

Mama zamierzała namalować niebo w pokoju Wren. Tak to określiła. Tydzień przed wyjazdem przyniosła próbnik i pozwoliła Wrenny wybrać kolor. Kupiła farbę i tak dalej. Myślałam, że jej się poprawiło, ale wtedy postanowiła po raz ostatni zobaczyć się z tatą. Okazało się, że wyszedł, ale zastrzegł, by nikomu nie zdradzać miejsca obecnego pobytu, nawet żonie, i wszystko wzięło w łeb. Matka kompletnie się załamała. A dzień czy dwa wcześniej sprawiała wrażenie naprawdę podekscytowanej. Zdeterminowanej, jakby szczerze chciała wziąć się w garść i wszystko ogarnąć. Myślałam, że ją odzyskałyśmy.

Wren wybrała kolor o nazwie „I’ve Got the Blues”. Powiedziała, że chce niebo w pokoju, bo jest tam tylko jedno małe okno, a mama odparła, że skoro chce niebo, to będzie je miała.

Nienaruszone puszki stoją przy ścianie, pod śladami brudnych pięt Wren. Nieważne. Od wyjazdu mamy moja siostra i tak nie spędziła ani jednej nocy

w swoim pokoju. Podobnie jak ja. Obie śpimy w pokoju mamy, bo są tam szerokie łóżko, na którym obie się mieścimy, oraz telewizor. Na początku chyba grzałyśmy łóżko dla niej, ale teraz grzejemy je dla siebie. Drzwi do pokoju Wren przeważnie są zamknięte, czasem tylko Wren coś stamtąd zabiera lub coś odnosi. Odpowiada nam to.

Gęstnieją cienie. Wren tuli się do mnie mocno.

Mama zawsze śpiewała jej na dobranoc lub czytała. Czasem, jeśli wcześniej kładłam się spać, ich głosy docierały do mnie przez ścianę, niczym szmer wentylatora, muzyka kołysząca mnie do snu. Mnie? Patrzę w sufit, jedną rękę trzymam na plecach Wren. Wdech. Wydech. Życie.

Mama wyjechała z jedną walizką i komputerem, powiedziała, że musi uporządkować myśli i niedługo wróci. Powiedziała, że zawsze będziemy mogły złapać ją przez telefon, zresztą i tak sama będzie do nas codziennie dzwonić. Zapytałyśmy, dokąd jedzie, nie potrafiła jednak powiedzieć. Ale musiała mieć jakiś plan. Zostawiła lodówkę pełną zapasów i kilkaset dolarów, oznajmiła, że popłaciła rachunki za ten miesiąc. Trochę niewyraźnie mówiła, patrzyła tępo przed siebie i była jakby nieobecna. Ledwo nas uściskała na pożegnanie. A potem wsiadła do taksówki, która zabrała ją na lotnisko.

Jakby nas nie było, jakbyśmy byli duchami. Ale ona sama była już tylko skorupą. Mama, jaką zawsze znałam, zniknęła już jakiś czas temu. To pożegnanie było nie tyle pożegnaniem z nią co z blednącym wspomnieniem.

Ani razu nie zadzwoniła.

Teraz Wren obejmuje mnie mocno w pasie, prawie śpi. Jej głowa spoczywa na moim ramieniu. Włosy pachną mokrym psem, ale nie dlatego, że bawiła się z mokrym psem, po prostu, jak odkryłam, tak pachną dziewczynki, kiedy nie umyją włosów i hormony zaczynają wylać przez skórę na głowie. Wren obejmuje ramieniem mój brzuch, wciska guzik wyciszenia na pilocie.

– Mama nie jest pielęgniarką – mówi zduszonym głosem.

– Nie jest.

– Ale powiedziałaś, że jest.

– Tak powiedziałam, Wrenny.

– Okej.

Chciałabym zapytać czubek jej głowy, co mamy teraz zrobić. Jak wygląda nasza przyszłość? Ja widzę tylko czarną dziurę, pustkę, w miejscu, gdzie powinny znajdować się studia, faceci i jedzenie. Jeśli czegoś nie zrobię,

wkrótce dom zmieni się w ruinę. Ktoś odkryje, że zostaliśmy bez opieki, zabiorą nas stąd i rozdziela. A mój telefon przestanie działać. Mama nie będzie miała jak się z nami skontaktować, jeśli coś jej się stanie. A jeśli nawet wróci, to będzie miała tę stężoną obojętną minę. Nie będzie próbowała niczego zmienić. Nie podejmie walki. I wszystkie będziemy zgubione.

Studolarowe banknoty przesłane przez ducha wiecznego tułacza niczego tu nie zmieniają.

Wren chrapie. Gapię się w sufit już pierdylion lat.

Telefon wibruje pod poduszką. Nawet nie przemyka mi przez myśl, że to może być mama. Tylko jedna osoba przysyła mi esemesy w środku nocy.

PUK PUK, głosi wiadomość. Eden.

KTO TAM? Udaje mi się napisać nad głową Wren.

PÓJDŹŹE NAD RZEKĘ.

ZA PÓŁ.

Mamy swoje miejsce nad rzeką. Trzeba przejść kawałek ścieżką i skręcić za starym wagonem kolejowym. Nie wiadomo, skąd on się tam wziął, pośród drzew, zaklinowany między skałami. Zawsze się zastanawialiśmy, czemu tylko my tam chodzimy, bo przecież jest to najfajniejsza miejscówka w okolicy. Idealny punkt, żeby pogapić się na rzekę i pogadać. W gorące dni spędzałyśmy tam całe długie godziny, moczając palce w wodzie, otoczone rozbuchaną zielenią, skryte w cudownym cieniu. W czasach, kiedy postanowiłyśmy zostać BFF – Najlepszymi Przyjaciółkami po Wsze Czasy – i na dowód wymieniliśmy się „złotymi” naszyjnikami. I nawet zawarłyśmy – dość nieudolnie – przysięgę krwi. Pomysł rzuciła Eden. Skaleczenie goiło się całymi tygodniami. Tak jak wtedy, kiedy przekuła mi ucho na gołym kamieniu. Powinnam jej stanowczo zabronić zbliżania się do mnie z ostrymi przedmiotami.

Tyle się wydarzyło w tym miejscu.

Teraz spotykamy się w nocy, po ciemku, bo tylko wtedy naprawdę możemy zostać same. I zanim potępicie mnie za to, że zostawiłam Wrenny samą w domu, weźcie pod uwagę, że raz przespała trzęsienie ziemi w Disneyworldzie i że mieszkamy prawdopodobnie w najbezpieczniejszym miejscu na całej kuli ziemskiej. Nieważne. Możecie mnie nazwać nieodpowiedzialną.

Eden jest latarnią morską. Przysięgam. Siedzi na ulubionym kamieniu, w ocieplaczach na nogi i czarnej bluzie z kapturem, i jarzy się w ciemnościach, co, biorąc pod uwagę jej strój, wydaje się raczej dziwne. To chyba przez tę niesamowicie bladą skórę.

Obejmuję ją i przytulam dłużej, niż powinnam. Tutaj jest inaczej niż w szkole czy nawet u niej w domu. Tylko my dwie, żadnych świadków. Lubię sobie myśleć, że wszystko, o czym mówimy, jest całkowicie bezpieczne, słowa spadają z ust w ziemię, a potem wyrastają z nich drzewa, które przechowują nasze sekrety w listowiu.

– Okropnie się boję – mówię, zanim jeszcze zdążyłam usiąść.

– Wiem. – Obejmuje kolana i przekrzywia głowę na bok. Zwinna jasna driada.

– Pani Albertson zadaje pytania, dom się rozpada, a Wrenny, nie wiem, co się z nią dzieje, próbuję zobaczyć przyszłość w głowie, ale nic nie widzę.

Eden zakłada włosy za ucho.

– Przynajmniej nie masz kredytu do spłacenia. Niech żyje ciocia Jan. – Zaraz się poprawia: – To znaczy, niech spoczywa w pokoju.

– Podatki – rzucam. – Dzisiaj przyszło wezwanie.

– Potrzebujesz pomocy, Lu. Sama nie dasz sobie rady. – Eden wyciąga papierosy z kieszeni. Twierdzi, że wszystkie baletnice palą. Dbają o linię. Lubię ten zapach, lubię uczucie, jakby prawie docierał również do moich płuc. Nie wiem dlaczego, ale w przypadku Eden nie śmierdzi tak jak u innych. Może to dlatego, że poza tym Eden pachnie wiciokrzewem i solą. Wszystkie te wonie tworzą przyjemną mieszankę, jak czekolada o bardzo złożonym smaku. Eden zaciąga się głęboko. Popiół. – Zostało ci tylko dziewięć miesięcy do osiemnastych urodzin, zgadza się?

Wiem, że chce mnie pocieszyć, ale tych dziewięć miesięcy wydaje się wiecznością, nie mam pojęcia, jak to wytrzymam. I po raz pierwszy ktoś zasugerował, że mama może nigdy nie wrócić. Poza tym, co się wydarzy w dniu moich osiemnastu urodzin? Wszystko nagle się ułoży, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki? Może przyznają mi opiekę nad Wren, ale co dalej? Co z resztą życia?

– Uważaj, żeby moja mama się nie dowiedziała – dodaje Eden. – Zrobi dokładnie to, czego nie powinna. Już zadaje pytania. Nie jest głupia. – Eden wyjmuję coś z kieszeni. Wtyka mi w dłoń zwitek banknotów. Śmiertelnie poważna driada. – Uważam, że przez jakiś czas powinnaś trzymać się z daleka

od naszego domu. Przyczaj się. Może zapomni i nie będzie się wtrącać. A na razie kup jedzenie. I daj mi się zastanowić. Coś wymyślimy.

– My – mówię, gapiąc się na banknoty. Starczy na kilka dni. Chciałabym zwrócić te pieniądze, ale nie mogę. Poczucie winy. Wstyd. Radość. Tyle uczuć naraz.

– No jasne. – Uśmiecha się. – Jesteś moją BFFFFFFFFFF.

Chichoczę. Za sprawą Eden. Od poprzedniego razu minęły chyba całe lata. Eony.

Wsuwam pieniądze do kieszeni, spoglądam na Eden.

– Myślisz, że mama nas kocha? – pytam.

Patrzy na mnie stanowczo za długo, uważnie dobiera słowa.

– Nie ma znaczenia, czy was kocha czy nie. – Wtyka smukłe palce w rękawy, porusza nimi.

– Jak to?

– Każde uczucie musi przekładać się na działanie, inaczej jest bezużyteczne.

– Ty to powiedziałaś?

– Skąd. Virginia Woolf.

– O.

– Chcesz wiedzieć, co ja o tym sądzę, moja mała Lulu? – Eden przesuwając zamek przy bluzie w górę i w dół, jakby liczyła, że po odpowiedniej liczbie powtórzeń odpowiedź sama wyskoczy jej z piersi. Wiem, że bardzo chciałaby znaleźć odpowiedzi na moje pytania. – Uważam, że mama was kocha. Może kocha was tak bardzo, że płacze od rana do wieczora. Może jest jej tak bardzo przykro. – Patrzy na mnie, w głąb, przeszywa mnie wzrokiem na wylot i z powrotem. – Ale jeśli nie wraca, jeśli nie może, z jakiegoś sobie tylko znanego powodu, chociaż dobrze wie, przez co przechodzicie, co musicie znieść z powodu jej nieobecności, to powiedz mi, proszę, moja luba panno Lu, powiedz mi, jaka to, kurwa, różnica.

W ramach konstruktywnego działania Eden i ja robimy się na chwilę bardzo pragmatyczne. Eden wyciąga z kieszeni pióro i notes, przystępujemy do tworzenia listy.

Krok pierwszy: Odpowiedz na esemes Shane i idź jutro na rozmowę z Fredem, chociaż jest to przerażająca perspektywa.

Krok drugi: Jeśli dostanę pracę, Eden będzie pilnować Wrenny dwa razy w tygodniu, dzięki czemu będę mogła ową pracę podjąć. Eden powie w domu, że chodzi na dodatkowe lekcje baletu. Czteryście dolarów tygodniowo powinno

wystarczyć. Ledwo, ale suma czyni zasadniczą różnicę.

Krok trzeci: Płacić rachunki po jednym naraz, zaczynając od najważniejszych. Dziwne, ale komórka i kablówka znajdują się na górze listy. No, zaraz po elektryczności.

Krok czwarty: Pójść do szkoły i sprawdzić, czy Wrenny chodzi na lekcje i odrabia prace domowe, żeby nikt nie nabrał podejrzeń.

Krok piąty: Czasem się uśmiechać.

Eden notuje to wszystko, dodaje buźkę, wydziera stronę z notesu i wtyka mi listę do ręki.

– To na początek – mówi, rzucając mi złośliwy uśmieszek.

– No co?

– Nic.

– Co?

– Próbuję wyobrazić sobie ciebie w szortach.

– Zamknij się.

– Ogrodniczki chyba nie są obowiązującym strojem roboczym w knajpie Freda.

– O rany.

– Ani mówienie „o rany”.

– O rany!

– Będziesz musiała przejść prawdziwą metamorfozę.

– Zamknij się.

– I rozbudować słownictwo – dodaje. – „Zamknij się” i „o rany” raczej nie wystarczą. Popracuj nad frazami rodzaju: „Hej, proszę pana, jak podać taco? Miękkie? Czy może twarde?” – Wypowiada „twarde” w straszny sposób, wysuwa piersi do przodu i potrząsa nimi.

– Fu! – mówię i śmiejemy się jak dzikie. Po chwili dodaje: – I tak mnie nie zatrudni.

– Ależ owszem. Masz wszystko, co potrzeba. Tylko nosisz za luźne ubrania.

– Macha mi nogą przez twarzą, jak to ona. – Będziesz. Musiała. Je. Zdjąć. – Poważnieje. – Wyobraź sobie, że kochasz teatr, a to jest szkolne przedstawienie czy coś w tym stylu. – Nedorzeczny pomysł. Nawet siła tysiąca laureatek konkursu na miss universum nie mogłaby mnie zaciągnąć na scenę. – Tak czy inaczej, dawno temu skończyłaś osiem lat. – Jej twarz dosłownie lśni złośliwością w czerni nocy. – Kup błyszczczyk, musisz rzucać się w oczy.

## *Dzień dwudziesty ósmy*

**C**o mówiłam? – Eden nie daje mi spokoju.

Siedzimy w samochodzie mamy przed restauracją „U Freda”, na samym skraju miasta. Przyszłam na rozmowę w sprawie pracy, próbuję dojrzeć coś za blikującymi prostokątnymi szybami, ale na próżno. Eden gryzie kciuk, co znaczy, że się denerwuje.

– Mówiłaś, że mam być dzielna – odpowiadam, żeby wiedziała, że zapamiętałam instrukcje.

– Właśnie. – Eden zachowuje się tak, jakbym niczego więcej nie potrzebowała. – Bądź dzielna, a moc będzie z tobą. – Przygląda mi się badawczo. – Dobrze, przyznaj. Powinnaś zapisać sobie w pamięci.

– Okej – mówię. – Ale nie chcę, żebyś się rozczarowała, jeśli jednak się nie uda.

– Przestań. Uda się. Wyglądasz świetnie. – Chwyta za mój T-shirt, pociąga w dół. A ja pociągam w górę. – Musisz pokazać trochę ciała. Troszeczkę. Miniprzediał.

– Okej. – Z powrotem obciążam koszulkę.

– Wyglądasz jak mama – stwierdza Wrenny.

– Pożyczyłam ciuchy z jej szafy.

– Nie dlatego – mówi Wrenny. Ogarnia mnie dziwne uczucie.

– Dobra, dziewczyno. – Eden zaczyna cofać, chociaż jeszcze nie zdążyłam wysiąść. – Jedziemy się zabawić.

– Jeee! – woła Wren.

– Będą tańce. I to jakie.

– Jeee!

– Napisz esemes, jak skończysz, przyjadę po ciebie.

Kiwam głową.

Odjeżdżają z muzyką włączoną na cały regulator.



Najwyraźniej nie jestem wystarczająco seksowna.

– Co to, kurwa, ma być?

Fred wygląda jak szalony naukowiec, a nie jak szef restauracji. Szpakowate włosy, okulary w rogowych oprawkach, szorty, podkolanówki i drewniaki. Nie wiem, czego się spodziewałam na podstawie krążących o nim pogłosek, ale z pewnością nie tego. Wygląda jak Hunter S. Thompson, autor gastronomicznych gonzo. Eden byłaby zachwycona.

Shane, odziana w stosowne szorty i czarną koszulkę na ramiączka, w której doskonale się prezentuje, klepie go w ramię.

– Beth odeszła, tak? To jest Lucille, moja koleżanka. Zatrudnij ją i problem z głowy. Przybyła uratować ci tyłek.

– Hm. To na cześć matki Jimiego Hendrixa?

Jestem pod wrażeniem. Nikt prócz niego dotąd nie skojarzył. Kiwam głową. Mierzy we mnie chudym paluchem.

– Rach, co ona ma na sobie? Czy ona wygląda jak jedna z was?

– Daj spokój, Freddie. Jest ładna, widać nawet w tych nudnych ciuchach. – Te słowa wypowiedziała najwspanialsza istota ludzka, jaką kiedykolwiek widziałam. Platynowe włosy, ciało, które sprawia, że moja nielesbijska tożsamość ma ochotę gorzko płakać, oczy tak wielkie, że można w nich zatonać. – Rachel – mówi szemrzącym głosem i ujmuje moją dłoń. Słaby uścisk. – Miło mi. – Marilyn Monroe żyje!

– Ona mówi? – pyta Fred. Wyciera czyste mokre ręce w fartuch i podpira się pod boki pięściami, jak Piotruś Pan. Lekko drży, jestem pewna, że mnie nienawidzi. Wiedziałam, że się nie nadaję. Jak ja mogłam dać się namówić?

*Dwieście dolarów, mówię w myślach. Stos rachunków.*

Próbuję się uśmiechnąć.

– O, nie, przestań – szepce mi Shane do ucha. – To nie wygląda dobrze.

– Mówię – zwracam się do Freda i nawet zmuszam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

Na jego twarzy pojawia się szczurzy uśmieszek.

– Dobra, panno gaduło. Mam jedno pytanie. Jesteś gotowa na wojnę?

– Kochamy wojnę – mówi Shane. – Prawda?

Ogólnie rzecz biorąc, jestem pacyfistką, ale kiwam głową.

– Pasjami.

– Świetnie, ponieważ to jest pole bitwy, a na mój znak zaczynamy strzelać. Jedzenie to granaty, a wy macie nimi rzucać. Odciągnij zawleczkę, kotku. To

są siły specjalne, jasne?

Znowu kiwam głową.

– Tak, tak. Siły specjalne – powtarzam.

Tymczasem do kuchni weszło kilka dziewczyn. Kroją cytryny i limonki, napełniają miodem plastikowe butelki, zawijają sztucce w serwetki. Słuchają tyrady szefa i robią do siebie miny za jego plecami, ale są uśmiechnięte i radosne. To dobry znak. Chociaż Fred robi wrażenie kompletnie walniętego. Co przypomina mi o słowach Shane. Że każdy z nas jest trochę walnięty. Czuję, że obłąd Freda może przypaść mi do gustu.

– Słuchasz mnie? – mówi.

– Tak, słucham.

– Widzę to tak. – Przechadza się w tę i z powrotem, szurając nogami. – Otwieram o piątej, zamykam o dziesiątej. Należysz do Sił Specjalnych pod dowództwem Freddie’ego od czwartej, kiedy zjawiasz się w pracy aż do chwili, kiedy kończysz sprzątać i zmywać podłogę.

– Okej.

– Nie rób głupich numerów, nie mieszaj w żarciu, nie utrudniaj pracy w zespole, a wszystko będzie dobrze. Jesteśmy jak rodzina, zawsze możesz liczyć na moje wsparcie.

Urywa, milczy, aż mówię. „Tak”. Wtedy dodaje:

– Dobra. Potrzebuję cię cztery dni w tygodniu, od poniedziałku do czwartku. Na weekendy musisz zasłużyć, chyba że ktoś ze stałej ekipy kopnie w kalendarz.

Cztery dni. Umawiałam się z Eden na dwa i nikt nie uwierzy, że zajęcia z baletu kończą się po dziesiątej. Ale nie mam innych pomysłów. Muszę się zgodzić, odnoszę wrażenie, że Fred nie jest skłonny do negocjacji.

– No to wszystko jasne – mówi.

Drgam. Już? Dostałam tę pracę?

– Dostałam tę pracę? – pytam.

– Będiesz pomagać Rachel, podawać wodę do stolików, napoje. Biec do Val, kiedy trzeba zanieść alkohol, sprzątać po gościach. Donosić słomki i miseczki ze śmietaną. Sprawdzać co chwila, czy goście czegoś nie potrzebują. Czy są zadowoleni i obsłużeni jak należy. Kiedy odchodzisz od stolika, zawsze coś zabierz i nigdy nie wracaj z pustymi rękami. Musisz się cały czas ruszać. Nie ma siedzenia. Zobaczymy, jak sobie poradzisz. – Uśmiecha się krzywo. – Zaraz się wszystko okaże. – Odwraca się w stronę

Shane, która w odległym kącie napełnia butelki z keczupem. – Nie może pracować w tych ciuchach. Znajdziesz coś dla niej?

– Moment... To ja zaczynam już teraz?

– Sprawdzę, co mamy na zapleczu – odpowiada Shane i posyła mi oczko, słodkie i poufne, i wyraźnie mówiące, że mam nie dyskutować.

– Masz ładne ciało i odpowiednią twarz. – Fred ponownie obraca się w moją stronę, w tych swoich kretyńskich drewniakach. – Moje siły specjalne to banda twardych lasek uzbrojonych w tacosy. Strzelamy burrito jak snajperzy, rzucamy bomby z tamales. – Robi kilka ciosów w powietrzu. – Tworzymy rodzinę, ale moja rodzina ma wyglądać seksownie, więc postaraj się jak najlepiej wykorzystać, co tam masz, a będzie dobrze.

– I opanuj sztukę noszenia tacy z czternastoma butelkami wody – dorzuca Rachel, która jakimś sposobem potrafi poruszać się na niebezpiecznie wysokich obcasach jak łabędź na wodzie, a nie jak krowa na lodowisku. – Nie martw się, dasz radę. Każda z nas kiedyś zaczynała.

– Okej – mówię, myśląc o potencjalnych dwustu dolarach, które być może znajdą się w mojej kieszeni, jeśli tylko zdołam przez to przebrnąć. – Skoro to siły specjalne, poproszę porządną rozgrzewkę.

Dziewczyna o czarnych włosach przyciętych w równą prostą grzywkę i czerwonych paznokciach, cała wytatuowana, przeciągle gwizdże. Val.

– Dobra, idziemy podpisać umowę. Nadajesz się – wyrokuje.

*O rany*, szepcze w mojej głowie spanikowana rybka wyciągnięta z wody. *Mam nadzieję.*

*Zam. Knij. Się.*

Jestem cała spocona. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie spociłam. Oblizuję wargi, czuję smak soli. Powinnam być zmęczona, lecz zamiast tego czuję tylko mrowienie w całym ciele, aż do opuszków palców, jestem totalnie rozbudzona i przytomna. Jakby coś się ze mną stało w chwili, gdy włożyłam czarne szorty Shane i wysokie obcasy Rachel. Buty wprawiają moje biodra w kołysanie, kiedy przechodzę (hm, właściwie przebiegam) przez salę, a kiedy spojrzałam w lustro i zobaczyłam maskę na twarzy – czarny eyeliner, czerwona szminka – stwierdziłam, że Eden miała rację, muszę po prostu udawać, że jestem kimś innym, kimś bardzo odważnym.

Na sali coś zaskoczyło. Myślałam tylko o tym, co mam do zrobienia, co trzeba podać gościom, na nic innego nie starczało miejsca w moim mózgu.

Cała reszta została usunięta, zostałam tylko ja i to miejsce, głośne, pulsujące, bliskie eksplozji. Owszem, upuściłam tacę z wodą, na czyjeś plecy, przekonana, że to koniec, ale kiedy spojrzałam przez ramię, Fred tylko się śmiał. A potem to już poszło jak z płatka.

Teraz umyłam podłogi. Wytarłam blaty, umyłam naczynia z miodem i lodówki w środku. Przykryłam cytryny i limonki, schowałam butelki z keczupem. Ta praca wydaje mi się pełna sensu i porządku. Zapada wieczór, zaczyna się chaos i bieganina, hałas. A potem drzwi się zamykają, odhaczam wszystkie punkty na liście, sprawdzam wszystkie boksy, koniec. Kuchnia jest czysta. Na sali panuje cisza. Wszyscy zmęczeni, ale szczęśliwi. Nastaje błogi spokój. Porządek.

I coś jeszcze. Sprawdziłam się.

A teraz trzymam w rękach pieniądze, mnóstwo pieniędzy.

– Poproś Val, to ci wymieni na dwudziestki – mówi Rachel.

– O rany, dzięki!

– Nie dziękuj, złotko. Zapracowałam.

Zarobiłam ponad sto dolarów.

Val siedzi otoczona górą banknotów i monet, odlicza dwudziestki, zabiera mój stosik złożony z jedno-, pięcio – i dziesięciodolarówek.

– Dobrze się spisałaś. – Podskakuję, wyrwana z zamyślenia. Fred zdjął fartuch, bez niego wygląda jak zwykły cudaczny facecik o nędznej aparycji i podejrzenie ostrych zębach, w brudnych okularach na nosie. I ciągle ma na nogach te swoje skarpety i drewniaki. Widząc go na ulicy, na pewno nikt by nie pomyślał, że jest władcą kulinarnego imperium.

– Dziękuję – odpowiadam. Fred ma w sobie coś, co sprawia, że nie chciałabym go zawieść, czuję się, jakbym dostała najwyższą ocenę z testu, który z góry uznałam za obłany.

– Chyba z nami zostaniesz.

Ciało wypełnia głuchy ból.

– Taaa – mówi Shane, otaczając moje plecy ramieniem. – No przecież mówiłam. Kiedy wreszcie zaczniesz mnie słuchać?

Fred uśmiecha się szeroko i wyciąga papierosa z kieszeni.

– Val, pozamykasz?

Piszę do Eden, że może po mnie przyjechać i wychodzę na parking, ale zamiast samochodu mamy widzę pomarańczowy van Digby'ego, czule zwany

Bestią, z Digbym za kierownicą, i przechodzę w środku w stan płynny.

Przykro mi, ale będę musiała obedrzeć moją najlepszą przyjaciółkę ze skóry.

Trzęsę się z zimna. Czemu się nie przebrałam? Mam ochotę uciec, ale chyba byłoby to ciut nieuprzejme, poza tym jest zimno i wcale mi się nie chce wracać pieszo. Podchodzę do samochodu, starając się zachować obojętną minę.

Digby otwiera drzwi po stronie pasażera.

– Hej.

– Hej. – Wsiadam, próbuję nie przykleić się do skórzanego fotela.

– Eden poprosiła, żebym po ciebie przyjechał. Wren zasnęła, Eden nie chciała zostawić jej samej.

Ruszamy z głośnym dudnieniem. Próbuje nie patrzeć na jego ręce.

– Fajne szorty – mówi z rozbawieniem.

– Muszę je nosić.

– Nigdy bym cię nie posądził, że zostaniesz dziewczyną od Freda.

– Potrzeba jest matką...

Niespokojnie kręci się na fotelu.

– Fajnie wyglądają. Nie miałem nic złego na myśli. Chciałem powiedzieć, że fajnie wyglądasz w tych szortach. Masz fajne nogi.

Teraz ja się kręcę. Pociągam za nogawki, w nadziei, że zakryję trochę ciała, przekonuję się jednak, że szorty w żaden sposób nie chcą sięgnąć dalej niż tam, gdzie sięgają.

– Miałem na myśli – dodaje – że robisz wrażenie zbyt nieśmiałej jak na to miejsce. I że nigdy dotąd nie widziałem twoich nóg, a są bardzo ładne.

– Okej – mówię – nie musisz wpadać w przesadę. – Cisza. Cisza. – I dzięki. I może wcale nie jestem zbyt nieśmiała. – Myślę o minionym wieczorze. – Może to ty jesteś nieśmiały.

Przez chwilę przetrawia moje słowa.

– Może i tak.

Podjeżdżamy pod mój dom. To się stało zbyt szybko, za bardzo mnie zaskoczyło.

– Zawołasz Eden? – pyta Digby.

– Jasne. – Wsiadam. Widzę jego jasne oczy, piękne świetliste zielone oczy, nosi je sobie jak gdyby nigdy nic. Zmuszam się, by z nimi zostać, dostrzec, co się w nich kryje. Kałuże światła. Błyszczące gwiazdy. Właśnie tak. Digby pierwszy odwraca wzrok.

– Dobrej nocy, Lucille – mówi w stronę szyby po swojej stronie.  
– Dzięki, Digby. – Pstryk. Zdjęcie. Digby wciąż odwrócony, jestem pewna, że nie może znieść mojego widoku. – Zawołam Eden.

Eden czyta, z nogami rozwalonymi na boki, jak popsuta lalka. Wren śpi na kanapie.

– I? – Mierzy mnie wzrokiem zza książki. Faulkner. – Cholera, wyglądasz jakbyś się wybierała na ulicę.

– Serio? Świetnie, bo tak się właśnie zastanawiam, czy nie pójść na całość, nie rzucić w kąk conversów i ogrodniczek i nie zacząć ubierać się tak na co dzień.

– Ile zarobiłaś?

– Dokładnie sto osiem dolarów.

– Nieźle. Tym bardziej, że to święta liczba. Dobry znak. Zapowiedź pomyślności. – Z trzaskiem zamyka książkę. – Digby czeka na zewnątrz?

– Tak. – Próbuję rzucić ostre spojrzenie. – A przy okazji, dzięki, że mnie uprzedziłaś.

– A niby po co miałabym cię ostrzegać? – Wkłada książkę do torby, nie patrząc na mnie. – To tylko Dig.

– A Wren? – pytam. – Dało się wytrzymać?

– Jasne. Trochę pośpiewaliśmy, odrobiłyśmy lekcje, obejrzałyśmy „Słodki biznes”. Buddy zrobił jaszczurkę czy coś tym rodzaju. – Eden ziewa. – Nie mam pojęcia, jak on to robi. Ziała ogniem, a na miejscu zjedzonego ogona wyrastał nowy. On jest jak bóg. – Obejmuje mnie i przytula, ściska moje barki. – Wpadła pani Albertson. Chciała rozmawiać z waszą mamą.

Podskakuję.

– Co powiedziałaś?

– Że wyjechała na wakacje.

– O.

– Co? – pyta z bardzo daleka. – O co chodzi?

Za dużo kłamstw.

Noc, która okazała się Końcem Wszystkiego.

Tej nocy, kiedy tata odszedł, zostawiłam okno otwarte, ponieważ zaczynał się ten czas w roku, kiedy właściwie nigdy nie robi się chłodno, a tata nie zdążył przynieść klimatyzatorów z piwnicy. Jedną z tych sytuacji, nad którą

teraz się zastanawiam. A gdyby okno było zamknięte? A gdyby klimatyzator był włączony, gdyby jego szum wszystko zagłuszał? Czy mama nadal by żyła?

Tata zachowywał się jak wieprz.

Kwiczał i chrupkał pod moim oknem, tyle że początkowo nie wiedziałam, że to tata. Usiadłam na łóżku, szukając źródła tych ohydnych dźwięków, zastanawiając się, czy to świnia uciekła komuś z farmy i dostała się do miasta, i jak to możliwe. A potem wieprzek wypowiedział imię mojej mamy, powtarzał je wiele razy, na okrągło, jak mantrę.

– Lauralauralauralauralaura... – przenikliwy pisk. Zwierzęcy. Nie ludzki. Tyle że to był tata. Mówiły mi o tym mdłości podchodzące do gardła. Pierś, w której niespokojnie tłukło się serce.

– Ciszej – syknęła mama. – Wejdz do środka.

Zadrzałam w koszuli nocnej, kilkoma szybkimi krótkimi krokami podeszłam do okna, przechyliłam się nad parapetem, ale stali za blisko muru, bym mogła ich zobaczyć. Popatrzyłam na cichą ulicę, idealnie przycięte krzaki u sąsiada naprzeciwko, Andrew, przez cały czas uważnie słuchając.

– Nie mogę, nie mogę – powtarzał. – Nie mogę tam wrócić.

– Tony, po prostu zrób pięć kroków.

– To wszystko kłamstwo. Jestem jedną wielką porażką. Nic mi się nie udaje.

– Nieprawda. Kto by się przejmował głupią podwyżką? To nie ma znaczenia.

– Ty kazałaś mi się przejmować tym gównem. To twoja wina. – Głos przybrał na sile. – To wszystko przez ciebie.

– Co ja ci takiego zrobiłam? Co ja ci zrobiłam? – W głosie mamy pobrzmiwała rezygnacja.

– Chciałaś dzieci. Dałem ci dzieci. Chciałaś, żebym przestał jeździć w trasy. Przestałem grać. Chciałaś, żebym poszedł do normalnej pracy. Poszedłem. To wszystko ty. – Przesunął się, tak że zobaczyłam jego szerokie ramiona, starą koszulkę z Bones Brigade, znoszoną, luźno zwisającą na piersi i brzuchu. Dłonie we włosach. – Popatrz na mnie. Popatrz. Nie jestem mężczyzną. Moje życie to porażka. Niczego nie osiągnąłem. Powinienem serfować, grać muzykę, a nie taplać się w tym bagnie, które wysysa ze mnie wszystkie siły. Już nie mogę.

– Czego nie możesz? – Głos mamy był pusty i zduszony, już miałam do niej

zawołać, ale tata podjął:

– Tego wszystkiego. Nie nadaję się do takiej pracy. Chyba też to widzisz, może nie? To życie mnie zabija, to fikcja, atrapa. Wy mnie zabijacie. Nie zrobiłem kariery, nie mam własnego domu, jestem zerem, zerem. A ty jesteś wampirem. – Teraz mówił cichym głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszałam. – Jesteś jak upiór. Ty i te pieprzone bachory, wszystko mi zabrałyście. – Wymierzył w mamę palcem. – Zrobiłaś to specjalnie.

– Nie możesz odejść.

– Dlaczego? Nie kochasz mnie. Ja ciebie też nie kocham. Po co to ciągnąć?

– Kocham cię, tak bardzo, że aż boli – powiedziała mama. Łamiący się głos stanowił najlepszy dowód na to, że mówi prawdę. Tata potrząsnął głową. – Tony, wejdź do środka. – Teraz łagodnie, jak do Wren, kiedy zdarła sobie kolano. – Chodźmy. Zrobię ci herbaty.

– Herbaty? – zaśmiał się. – Herbaty? Czyś ty oszalała? Nie chcę żadnej herbaty. Chcę odzyskać swoje życie. Chcę odzyskać to, co mi zabrałaś.

– Tony.

I wtedy się na nią rzucił.

Usłyszałam, jak ich ciała się zderzyły. Przycisnęłam nos do siatki, próbując coś dojrzeć, ale zniknęli pod okapem ganku i zobaczyłam tylko samochody zaparkowane wzdłuż chodnika. Tak cicho. Przez chwilę było tak niesamowicie cicho. A potem wpadli w moje pole widzenia, tata trzymał ręce na szyi mamy, ciągnął ją.

Znowu te dźwięki, jak wieprzek, kwiczenie i chrumkanie. Spojrzał w górę. Nie wiem, czy szukał Boga, czy może gwiazd, w każdym razie znalazł tylko mnie. I przysięgam, jego tam nie było. Zamiast niego był potwór. Jego twarz się wykrzywiła, skóra w świetle latarni była szara i bez życia. Za to oczy, oczy płonęły.

Obróciłam się na pięcie i rzuciłam pędem w dół po schodach. Chyba leciałam, bo inaczej nie da się wytłumaczyć, że w takim krótkim czasie znalazłam się na zewnątrz. Skoczyłam na niego, uczepiłam się wielkiej ręki, prosząc i błagając. Puścił, chociaż zapanował nad nim potwór, jakbym była paralizatorem, jakby dotyk mojej skóry osłabił uścisk. Mama osunęła się na ziemię, teraz ona też wydawała zwierzęce dźwięki. Próbowwała odzyskać oddech, zwymiotowała.

Nogi odmówiły tacie posłuszeństwa. Zaczął płakać jak Wren tuż po urodzeniu. Gorzej, ponieważ coś pękło w jego wnętrzu, a ja o tym wiedziałam



już w tamtej chwili. Policja, karetka, wszyscy zjawili się jednocześnie. Nawet kilku strażaków ze służby ochotniczej. Wieści szybko się rozchodzą. W końcu mieszkamy bardzo blisko straży pożarnej.

Mama próbowała ich powstrzymać, żeby go nie zabierali, chociaż jej szyja pokryła się sińcami w różnych kolorach. Nie zamierzała wnosić skargi. Tata płakał w ostrych światłach reflektorów, podczas gdy Irv i Linda, policjanci, pytali, co się dokładnie wydarzyło. W pewnym momencie tata zaczął się śmiać, tym razem jak hiena, wsadzili go do samochodu, pewnie dlatego, że śmiech brzmiał tak koszmarnie, a nikt nie potrafił go uciszyć.

– Nie zabierajcie go. To mój mąż – powtarzała mama, tłumaczyli jednak, że muszą to zrobić, przynajmniej na jedną noc. Zawieźli go na obserwację do wariatkowa – przepraszam, do szpitala dla psychicznie chorych. Wyrwał się i ryczał, kiedy siłą wsadzali go do samochodu. Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Możecie mi wierzyć, że wtedy już wszyscy sąsiedzi stali przed swoimi domami. Jak jakieś cholerne spotkanie integracyjne. Andrew na progu w jedwabnym szlafroku. Nawet Palacz mieszkający dwa domy dalej. Zawsze z papierosem, środek nocy, błądy świt.

Nikt nic nie mówił. W każdym razie nie do nas. Trochę poszurali nogami. Miałam ochotę powiedzieć: bardzo mi przykro, że zakłóciliśmy spokój w takiej porządnej okolicy.

Świat się skończył, wstał nowy dzień. Wóz policyjny odjechał. Linda i mama rozmawiały w alejce, zbyt cicho, bym mogła usłyszeć. Ptaki radośnie śpiewały.

Mama pociągnęła mnie za rękę do środka, zdążyłam ledwo zerknąć na sąsiadów. A potem na górę, do pokoju Wrenny, która przez cały czas spała, oczywiście, i miała obudzić się dopiero za kilka godzin, jej wspaniała moc przesypiania-nocy-bez-względu-na-wszystko w pełni działała. Ułożyłyśmy się obok, z Wren w środku, na szerokim materacu, przywarłyśmy do niej, w pokoju, który niegdyś służył cici Jan za pokój gościnny. Popatrzyłyśmy na siebie ponad jej głową. Wren była jak kotwica, trzymałyśmy się jej z całych sił.

– Mamo.

– Lu.

– Może powinnaś pojechać do szpitala? – Staralam się, żeby głos mi nie

drżał. – Z tą szyją.

– Nie, kochanie. Lepiej śpijmy. Za kilka godzin będę musiała pojechać po tatę. – Zatknęła kosmyk włosów Wren za ucho, otarła jej czoło wilgotne od potu. – Rano czeka nas sporo rzeczy do zrobienia.

– Okej – odparłam, chociaż chciałam zadać jej tyle pytań o to, co teraz będzie, o to, co się stało. Czy on był pijany? Pod wpływem narkotyków? Czy naprawdę zamierzała przyjąć go z powrotem po tym, co zrobił, co o nas powiedział? Już czułam, że ta noc stanowi punkt graniczny, że zawsze będzie przed i po, że ta granica powstała w chwili, gdy tata położył ręce na szyi mamy, a może chwilę wcześniej, kiedy powiedział, że jej nie kocha. Chyba nie da się czegoś takiego odwrócić, prawda? Pewnych słów nie można cofnąć.

– Czy z tatą wszystko będzie dobrze? – spytałam szeptem.

– Oczywiście. Tak jak i z nami.

Mama posłała mi uśmiech, który zmarszczył kąciki jej ust, sięgnęła ponad Wren i położyła dłoń po mojej stronie.

– To dobry człowiek, wiesz – dodała.

Zabrzmiało to tak desperacko, że musiałam się odwrócić. Wiedziałam, że nie uśmiechała się dlatego, że wszystko będzie dobrze. Uśmiechała się właśnie dlatego, że nie będzie, a ona nic więcej nie mogła zrobić.

## *Dzień dwudziesty ósmy*

**Z**abieram książkę leżącą na piersi Wrenny. Na twarzy widnieją wściekłe odciski z obicia kanapy, policzki są zaróżowione od snu. Wren otacza mnie w pasie ramieniem i razem liczymy stopnie na górę. Ani razu nie otwiera oczu. Nie musi. To jej dom, stopy znają drogę. Mieszka tu od urodzenia.

– Raz – mówię.

– Dwa – ziewa Wren.

Aż do trzynastu. Wren skręca w lewo.

– Dokąd to, Wrenny?

– Do pokoju mamy.

– Sądzę, że powinnaś spać dzisiaj w swoim pokoju. – No bo kiedyś w końcu musi się to zmienić, prawda?

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym zostawiła mózg na dole.

– Nie podoba mi się tam.

– Umyłaś zęby?

– Tak. – Mierzy mnie wzrokiem. – Zanim zasnęłam na kanapie.

– Okej – mówię, tak jakbym zgodziła się spędzić kolejną noc w pokoju mamy właśnie z tego powodu, a nie dlatego, że nie mam siły się kłócić.

– Wyglądasz jak gwiazda rocka – mówi Wren, uśmiechając się szeroko.

*Chyba jak zdzira*, poprawiam ją w myślach.

– Dzięki.

Przesuwa dłonią wzdłuż mojego ramienia.

– Lepisz się.

Dotykam jej policzka.

– Ty też.

– I pachniesz jak burrito.

– Poproszę jeszcze kilka komplementów, słońce.

– Ale to prawda. I trochę jak taco.

Kieruje się prosto do łóżka mamy, pomięta pościel leży od rana, w pośpiechu nie miałam czasu się tym zająć. Wren wpęła pod kołdrę, obserwuje mnie, kiedy się rozbieram. Nie ma mowy, żebym poszła spać bez prysznic. Kiedy ściągam szorty i koszulkę, rozlega się dźwięk przypominający rozpinanie rzepa. Owijam się w ręcznik, ale zaraz go rozwiązuję, by poczuć chłód na skórze.

– Co ty robisz? – pyta Wren. – Jesteś goła.

– Nie wiem, co robię. – Zakrywam się. – Ale to bardzo dobre pytanie – mruczę. Ruszam do łazienki.

– Zostawisz mnie samą?

Coś w głosie Wren każe mi się zatrzymać.

– Idę tylko pod prysznic. Nie położę się spać śmierdząca meksykańskim żarciem.

– Mogę z tobą pójść?

– Do łazienki?

– No nie wiem. Nie chcę być sama.

Ale ja chcę.

– Będę siedzieć na sedesie – obiecuje Wren.

– Nie, Wren, zostań tutaj. – Zegarek mówi, że jest wpół do dwunastej. Rano Wren będzie do niczego.

– Mogłabym też wziąć prysznic.

– Razem ze mną?

Potakuje.

– Zostań. Śpij.

Oczy zachodzą łzami. Szczęki mocno się zaciskają.

– No dobrze, możesz ze mną wejść.

Zbiegam na dół i włączam zmywarkę, wracam do łazienki i biorę najszybszy prysznic w dziejach, tyle żeby się namydlić i spłukać. Gorąca woda ścieka powoli, przypominam sobie wzorowe ciśnienie w motelach, w których nocowałam z tatą po koncertach, przyciskam twarz do kafelków. Chciałabym przebić się na drugą stronę, zniknąć, wtopić się w tę ścianę i nigdy nie wrócić. Moje ramiona drżą, twarz się kurczy, ale nie płaczę. Przyciskam jeszcze mocniej, aż nos zaczyna mnie boleć i ogarnia mnie lęk, że zaraz go złamię.

Odwracam się. Wren śpi w chmurze pary, z głową na umywalce, oczy ma zamknięte, usta rozchylone.

Leżymy razem w łóżku. Owijam się wokół niej. Wren kładzie głowę na moim ramieniu. Mocno ją przytulam.

Sama nie wiem, która z nas bardziej boi się zostać sama.

Po około dwóch tygodniach wchodzę w rytm. Wstaję o piątej. Odrabiam pracę domową. Wyprawiam Wren i samą siebie do szkoły. Wren bierze kąpiel, a ja siedzę obok z lekcjami, próbując nie zamoczyć kartek. Odprowadzam ją trochę wcześniej, żeby się nie spóźnić. Brnę do końca, najlepiej, jak tylko potrafię, odbieram Wren ze szkoły, biegnę do domu, odrabiam prace domowe, tyle ile zdążę przez te pół godziny, potem, przez cztery dni na pięć, pędzę do pracy. Muszę zarobić jak najwięcej pieniędzy.

Za sto dolarów kupiłam trzy pary szortów, wszystkie czarne, i kilka koszulek. Shane dała mi buty. Stopy już tak nie boją. Pracuję od czwartej do około jedenastej, potem zabieram zarobione pieniądze do domu. Układam rachunki priorytetowo, płacę w miarę możliwości. Na razie opłacałam elektryczność, gaz i telefon. Lepiej późno niż wcale, prawda? Ale wiem, że jak tylko zdołam opłacić pierwszą partię, zjawią się kolejne. O tak. Bez wątpienia.

To teraz najważniejsze. Cztery razy w tygodniu Eden podwozi mnie do pracy, Digby po mnie przyjeżdża i zabiera Eden do domu. Eden odrabia lekcje z Wren, więc tym nie muszę się martwić. Po powrocie biorę prysznic, a Wren siedzi na sedesie, mówię do niej przez zasłonkę, potem włączymy razem do łóżka i zasypiamy przytulone.

Nie myślę o mamie, nie licząc tych chwil zaraz po przebudzeniu, kiedy odzywa się budzik w telefonie. Wtedy widzę jej niebieskie oczy, pozbawione światła. Tak wyglądały, kiedy odeszła. Barykady, które wzniosłam, żeby ich nie widzieć, okazały się zbyt słabe. Czekam. Oddycham. Patrę w te oczy, a potem zmniejszam obraz. Trzy razy: raz, ponieważ nas zostawiła, dwa, ponieważ nie wróciła, zmniejszam je trzy razy, aż robią się bardzo małe, niegroźne błękitne kropki, na koniec dmucham i znikają.

## *Dzień czterdziesty dziewiąty*

**W** czwartek wieczorem Eden czeka na ganku. Wzdrygam się, mocniej otulam kurtką. Mówiłam, żeby tak nie robiła. Jeszcze sąsiedzi zobaczą. Pali, nie przerywa, kiedy podjeżdżamy, tylko zaciąga się jeszcze raz.

Digby mruczy:

– To ja będę musiał napełniać jej butlę z tlenem, jak dostanie rozedmy płuc.

– Aha. Albo ja.

– Możemy się wymieniać – proponuje.

– Jaki troskliwy. – Daję mu kuksańca.

– Owszem. – Wbija wzrok w kierownicę. – Troszczę się o swoje sprawy.

Eden się do nich zalicza.

– Idę sprawdzić, czemu twoja sprawa się nie rusza. – Wsiadam, z poczuciem braku, jakby zwykłe pomachanie ręką tym razem nie wystarczyło. A to dlatego, że pragnę przycisnąć usta do jego ust, wchłonąć go w siebie, zabrać do domu. Nie chcę się żegnać. Nigdy. Nie chcę machać na pożegnanie.

– Dziękuję – mówię.

– Przestań to powtarzać.

– Dziękuję?

– Albo powiedz teraz dziesięć razy i więcej nie mów.

Chichoczę jak idiotka i wsiadam.

– Wisisz mi dziesięć. – Mówi to tak poważnym tonem, że mało brakuje, bym posłuchała, lecz w tym momencie kącik jego ust drga, odchodzę.

– Dramat – stwierdza Eden.

Uświadamiam sobie, że policzki bolą mnie od uśmiechu, próbuję rozluźnić twarz. Co się ze mną dzieje?

– Na początku myślałam, że twoja obsesja jest całkiem urocza, jednak chyba przydałoby się zejść na ziemię, co? – strzela bez ostrzeżenia. – On ma dziewczynę.

Okno po stronie pasażera jest otwarte, chcę ją uciszyć, ale widzę, że jest nakręcona. Nie odpowiadam, ale gdyby przy kapturze też był zamek, zaciągnęłabym go do samego końca.

– O co chodzi? – pytam.

Gasi papieros i rozgania dłonią ponętą smuzkę dymu.

– Najpierw dobra czy zła wiadomość?

– Zła. – Żołądek zmienia się w kamień. Co teraz?

Zaczynam wyrywać chwasty, żeby czymś się zająć.

– Nie mogę dłużej pilnować Wren – oznajmia Eden.

Prawie zebrałam całą sumę na opłacenie kablówki, żeby Wrenny dalej mogła oglądać swoje programy kulinarne. Próbuję sobie wyobrazić jej życie bez nich, ale nie potrafię.

– Mam zaległości w balecie.

No tak. Nie pomyślałam o tym. Uprzedzała, że może tylko dwa razy w tygodniu. Po prostu puściłam to w niepamięć.

– Chciałabym ci pomóc, ale opuszczam za dużo zajęć. Chciałabym realizować nasz plan znad rzeki, ale nie mogę, o ile nie chcę zrezygnować ze swoich planów na życie. – Kopie w krzesło. – Nie chcę cię zawieść, Lu. – Dolna warga drży. Zły znak. – I potrafię myśleć tylko o tym, że skoro ja jestem tak zmęczona, ty musisz... A Wren jest świetna. Nie chciałam...

Puszczam chwasty, wchodzę na ganek i siadam obok Eden.

– W porządku. Coś wymyślę.

Jaki mam wybór?

Rozumiem. Madame Renee jest przerażająca. Widziałam ją tylko kilka razy i za każdym razem zastanawiałam się, jak ciasno trzeba spinać włosy w kok, żeby brwi podjeżdżały aż do linii włosów. Też nie chciałabym z nią zadrzeć. I, szczerze mówiąc, nie pomyślałam, że taniec Eden może ucierpieć z mojego powodu. Właśnie na tym polega problem z pomaganiem. Ktoś zawsze ponosi koszty.

Mój mózg przegląda wszystkie możliwości, wynik jest zerowy. Nie mam nikogo innego. Nie spodziewałam się, że Eden mnie zostawi, a innego rozwiązania nie widzę. Widzę za to siebie i Wren, jak okutane w wypłowiałe i podarte koce zebrzemy na ulicy. Mamy brudne twarze i czarne paznokcie, trzęsiemy się z zimna. Akcja dzieje się w siedemnastym wieku, mówię z angielskim akcentem.

Digby trąbi.

Eden niecierpliwie macha ręką.

– Wstrzymaj wierzchowca, kowboju!

Trochę późno na hałasy. Widzę rozżarzony koniec papierosa na ganku Palacza.

Eden zniża głos.

– Madame Renee w każdej chwili może zadzwonić do mamy. Sama nie wiem, dlaczego... dlaczego sądziłam, że to się uda. Chciałam być twoją wybawicielką. Myślałam, że wasza mama wróci. – Zarzuca ramiona na moje barki, siedzimy tak, zwrócone do siebie twarzami. – Co z niej za człowiek, że nie wraca?

– Nie wiem. Co z niej za człowiek, że w ogóle odeszła?

Eden pociąga za kosmyk moich włosów.

– Odejść można na wiele sposobów.

*Odejść jest bardzo łatwo, myślę. Łatwiej niż zostać.*

– Lu – mówi Eden. – Uważam, że powinnaś komuś powiedzieć. Zaczyna się robić poważnie. Musisz kogoś powiadomić.

– Nie może – słyszę głos Digby’ego. – Skończyłyście się obściskować? Możemy przez chwilę logicznie pomyśleć?

Eden opuszcza ręce. Odsuwam się.

– Może system opieki społecznej nie jest taki zły.

– Musi być pięknie w świecie tęczy kucyków – mówi Digby. – Wróżki i krasnale to świetna sprawa.

– Zamknij się – warczy Eden.

– Obiecuj, że dasz znać, jak wylądujesz z powrotem na ziemi w towarzystwie ostatniego jednorożca.

– Ludzie są dobrzy. Czasami.

– Nie – odpowiada Digby. – Ludzie mają dobre intencje. A to dwie zupełnie różne rzeczy. Ktoś przyjdzie sprawdzić, co tu się dzieje, i wiesz, co zobaczy? Dwie opuszczone dziewczyny, ojciec w psychiatryku – bez obrazy, Lucille – jedna zarabia na życie jako półnaga kelnerka – bez obrazy, Lucille – bo inaczej nie miałyby nawet na rachunki, dom się rozpada... – Digby zerka na mnie.

– Bez obrazy – mówię.

– Żaden pracownik socjalny tak tego nie zostawi. – Digby opiera się o balustradę. Tak blisko. – Lucille nie może nikomu powiedzieć.

– Ale w lipcu kończy osiemnaście lat – mówi Eden.



Digby piorunuje ją wzrokiem.

Eden odwraca się w moją stronę.

– Lu, nie myślałaś o tym, żeby skontaktować się z tatą?

Jak mam powiedzieć, że nie wiem, gdzie on jest, że nie mogłabym się z nim skontaktować, nawet gdybym chciała?

Digby patrzy na mnie przez chwilę i oznajmia:

– Ja to zrobię. Sezon koszykówki jeszcze się nie zaczął. Mogę popilnować Wren.

Chyba padnę.

– Ale wasza mama...

– I tak prawie co wieczór wychodzę z Elaine. – Próbuję nie czuć tego ukłucia. – Szykuje się do jakiejś wielkiej debaty, jest bardzo zajęta. Powiem jej. Będzie mnie kryła, mama się nie zorientuje. Na pewno się uda.

– Czyż on nie jest słodki? – rzuca Eden z krzywym uśmiechem.

– A co, Eden? – Digby ściąga czapkę. Wkłada ją z powrotem. – Według ciebie mam się spokojnie przyglądać, jak przyjdą wyrzucić Wren i Lucille na ulicę? Myślisz, że zostawią ją w spokoju? Mogą je nawet rozdzielić albo wsadzić do jakiegoś ośrodka. Mam okazję pomóc. Więc mi nie przeszkadzaj.

– Okej – mówi Eden. – Może dzięki niemu trochę zyskasz na czasie, Lu. Ale to nie jest prawdziwe rozwiązanie. Musisz coś wymyślić. Coś na dłuższą metę, jeśli ona naprawdę nie wróci.

Moje gołe nogi zaczynają marznąć.

– A teraz dobre wieści – oznajmia Eden.

Gwałtownym ruchem otwiera drzwi.

– Cóż za rozmach – mówi Digby.

– Chodźcie do kuchni.

Gęsiego mijamy śpiącą Wren. Digby pochyła się w drzwiach. Wszystkie szafki są otwarte. I pełne po brzegi. Paczki z ryżem, zupy, puszki z warzywami, kuskus, kasza jęczmienna, pudełka makaronu. Na górnej półce w równym rzędzie płatki śniadaniowe: granola, owsianka i tak dalej.

– O w mordę – mówię. – Dzięki.

– Co? – pytają chórem. Bliźniaki.

– No, wy to zrobiliście, tak?

– Nie! – znów zgodny chórek.

– To kto?

– Po prostu przyjmij prezent, Lu – mówi Eden. – Darowany koń. Zęby i tak

dalej. – Patrzy na Digby’ego. – Prawda?

– I to mają być dobre wieści? – pyta Digby. – Eden, zastanów się. Pomyśl, co to oznacza.

– Że w szafkach jest mnóstwo zapasów. I, ta-dam! To jeszcze nie wszystko!  
– Eden otwiera lodówkę. – Proszę.

Lodówka też jest pełna. Pełna tak, że szpilki się nie wciśnie. Tak samo zamrażarka. Warzywa, owoce, jogurty, zapasy na kilka tygodni, śmietana, sery, tortille, lody, nuggetsy z kurczaka, mięso i ryby, jajka, sok, nawet woda gazowana. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego.

– Niesamowite, co? – mówi Eden.

– Czy ty nie rozumiesz? – niecierpliwi się Digby. – To znaczy, że ktoś wie. Ktoś, kto nie chce, żebyśmy wiedzieli, że ten ktoś wie. Dziwne.

– Skończ z tym cynizmem, Dig. To tak jakby zjawiała się dobra wróżka czy coś w tym rodzaju.

– Tak było, kiedy przyjechałaś? – pytam.

– Aha.

– To znaczy, że ten ktoś wszedł tu w środku dnia – stwierdza Digby. – To znaczy, że wie, na jak długo wychodzisz, że zabierasz Wren i że musi się pospieszyć. To z kolei znaczy, że ktoś was obserwuje. Uważnie.

– Cóż – mówi Eden i już nie ma takiej radosnej miny.

– No właśnie. Trochę niepokojące.

– Chyba zacznę zamykać drzwi na klucz – stwierdzam. W tym mieście nikt tego nie robi.

Digby opiera się o blat kuchenny. Zawsze się o coś opiera.

– Wydaje mi się jednak, że ta osoba nie ma wrogich intencji. Tajna akcja pomocowa.

Jest mi strasznie gorąco. Chcę, żeby sobie poszli. Muszę pomyśleć, a nie mogę, nie teraz, patrząc na te wszystkie zapasy, nie w obecności tych rudych patyków.

– Przynajmniej przez jakiś czas nie musisz się martwić o jedzenie – rzuca Eden. – Chociaż widzę tu strasznie dużo węglowodanów. – Wskazuje na blat.  
– Dobra, została jeszcze jedna niezbyt dobra wiadomość.

– Poważnie? – pytam. – Któraś ściana się zawaliła?

– Nie. Wren przyniosła notkę ze szkoły. Pani LaRouche chce rozmawiać z waszą mamą.

Kurczę się w środku.

– Pani LaRouche była najlepsza – mówi Digby. – Pamiętacie, jak nas uciszała?

– Bam, bam, bi, dam, bam – śpiewa Eden.

– Bam, bam – dopowiadam bezbarwnym głosem.

– To pewnie nic wielkiego – mówi Eden. – Tylko...

– Tylko trochę trudno nagle wytrzasnąć nieistniejącego rodzica.

– Właśnie.

Chowam twarz w dłoniach. Liczę do trzech. Zabieram ręce. Nie, świat nadal tam jest, ta sama planeta, to samo życie.

Eden marszczy twarz.

– Lu.

– Co?

– Krew ci leci z nosa. – Digby sięga po papierowy ręcznik, z tych droższych, leżący na szczycie gigantycznego stosu, który za sprawą magicznej sztuczki również pojawił się w mojej kuchni.

– Chusteczki też są – informuje Eden, wyciągając rękę w stronę salonu. – I pasta do zębów, i płyn do płukania ust, patyczki higieniczne...

– Stój. – Nie mogę. Nie mogę oddychać, wcale nie z powodu krwi kapiącej mi na wargi. Wszystko dzieje się jednocześnie, a ja nie potrafię uchwycić sensu, mam ochotę wybuchnąć śmiechem, tak jak tata. Śmiech bulgocze tuż pod powierzchnią, wiem, że jeśli go wypuszczę, to już nie zatrzymam. Kiedy Digby przyciska ręcznik do mojego nosa, wyrywam papier i walę go po rękę. Pierś unosi się i opada.

Eden gapi się na mnie.

– Dziewczyno – mówi.

Ściskając nos, jakimś sposobem docieram do kanapy w salonie, Digby i Eden są jak cienie, chcę, by zniknęli, żebym mogła pomyśleć. Cyfry, tyle cyfr, podskakują w mojej głowie jak tancerze irlandzcy, i mama, jej oczy są wielkie i takie niebieskie, i takie puste, patrzą na mnie, widzą mnie całą, moje bardzo krótkie szorty, seksowne szpilki i makijaż, i tata, nie wiadomo gdzie, i najlepsza przyjaciółka, ma przerażoną minę, i wszyscy pozostali, ich idealne zwykłe życie, i ja, i Wren, którą zawiodłam tyle razy, i dobry Samarytanin, który wie, i miłość, miłość, która stoi tuż przede mną, ofiaruje pomoc i jest poza zasięgiem, a ja jestem taka samotna i chcę, żeby wszyscy sobie poszli.

– Będzie dobrze – mówi Digby. Sięga po moją rękę, a ja ją zabieram. – Wszystko będzie dobrze.

– Idźcie do domu. – Mój głos jeszcze nigdy nie brzmiał tak twardo.

Bliźniaki chyba też tak sądzą, bo mają taką minę, jakbym dała im po twarzy.

Ocieram nos, chcę, żeby krew przestała płynąć. Podchodzę do zlewu, ochlapuję twarz, myję ręce, próbuję wymyć krew spod paznokci. Tusz do rzęs pewnie spłynął, ale w tym momencie jestem zbyt wkurzona, żeby się tym przejąć, i nie chcę patrzeć w lustro, bo nie wiem, kogo w nim zobaczę. Istnieje ryzyko, że je rozbiję. Lepiej więc nie patrzeć, w razie gdyby przesąd o siedmiu latach nieszczęścia okazał się prawdziwy. Wolałabym nie sprawdzać.

Witajcie w moim życiu.

Słaby żart.

Patrzą na mnie, jakby nie wiedzieli, co robić. Podchodzę do kanapy, wsuwam ramię pod ciało Wren, biorę ją na rękę.

– Pysznic? – pyta.

– Aha – odpowiadam jak najciszej, żeby nie dosłyszała bólu w głosie. – Pysznic.

Ruszam na górę. Jeszcze dwanaście stopni. Nie oglądam się, ale słyszę, jak drzwi się zamykają, jak warczy silnik Bestii. Kiepsko, że sobie poszli, ale gdyby próbowali zostać, chyba rozszarpałabym ich na strzępy.

Sadzam Wren w łazience, z głową wspartą o ścianę, wracam na dół, zamykam żaluzje w oknach wychodzących na ulicę, gaszę światła i przekręcam klucz w zamku.

## *Dzień pięćdziesiąty*

**I**dę do biblioteki, żeby wysłać mail do pani LaRouche z konta mamy, bo zabrała ze sobą laptop taty. Bibliotekarka, nie podnosząc wzroku znad książki, podaje mi formularz i macha bardzo długimi paznokciami.

– Dobra książka? – pytam.

– Aha – odpowiada, wskazując w kierunku pokoju komputerowego. – Dobra.

Wpisuję hasło. Tonylaura1031. Z pewnością niezbyt bezpieczne. Rodzice poznali się w Halloween, na jednym z koncertów taty, a wiele lat później mama również w Halloween urodziła Wren. 1031. Jeśli ktoś poznałby ten jeden prosty fakt, zyskałby wzgląd we wszystkie prywatne sprawy Bennettów. No, może potrzebowałby jeszcze tylko numer konta bankowego.

W skrzynce jest pięćset pięćdziesiąt jeden nowych wiadomości. Od wyjazdu chyba ani razu nie sprawdzała poczty. Niektóre wyglądają na dość istotne, przez chwilę przeglądam tematy. Większość jest bez znaczenia. Wyprzedaż w Gapie. Specjalna oferta z biura podróży, na Bahamy.

Zabieram się do pracy. Jako mama wyjaśniam pani LaRouche, że nie mogę wyrwać się z pracy i wysyłam na rozmowę Lucille, można jej przekazać wszelkie potrzebne informacje.

Czekam.

Czytam serwis informacyjny, co wpędza mnie w poczucie winy, bo mam mnóstwo zaległej pracy domowej, a ta sympatycznie wyglądająca pani obwieszona torbami najwyraźniej czeka na mój komputer. Nieważne. Należy mi się trzydzieści minut. Wchodzę na stronę E! News i odkrywam, że facet, który gra w najnowszym filmie o zombie/wilkołakach/sadystycznych mordercach spał z aktorką poznaną na planie, a jego ciężarna żona siedziała w tym czasie w domu, a teraz chciałby wszystkim powiedzieć, że jest mu bardzo przykro. Niedawno byłam na bieżąco z niusami o celebrytach.

Zostałam w tyle. Od pewnego czasu takie problemy wydają mi się głupią powierzchowną paplaniną, ale muszę przyznać, że w tym momencie nawet sprawia mi ona przyjemność.

Mój czas się kończy, już mam oddać komputer kobiecie z torbami, gdy przychodzi mail.

Pani LaRouche chętnie spotka się z Lucille. Miło będzie ją zobaczyć po tak długim czasie. Może dzisiaj po południu?

Chciałabym zadzwonić do Eden, spytać, co mam robić, jak to załatwić, ale wiem, że nie mogę. Poprzedniej nocy, kiedy kazałam jej wyjść, stało się coś złego, tylko nie bardzo wiem co.

Szkolna sala wygląda niemal tak samo jak wtedy, kiedy chodziłam do czwartej klasy. Zmieniły się plakaty z okładkami książek, ale nadal pachnie tu sokiem jabłkowym i nieuchronnie nadciągającym dojrzwaniem. Wren czeka na mnie na boisku, w towarzystwie Shane i Melanie, słyszę dobiegające stamtąd dziecięce głosy.

Pani LaRouche siedzi za biurkiem, okulary tkwią na czubku jej nosa tak nisko, że nie mam pojęcia, jakim sposobem nie spadają. Niewyraźny podbródek zrobił się jeszcze bardziej niewyraźny. Fryzura na pазia wyszła z mody jakieś trzydzieści lat temu.

– A. – Wyskakuje zza biurka i obdarza mnie kościstym uściskiem. – Lucille Bennett. Kawał czasu, co? – Pochodzi z Georgii, zachowała akcent. Zęby są bardziej żółte niż w moich wspomnieniach. Wygląda na to, że starość jest do bani. – Siadaj, proszę.

Siadam.

– Dla mnie chyba zawsze będziesz miała dziewięć lat. – Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, co wybaczam jej tylko dlatego, że kiedyś była moją nauczycielką. – Wyrastasz na piękną kobietę. – Powiedziała „kobietę”. Zgroza. – Jak się miewasz, kochanie?

– W porządku – mamroczę. – Ostatnia klasa liceum.

– Naprawdę? – Kręci głową. Włosy w ogóle się nie ruszają. – Ależ ten czas pędzi. Co zamierzasz studiować?

Niczego nie zamierzam.

– Chyba zrobię sobie rok przerwy – mówię.

Zapada niezręczna cisza, jakby pani LaRouche czekała, aż się wytłumaczę, ale muszę ją rozczarować.

– A więc chodzi o Wren? – Nie chcę wydać się niegrzeczna, lecz każda kolejna minuta w tym miejscu grozi atakiem paniki.

– Tak. – Pani LaRouche spogląda na papiery w swojej dłoni. – Oczywiście. Szkoda, że twoja mama nie mogła przyjść. To dość poważna sprawa.

Wytrzymam, nieważne, o co chodzi. Jestem silna.

– Tak, zmienili jej grafik. Straszne zamieszanie. Jakaś nowa polityka w zawodzie pielęgniarskim. – Kłamstwo powraca.

– Cóż, napisała, że mam ci o wszystkim powiedzieć.

– Rozumiem.

– Zacznę od tego, że twoja siostra jest niezwykłym dzieckiem.

– Wiem.

– Pod wieloma względami jest rozwinięta znacznie bardziej niż rówieśnicy. W przedmiotach ścisłych, w matematyce.

– O.

– Posiada też ponadprzeciętne zdolności językowe. Czy wiedziałaś, że Wren czyta teksty na poziomie dziewiątej klasy?

Powinnam czytać jej na głos wieczorami. Tyle rzeczy powinnam.

– Szczerze mówiąc – podejmuje – gdyby decyzja należała do mnie, przeskoczyłaby jedną klasę. Program to dla niej pestka, nauka idzie jej jak z płatka.

– To chyba dobrze, prawda? – pytam.

– Cóż. – Zdejmuje okulary, które spadają na szyję. Patrzy mi prosto w oczy.

– Tak, to dobrze, ale jednocześnie martwię się o nią.

– Rozumiem.

– Wren robi wrażenie zalęknionej i niespokojnej, szczególnie od pewnego czasu. – Podaje mi kartkę.

Żołądek zaciska się boleśnie.

– Ostatnio poprosiła, czy może siadać z boku, z dala od pozostałych dzieci. Skarży się, że męczy ją hałas. – Pani LaRouche wskazuje na stolik w kącie. – To jej ulubione miejsce. Niby traktuje tę sprawę lekko, ale tak naprawdę dąży do izolacji. Martwię się, że Wren znika we własnym świecie, nie szuka kontaktów z innymi uczniami. Chciałabym zaproponować jej spotkania z psychologiem szkolnym, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Ale właściwie po co? – Oddycham. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. – Czemu miałyby to służyć?

– W ciągu kilku ostatnich miesięcy – tłumaczy łagodnym tonem – w życiu

Wren nastąpiły poważne zmiany. – Wzdycha. – Naprawdę wolałabym porozmawiać na ten temat z waszą mamą. Ta sytuacja z pewnością jest trudna dla was wszystkich.

– Nie jest tak źle – mówię. Zastanawiam się, jaką odpowiedź chciałaby usłyszeć dorosła osoba. – Przechodzimy okres adaptacyjny.

– No dobrze. Chciałabym ci coś pokazać. – Podaje mi kartkę zapełnioną pismem Wren, różowy atrament, zawijasy, serduszka nad „i”.

– Mam przeczytać?

– Bardzo proszę. Nie spiesz się.

„Mój bohater.

Moim bohaterem jest Bosonoga Contessa. Contessa gotuje i jest pulchna, zawsze zaprasza gości na obiad, a do nas nigdy nie przychodzą goście, tylko Eden i Digby. Contessa mieszka w pięknym domu, a nasz dom wcale nie jest ładny. Contessa ma miły głos, a kiedy kogoś przytula, jej uściski są jak ciasto. Na pewno powiedziałyby mi, że jestem ładna, chociaż wcale nie jestem. I nigdy by mnie nie zostawiła”.

Kładę kartkę na biurku. Pani LaRouche siedzi dokładnie naprzeciwko mnie.

– Czy rozmawiacie w domu o tym, co wydarzyło się latem?

Potrząsam głową.

– Przypuszczam, że te wydarzenia wpłynęły na Wren mocniej, niż sama chciałaby przyznać, i martwię się, że jeśli otwarcie nie porusza się tego tematu, może ją to przerosnąć. Wren potrzebuje przestrzeni, w której będzie mogła wyrazić swoje uczucia, nie bojąc się konsekwencji.

Kiwam głową.

– Na tym etapie zalecałabym terapię rodzinną. Mamy w mieście kilku świetnych specjalistów. – Podaje mi kartkę z listą nazwisk. – Ale jeśli nie bierzecie tego pod uwagę, byłoby dobrze, aby Wren przynajmniej wiedziała, że istnieje bezpieczne miejsce, gdzie może porozmawiać o tym, co czuje. Często takie utalentowane dzieci nieświadomie biorą na siebie całą winę i smutek towarzyszące podobnym sytuacjom. – Dotyka zimną dłonią mojej dłoni. – Mogą wystąpić stany depresyjne.

– Wydaje się radosna.

– Agresja, narkotyki, zaburzenia odżywiania...

– Dobrze! – mówię znacznie głośniejszym głosem, niż zamierzałam. – Dobrze – powtarzam już ciszej. – Powiem mamie, żeby podpisała papiery. Niech Wren z kimś porozmawia. Zajmę się tym.



Chcę jak najszybciej się stąd wydostać. Chcę pobiec na boisko i mocno ją przytulić, ponieważ wszystko widzi, widzi za dużo, a ja nie mogę temu zapobiec ani jej pomóc. Chciałabym zatrzymać cały świat, rzucić na nią czar, by zasnęła jak Śpiąca Królowna i obudzić ją pocałunkiem, kiedy wszystko naprawię i uporządkuję.

– Zdaje się, że lubi Melanie St. James. Znasz tę dziewczynkę?

– Tak. Parę razy byliśmy razem w parku.

– Wasza mama mogłaby zachęcić Wren do pogłębiania tej przyjaźni. To mogłoby pomóc. Nigdy nie wiadomo.

Kiwam głową.

– A ty, skarbie? – Ściska moją rękę i nagle uświadamiam sobie, że trzyma ją już od dłuższej chwili.

Moje wargi zaczynają drżeć. Mam nadzieję, że nie spyta mnie wprost, jak sobie radzę.

– No tak, to musi być trudne dla was wszystkich, szczególnie że mama tyle godzin spędza w pracy, wszystkim musi się sama zajmować.

Cha. Cha!

– Dobrze, że Wren nie musiała zeznawać – dodaje. – Ale ty tak, prawda? Widziałaś, co się wtedy wydarzyło?

Moje głupie słabe wnętrze skurczyło się do zera, zeszło z biurka i trzyma się kurczowo pani LaRouche, jakby była ostatnią dobrą rzeczą we wszechświecie. Uwalniam dłoń. Nie będę płakać przy tej kobiecie.

Podnoszę się, uśmiecham, w miarę możliwości.

– Zajmiemy się Wren, proszę pani. Nie będzie sprawiać kłopotów.

– Nie o to chodzi, kochanie – mówi śpiewnie. – Wren przechodzi trudny moment. To się zdarza każdemu, raz czy dwa w ciągu życia. – Również wstaje, dotyka tkaniny przedpotopowej sukienki drukowanej w etniczne wzory. – Po prostu chciałabym, żeby dała sobie radę, żeby nie odniosła szkody. Życzę tego wam obu.

– Dziękuję – odpowiadam, szczerze. Ja też tego pragnę.

– Przykro mi, że jesteś smutna, skarbie – mówi, kiedy docieram do wyjścia.  
– Szkoda. Byłaś takim radosnym dzieckiem.

Po tym spotkaniu potrzebuję czasu, by pomyśleć. Shane proponuje, że zabierze dziewczynki na lody, jest piątek i nie idzie do pracy. Tak jak i ja.

Od bardzo dawna nie jeździłam na rowerze. Jadę ścieżką wzdłuż rzeki,

naciskam pedały z całej siły, aż moje mięśnie zaczynają płonąć, a płuca łopotać z wysiłku. Teren jest płaski, mijam kilku biegaczy, ale po chwili zostawiam wszystkich w tyle, mijam skały, miasto, jadę dalej, spocona jak mysz, patrząc na migającą po bokach zieleni.

Myślę. Jeżeli sfalszuję podpis mamy, będą zadawać Wren mnóstwo pytań i w końcu ktoś odkryje prawdę. Ryzykowne. Ale jeśli nie podpiszę, pani LaRouche nabierze podejrzeń i wyjdzie na jedno. Nie widzę sensownego rozwiązania.

Zeskakuję z roweru, opieram go o drzewo. Wchodzę między drzewa, znajduję odpowiednie miejsce i kładę się na ziemi. Mija może minuta i nagle spada z nieba jakiś wielki kształt, zatacza kręgi, nurkuje, łamie gałąź tuż nad moją głową. Rozlega się trzask, jak wystrzał z broni, porusza powietrzem. Wszystko dzieje się bardzo szybko. To bielik amerykański, prehistoryczne groźne stworzenie. Ogromne.

Patrząc, jak odlatuje, zastanawiam się, co to mogło znaczyć. Jeśli rzeczywiście istnieje coś takiego jak znaki, o których wspominała Eden, to co to było? A potem samotność, brutalna i bezlitosna, potrząsa wściekle pięściami, moje paznokcie drapią ziemię. Jestem tak potwornie samotna, że ludzie w Chinach na pewno czują moją samotność przez podeszwy butów. Kładę się na plecach i patrzę na jasną plamę, gdzie przed chwilą rosła gałąź, teraz złamana, pogruchotane ramię.

Wracam do domu bardzo powoli, a po powrocie podpisuję papiery.

## *Dzień pięćdziesiąty trzeci*

**J**est poniedziałek rano, właśnie weszłam do budynku szkoły, piję już trzecią kawę, która nie odnosi żadnego efektu, nie licząc poirytowania. Ble, angielski. Ble, myśleć. Ble, chodzić. I, rany, błagam, tylko nie mówić. Podchodzę do szafki, ostrożnie trzymając papierowy kubek w zębach, zaczynam wkładać książki do plecaka. Nikt nie zagaduje. Nigdzie nie widzę Eden. Tylko Shane, która lekko klepie mnie w ramię, przechodzi obok w towarzystwie szkolnych koleżanek. Nasza znajomość nie przenosi się na teren szkoły, ale dobrze wiedzieć, że Shane jest w pobliżu. I tak zresztą nie miałabym z nią o czym rozmawiać. W głowie pustka. Nie myślę o rachunkach ani o Wren, ani o beznadziejnych rodzicach. Szczerze, to życie jest do dupy i mam je w dupie.

Tylko mój stan umysłowy tłumaczy, jakim sposobem Digby zdołał podkraść się niespostrzeżenie, bo ostatnimi czasy pilnie się go wystrzegam. Nie widziałam go od tamtego wieczoru, kiedy praktycznie wywaliłam go z domu. Eden też nie. Na pewno mnie unika, bo przecież ma szafkę tuż obok mojej.

– Hej – mówi Digby, w ten swój charakterystyczny sposób, jakby się zastanawiał, jak sprawić, żeby słowa zechciały wyjść z jego ust. – Jesteś.

– Hej. No jestem.

Stoi blisko, ale nie za bardzo. Korytarz pustoszeje, wszyscy znikają w klasach.

– Tak sobie myślałem... – zaczyna, wsuwając kciuki pod paski plecaka.

– Przynajmniej jedno z nas.

– O. – Nerwowo szura stopami. – No tak.

– To o czym myślałeś?

– Hm. – Uśmiecha się i uświadamiam sobie, że robi to niezbyt często. – Tak pomyślałem, że może miałabyś ochotę się stąd wyrwać.

Czuję wiele rzeczy naraz. Chcę uciec. Chcę wskoczyć na niego, sprawdzić, czy mnie złapie, czy pozwoli upaść. Widocznie ze zmęczenia cierpię na brak

równowagi psychicznej.

– Kiedy ostatnio urwałaś się ze szkoły? – pyta Digby.

– W piątek.

– Serio? – Jego twarz zastyga. – Faktycznie, przez cały dzień cię nie widziałem.

– Ale wcześniej, nigdy. – Udaję kaszel. – Poważnie zachorowałam, kaszel i gorączka z powodu wychłodzenia.

Kciukiem i palcem wskazującym chwyta za moją koszulkę i pociąga.

– Chodź.

Dzwonek.

– Dokąd?

– E-e. Musisz mi zaufać.

– Zaufać – powtarzam.

– Potrafisz.

– Co?

– Zaufać mi.

– O.

– No to idziemy.

Nie ruszam się.

– Teraz albo nigdy. – Wyciąga kluczyki z kieszeni, potrząsa nimi, a dźwięk budzi moje stopy do życia.

Wychodzimy tylnymi drzwiami. Nie spotykamy po drodze Shane ani Eden, ani (co za szczęście) Elaine, ani żadnego z nauczycieli. Chwilowo wszechświat mi sprzyja.

Chciałabym zapytać Digby'ego o Elaine, zapytać, dlaczego zaproponował mi tę wycieczkę, czy dlatego, że mu mnie żal z powodu szortów i wysokich obcasów, czy może chce w ten sposób ogłosić rozejm.

Ale nie pytam.

Idę obok niego, myśląc o tym, jak przyjemnie byłoby wziąć go za rękę.

O, wy, świetliste zielone oczy! O, właścicielu idealnych piegów!

*Ty dasz mię na strawę robakom.*

Jedziemy do Filadelfii. Digby ma plan. Oznajmia, że jeśli się pospieszymy, zdążymy zwiedzić Independence Hall i Dzwon Wolności i zjeść sławne kanapki filadelfijskie, zanim Wrenny skończy lekcje. Mówi „Wrenny”, tak jak

ja, przez chwilę czuję, że coś nas łączy.

Zamykam oczy, chłodny październikowy wiatr owiewa mi twarz. Digby siedzi za kierownicą, wiezie mnie dokądś i chociaż uważam, że ten poranek przybrał bardzo dziwny obrót, kiedy próbuję sobie wyobrazić jakieś inne miejsce, w którym wolałabym być w tym momencie, to nic nie przychodzi mi do głowy. Wbrew wszystkiemu zasypiam.

Kiedy się budzę, jesteśmy na parkingu, pachnie olejem i śmieciami. Digby na mnie patrzy.

Mam nadzieję, że nie spałam z rozdziawioną japą ani nic w tym stylu.

– Co za ulga – mówi. – Już się bałem, że popsujesz cały plan.

– Trzeba mnie było obudzić.

Wzrusza ramionami.

– No to chodźmy. Najpierw trochę nauki. Wycieczka zaczyna się o dziewiątej trzydzieści.

Nasza przewodniczka jest dość wiekowa. Ma na imię Mildred – pomyślcie tylko, kiedy ostatnio spotkaliście kogoś o tym imieniu? Wchodzimy do sali, Mildred pyta, skąd jesteśmy. Szwajcaria, dwie rodziny z Niemiec, nie znają się, ale od razu zaczynają rozmawiać, powtarzają *ja, ja* i ściskają sobie ręce z energią i oddaniem. Samotny facet z Kolumbii. Uczniowie piątej klasy z miejscowej szkoły. Wszyscy gadają. Mildred czeka cierpliwie, w końcu puszcza film o Deklaracji Niepodległości. Digby ogląda bardzo, bardzo uważnie, a ja próbuję nie gapić się na niego przez cały czas.

Mam ochotę zrobić test. Czy jeśli potrę łokciem o jego łokieć, moja twarz zacznie wysyłać impulsy elektryczne?

Mildred wyprowadza nas z ciemnego pomieszczenia do sali, w której podpisano Deklarację – Independence Hall. Chodzimy dokoła.

– Wyobraźcie sobie tę salę wypełnioną mężczyznami, wszyscy próbują przedstawić swoje racje, kłócą się. Środek lata, zero klimatyzacji. Siedzą tu przez kilka tygodni. – Mildred Rozentuzjasmowana. Mildred Mądra.

Podoba mi się Dzwon Niepodległości, podoba mi się pęknięcie i wszystkie związane z nim historie. Digby, mój Digby, otwiera przede mną drzwi, prowadzi mnie przez tłum. Porusza się dokładnie tak samo jak na boisku. Przemyka zwinnie, w chłopięcym stylu. Ma wdzięk, tak jak Eden. Nie wpada na ludzi tak jak ja. Bez trudu odnajduje drogę, zdecydowanie zmierza w określonym kierunku.

– Nie za wiele można tu robić – stwierdza. Od pięciu minut stoimy obok siebie w milczeniu, gapiąc się na dzwon.

– Zdjęcie? – proponuję.

Turyści ustawiają się z przodu, tam, gdzie widać pęknięcie, on jednak przechodzi na drugą stronę, gdzie nikogo nie ma.

– Nie będzie widać – mówię.

– Że to Dzwon Wolności?

– Aha. No bo bez pęknięcia co w nim jest szczególnego? To zwykły dzwon.

– To, że pęknięcia nie widać, nie znaczy, że go tam nie ma.

– Wiesz – mówię, szczerząc się jak zaburzony clown – to było naprawdę głębokie, Digby Jonesie.

– Bo ja jestem głęboki. – Przekrzywia głowę na bok, grzywka opada mu na czoło. Jestem Dzwonem Wolności. Bim. Trzask. Bim. – Zrób zdjęcie.

Robię. Głupio na nim wygląda. Na zdjęciu jego samczość nie ujawnia się nawet w jednej tysięcznej. Znalazłam skazę: jest nefotogeniczny. Co za radość.

– Teraz ty – mówi.

– O, e-e.

Protestuję, do chwili, kiedy kładzie ręce na moich barkach i ogarnia mnie całkowita niemoc.

– Spójrz w bok – rozkazuje. Czuję, że się czerwienię, wygładzam spódnicę. Kolejna rzecz, którą podkrađłam z szafy mamy. – Uśmiech.

Uśmiecham się. Myślę o nim, myślę o tym, że teraz będę miała zdjęcie zrobione przez niego, i nawet jeśli wyglądam okropnie, to będę pamiętała, że w tej chwili byliśmy razem. Dowód rzeczowy, tylko i wyłącznie dla mnie.

– Jest coś takiego w zarysie twoich kości policzkowych. – Oddaje mi telefon. – I kształcie uszu.

– Uszu?

– Są niebezpieczne. – Śmieje się, ale jest to śmiech pozbawiony radości.

Nie wiem, jak zareagować, więc wsadzam telefon do kieszeni.

– Przepraszam pana – mówi Digby do strażnika, który niesamowicie przypomina jednego aktora, nie mogę sobie przypomnieć którego. – Gdzie można kupić najlepsze kanapki filadelfijskie?

Facet wyciąga rękę przed siebie.

– Jakies sześć przecznic stąd. Satysfakcja gwarantowana. Można podjechać dorożką. Bardzo romantycznie.

– Nie, nie – broni się Digby. – Dziękuję. Nie jesteśmy... To nie...

– Dobra – mówi aktor. – Spokojnie. Taka propozycja. Niczego nie sugeruję. Można z buta. Też dacie radę.

Po drodze Digby pokazuje na dziewczynę w bardzo krótkiej spódniczce i komentuje, że włożyła znaczek pocztowy. Opowiada, że wycieczki po mieście to jedna z jego ulubionych rozrywek. Że historia Stanów jest niesamowita i chciałby wiedzieć więcej, ale nie kręcą go żadne rekonstrukcje i tym podobne, nie jest takim fanatykiem. Rozlega się dźwięk przychodzącej wiadomości, Digby wyciąga telefon z kieszeni, odpisuje, nie zatrzymując się. Pewnie Elaine.

Próbuję uważać, ale mogę myśleć tylko o tym, jak zareagował, kiedy strażnik-aktor wziął nas za parę. Wiem, że Digby jest dobrym człowiekiem, bardzo dobrym człowiekiem. Takim typem, który, kiedy widzi dziewczynę pogrążoną w rozpacz, to bardzo chce zrobić dla niej coś miłego, na przykład wyrwać ją na jeden dzień z opresyjnej codzienności. I jest tak zakręcony, że uważa zwiedzanie Independence Hall za świetną rozrywkę. No i nie tak ryzykowną jak wizyta w ciemnym kinie czy coś w tym rodzaju.

*Czy ty rozumiesz, zdradziecki mózgu? On ma dziewczynę. Kocha ją. Ją, nie ciebie. Informacja przebiła się do szarej materii? Odsuwam się trochę, żeby zwiększyć dystans między Digbym i moimi myślami.*

Tylko dlaczego powiedział, że mam niebezpieczne uszy?

– Rozbiliśmy bank – mówi Digby, kiedy facet za kontuarem robi nam kanapki z serem i wołowiną. Rzeczony facet jest cały w tatuażach i ma braki w uzębieniu. Kroi cebulę i chilli, przesuwając kawałki stekopodobnej substancji po rozgrzanej blasze. Jak wygląda jego życie? Kto czeka na niego w domu? Piwo? Kochająca żona? Kochający mąż? Ludzkie głowy w zamrażarce?

– Lucille! – woła sprzedawczyni. Też ma braki w uzębieniu.

Chwytam kanapki, Digby zabiera cole. Wychodzimy, bo jest pora obiadowa i w środku nie ma miejsc.

– Tam. – Digby wskazuje na ganek przed budynkiem mieszkalnym. Siadamy.

– Lubię Filadelfię.

– Z powodu takich widoków? – Pokazuję opuszczony budynek po drugiej stronie ulicy. Siedzi tam grupka starszych panów, piją piwo z papierowych toreb. Mówię sobie w duchu, że niedługo pewnie też tak skończę.

– Nie. – Digby wgryza się w kanapkę. Tłuszcz i kawałki papryki wylewają

się z żółtego papieru. – Z powodu tego. – W tym samym momencie, jak na zawołanie, ulicą przejeżdża facet na motocyklu, prawie goły, stopy trzyma na siedzeniu i jedzie na tylnym kole. Mija światła z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Obłąd – mówię.

– Filadelfia.

Przez chwilę skupiamy się na jedzeniu. Digby zerka na mnie z boku.

– Wiesz, o czym niedawno myślałem?

– No? – To jest naprawdę bardzo, bardzo smaczna kanapka. Szczególnie że kupił mi ją Digby. Cola spływa do gardła z idealną ilością bąbli.

– O obrazach, które malowałaś, jak byliśmy mali.

Wycieram skapujący tłuszcz. Tego z pewnością się nie spodziewałam.

– Co konkretnie?

– Zastanawiam się, czy nadal malujesz.

Kręcę głową.

– Szkoda. Były dobre. To znaczy, wtedy tak uważałem. Zawsze byłaś usmarowana farbami. Pamiętam, że moja mama powiedziała twojej, żeby ci kupiła ogrodniczki, bo zniszczysz wszystkie ubrania.

A więc to stąd się wzięły ogrodniczki. Zapomniałam. A malowanie?

Niesamowite, o jakich rzeczach człowiek potrafi zapomnieć. Nawet na swój własny temat. Ostatni raz trzymałam pędzel w ręku chyba w wieku dziewięciu lat.

– Dlaczego przestałaś?

– Sama nie wiem. Tak jakoś. Chyba wyrosłam.

Zrywa się wiatr. Mimo że to ulica w środku miasta, robi się bardzo cicho.

– Wszystko w porządku? – pyta w końcu Digby.

– Jasne. – Kładę kanapkę na kolanach.

– Znaczy, chodzi mi o twoją mamę, tatę i w ogóle.

– W porządku. – Mówię to zbyt głośno, aż sama podskakuję z przerażenia. – Jezu. Chciałabym, żeby ludzie wreszcie przestali zadawać mi to pytanie. Jak będzie źle, to powiem.

– Okej, okej. – Digby mnie papier. – Chciałem być uprzejmy.

– Możesz dostać resztę. – Wyciągam niedojedzoną kanapkę w jego stronę. Marna próba okazania pokojowych zamiarów.

– Dzięki, wystarczy. – Potrząsa głową, włosy znów opadają mu na czoło, zasłaniają jedno oko. – Mam dla ciebie niespodziankę.



Okazuje się, że w lokalu kilka przecznic dalej odbywa się koncert. Digby rzeczywiście starannie zaplanował ten dzień. A więc jednak zabiera mnie do ciemnego wnętrza. Digby Jones okazuje się tajemniczy i zaskakujący.

Ludzie stoją na sali, popijając piwo, niektórzy nawet tańczą. Gra kapela Jupiter's Green Daisy, są tak niesamowici, że ściska mnie w gardle. Tacie na pewno by się podobało. To jest dom. Już zapomniałam. Muzyka pozbawia nas ciężaru bycia człowiekiem, pozwala o niczym nie myśleć, tylko słuchać. Muzyka potrafi opowiedzieć każdą historię. Ta nie jest za bardzo do tańczenia. Raczej do bujania. Poddaję się melodii. Nie mogę się oprzeć, zaczynam się kołysać, a Digby stoi tak blisko, tuż za mną, czuję jego obecność. Chcę się o niego oprzeć, ale tego nie robię. Nagle czuję jego palce na swoim ramieniu, dotykają mnie bardzo lekko, przesuwają się powoli, moje płuca rozszerzają się coraz bardziej, robią się ogromne. Nie chcę, żeby to się skończyło.

*Nie przerywaj.*

W idealnej filmowej wersji życia w tym momencie Digby chwytą mnie w ramiona, obraca w swoją stronę i całuje. Otaczają nas nieprzeniknione ciemności, muzyka dudni w naszych wnętrzach, jego wargi dotykają moich, czuję w sobie jego gorący oddech. To nie jest jeden z tych smętnych mokrych pocałunków, jakie do tej pory miałam okazję zaliczyć. Ani z tych, które przypominają papier ścierny.

Muzyka cichnie, jego ręka opada, wszystko się kończy. Mówię, że zaraz wrócę i idę do łazienki. Coś ucieka spod moich stóp. Czy to ziemia? Patrę na swoje odbicie w brudnym lustrze, widok, którego od dawna unikam.

*Ale jesteś porąbana, dziewczyno, mówię w myślach do lustra.*

Kobieta o jaskraworudych włosach potraktowanych farbą Manic Panic nakłada szminkę w odpowiednio dobranym odcieniu. Mam ochotę ją spytać, czy nie mogłybyśmy się zamienić ciałami. Mam ochotę pobiec z powrotem do Digby'ego, opleść go w pasie nogami, opleść go całym ciałem. Chcę go zapytać, czemu mi to robi. Chcę wykrzyknąć, że ze mną pogrywa, że jeśli mnie nie chce, ma przestać mnie dotykać, że inaczej w nim zatnę, już tonę. Zmuszam się, by jeszcze raz spojrzeć w lustro. Wren miała rację. Wyglądam jak mama.

Droga powrotna przebiega w niemal całkowitej ciszy. Uchyliłam okno po swojej stronie, w tle gra płyta, której nie rozpoznaję. Migająca zieleń na

zewnątrz wygląda jak zupa, jedziemy szybko, szybciej, niż bym chciała, z powrotem do Cherryville.

– Wiem, że nie chcesz rozmawiać o... różnych sprawach – mówi Digby. – I nie mam zamiaru cię denerwować.

Odrywam nos od szyby, patrzę na niego. Bolą mnie oczy. Wszystko boli.

Spogląda na mnie, ale zaraz skupia wzrok na drodze.

– Ale – podejmuje – zastanawiałaś się, kto mógł się włamać do waszego domu? Nie męczy cię to? Bo mnie tak.

– Aha. Chyba tak. – Kosmyk opadł mu na policzek, mam ochotę go odgarnąć. – To na pewno nie wy?

– Nie.

– Przysięgasz?

– Spójrz na mnie – mówi.

Patrzę. Patrzę. Patrzę.

– Nie przyniosłem tego jedzenia. Powiedziałbym ci. Przysięgam.

Znów mam ochotę się rozpłakać. Odruch prosto z piekła.

– Hej. – Kładzie dłoń na mojej nodze. – Przepraszam. Nie chciałem... To znaczy, uważam, że ktoś wykonał fajny gest. I gdybym... Też bym tak postąpił, gdybym tylko pomyślał. Ale nie pomyślałem.

Przełykam ślinę. Odzyskuję kontrolę. Patrzę na dłoń Digby'ego.

– Tak sobie ostatnio myślałam, że może istnieją zjawiska, których nie potrafimy wyjaśnić – mówię. – I kiedy przydarza nam się dużo złych rzeczy w jednym czasie, to w końcu musi się też zdarzyć coś dobrego.

– Magia? – Śmieje się, zabiera rękę, zmienia bieg. – Daj spokój, Lucille.

– Równowaga – poprawiam. Wiem, że gadam jak wariatka. Jego mina wyraźnie o tym świadczy.

– Może – mówi, a kiedy kolejny raz zmienia bieg, jego dłoń muska moją. – Może i tak.

Podwozi mnie pod szkołę Wren.

– A więc podczas dzisiejszej wycieczki widzieliśmy kobietę ubraną w znaczek pocztowy, półnagiego faceta na motorze, uczestniczyliśmy w lekcji historii, spożyliśmy wyśmienite kanapki i nawet zaliczyliśmy koncert, a wszystko to w ciągu jednego dnia. – Odchyła się i opiera o szybę, van mruczy, jakby się niecierpliwił. – Nie najgorzej.

– Aha. Fajnie było się wyrwać. – Pan Bob, woźny, przycina krzaki przed

szkołą. Pamiętam pana Boba. Miły gość. – To był udany dzień.

– Czasem trudno zapamiętać dobre chwile.

– I ty to mówisz? Niemożliwe. Idealna rodzina, idealne wyniki w nauce, osiągnięcia sportowe, idealna dziewczyna. – Wkładam plecak. – Idealna twarz, idealne ciało. – Sięgam do klamki. Nie muszę na niego patrzeć.

Ale słyszę, jak wzdycha.

– To widzimy się za godzinę? – pyta.

– Tak?

– Wren.

– No tak. – Faktycznie. Muszę iść do pracy.

– To na razie.

– Na razie.

Wysiadam z samochodu, już prawie dochodzę do dziedzińca, na którym czekają rodzice i opiekunki, odwracam się. Chcę powiedzieć: „Dziękuję za idealny dzień”, nie dziesięć razy, ale dziesięć tysięcy razy. *Jeden idealny dzień w twoim towarzystwie to wszystko, czego potrzebowałam, i właśnie to mi dałeś. Powiedziałeś, że mam niebezpieczne uszy. Kupiłeś mi kanapkę. Zapytałeś, czy się trzymam. Znów dotykałeś mojego ramienia i przez trzy minuty myślałam, że się we mnie zakochałeś.*

Ale on już odjechał. Ale mam zdjęcia, to na którym na niego patrzę i to, na którym on patrzy na mnie. Dwa zdjęcia wyłącznie moje.

Jestem w wielkiej bańce, próbuję przypomnieć sobie szczegóły tego dnia, rzeczy, które będę chciała zobaczyć wyraźnie, później, leżąc sama w łóżku. Wspomnienia umykają, trzeba znaleźć sposób, by je zatrzymać. Łopatki sterczące pod koszulką, drżenie dłoni, kiedy wyciągnął portfel, żeby zapłacić za kanapki, uwaga, z jaką słuchał Mildred, i jak potem, kiedy zaprowadziła nas do Independence Hall, powiedział: „Dziękujemy pani”. Muzyka, oszołomienie. Jego palce, delikatniejsze-niż-przypuszczałam.

– Co słyszać? – Andrew, sąsiad mieszkający po drugiej stronie ulicy, włożył marynarkę w pepitkę, ma czyściutkie paznokcie, jasne błyszczące oczy, w rękę trzyma zieloną parasolkę.

Spoglądam w niebo. Raczej nie zanoszą się na deszcz.

– Dobrze. – Lubię Andrew, więc zdobywam się na pewien wysiłek. – Wszystko w porządku.

– To dobrze. – Opiera parasolkę o ziemię. Jaka ładna. Nowa i solidna.

– Jak Amelia? – To jego córka.

– O, świetnie. Zwyczajne życie. Dzisiaj lekcje pianina, praca domowa i wcześniej do łóżka. – Przesuwa dłonią po jasnych włosach. Wypowiada słowa precyzyjnie, przy każdym starannie wyokrąglając wargi. – Mamy już jesień, czas wrócić do dawnego rytmu.

Zaczynam układać w głowie plan działania według zwykłego rytmu, przypominam sobie, co mówiła pani LaRouche. Wszystko.

Andrew patrzy na mnie, więc próbuję ciągnąć rozmowę.

– Miło się słucha, jak Amelia ćwiczy na pianinie. Jest naprawdę dobra. – Nieprawda. Jest tylko niezła. I ma osiem lat.

– Kiedy Amelia się urodziła – mówi Andrew, tylko po części do mnie – nie wiedzieliśmy, czy ma AIDS czy nie. Jej matka chorowała, dopiero po upływie roku zyskaliśmy pewność. Urodziła się uzależniona od cracku. Lekcje gry pomagają jej się skoncentrować.

– Wiedzieliście, że może umrzeć, i wzięliście ją do siebie mimo wszystko? – Andrew nigdy wcześniej o tym nie wspominał. Pamiętam dzień, kiedy ją adoptowali, on i Edwin, jak przywieźli ją do domu owiniętą w kocyk. Oto dowód, że człowiek nie wie, co się tak naprawdę dzieje nawet u najbliższych sąsiadów.

– Jasne – odpowiada Andrew. – Chcieliśmy się kimś zaopiekować, czemu nie kimś, kto tak bardzo tego potrzebuje?

– Łoś.

– Powiedziałem sobie, że chciałbym, by potrafiła robić w życiu coś pięknego. Jedną rzecz. Cokolwiek. Wybrałem pianino, bo dzięki temu ma zajęte ręce i musi ćwiczyć codziennie. I jest to coś, co potrafię jej dać.

– Jedna piękna rzecz każdego dnia.

– Właśnie. – Ma taką minę, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, może coś o mnie, więc na wszelki wypadek naciągam kaptur i mówię:

– No to miłego dnia.

– Pełnego pięknych rzeczy – mówi, puszczając do mnie oczko.

– Właśnie.

## *Dzień pięćdziesiąty* *czwarty*

**N**astępnego dnia po powrocie ze szkoły zastajemy następujący widok: liście zgrabione, kwiaty podlane, oba krzaki przycięte. Na ganku pojawiły się dwie doniczki z chryzantemami, żółtą i pomarańczową. Wiem, że powinnam czuć wdzięczność, ale jestem potwornie wkurzona. Ruszam w stronę domu z poczuciem, że stąпам po polu minowym. Wrenny skacze dokoła w ekstazie.

*Jakie piękne kwiaty!*

*Jaka wspaniała trawa!*

I: *Patrz, patrz!* Ktoś zostawił przy wejściu koszyk pełen zapiekaneł z mięsem!

*Zapiekanki?*, powtarzam w myślach. To jakiś żart?

– Urocze – mówię, próbując nie paść na ziemię. Chwytam koszyk. Moje laserowe oko kieruje się w stronę domu Andrew. To by było w jego stylu, pan Perfekcyjny, dobry Samarytanin, dostrzega więcej, niż powinien. Bez wątpienia on. A skoro się tu kręci i bawi w akcje charytatywne, znosi kwiatki i jedzenie, to ktoś wcześniej czy później go zobaczy, co z kolei oznacza, że wkrótce kolejne osoby zaczną zadawać pytania.

Już mam ruszyć na drugą stronę ulicy, gdy dostrzegam Andrew w nowym volvo kombi. Zajeżdża przed dom, wysiada i wyciąga ze środka torbę z domu towarowego Bergdorf Goodman. Wystroił się, jak zawsze, kiedy odwiedza Nowy Jork. Jeśli spędził tam cały dzień, to nie mógł bawić się w ogrodnika. Patrzy w moją stronę i unosi kciuki.

– Dobra robota! – mówi z miksem zaskoczenia i radości w głosie, jakby uważał porządek na naszym podwórku za najdziwniejsze zjawisko na świecie, a jednocześnie próbował okazać wsparcie. Ma idealnie ułożone włosy, chociaż zerwał się wiatr. Niedługo zrobi się naprawdę zimno.

W takim razie czyja to sprawa?

Tej nocy, kiedy Wren już śpi, zakradam się na strych. Zwykle trzymam się z dala od tego miejsca. Jest dość ponure. Po śmierci cioci Jan mama, która zrobiła się wtedy bardzo duża, bo nosiła Wren w brzuchu, zebrała wszystko prócz mebli i wsadziła na strych. Nic nie powiedziała, przypuszczam jednak, że nie potrafiła wyrzucić rzeczy po ciotce ani ich rozdać. Tuż przed wyjazdem to samo zrobiła z rzeczami taty. Wszystkie ślady jego obecności zniknęły.

Teraz, jak o tym myślę, stwierdzam, że to dość znaczące.

Kiedy byłam mała, od czasu do czasu chodziłam tam sama, chyba żeby pogrzebać w swoich lękach. Miejsce napełniało mnie przerażeniem, a czasem lubiłam się bać. W połowie schodów zaczynałam się zastanawiać, co się czai w ciemnościach. Psychopatyczny morderca leżący na brudnym barłogu? Duch obłąkanej kobiety o czarnych potarganych włosach i cienkich spękanych wargach? A może pająki? Miliony tryliony pajaków, które tylko czekają, żeby na mnie skoczyć i złożyć jaja w skórze na mojej twarzy, wykorzystać mnie jak inkubator na swoje potomstwo.

A potem włączałam światło, patrzyłam na pudła – nic tam nie pełzało. Zero zagrożeń. Tylko żywa i ciężarna wersja mamy, wypełnionej czymś nieuchwytnym. Ale i tak nie mogłam się zmusić, żeby wejść na samą górę. Teraz przypominam sobie, co się kryje pod jedną z brezentowych płacht i chcę po to pójść.

Przez minutę walczę ze światłem. Dwie żarówki nie działają. Widzę tylko zarys pudeł, mnóstwo gitar i gitar basowych. Jakbym wsadziła sobie palce w pierś i wciskała je po kolei, opuszki dotykają żeber, żołądka. Robię coś, czego nie powinnam robić. Bezprawnie weszłam do sarkofagu.

Cioci Jan prawie nie pamiętam. Właściwie w ogóle, nigdy jej nie spotkałam. Mama wyjechała z Cherryville we wczesnej młodości. Na Zachodnie Wybrzeże. Twierdziła, że poszła za muzyką. Ich rodzice zginęli w pożarze, chyba, w każdym razie w jakimś tragicznym wypadku, podczas wakacji w lesie. Uduśli się dymem. Nic więcej nie mówiła na ten temat. Robiła się niechętna i milcząca, jak ze szkła. Nawet w momentach słabości oddzielała tę historię niewidzialną linią.

Kiedy byłam bardzo mała i mieszkaliśmy w Kalifornii, mama trzymała zdjęcie cioci Jan na półce w łazience. W którymś momencie, kiedy ciocia już nie żyła, a mama była w ciąży z Wren, powiedziała mi, że między tym dzieckiem i mną będzie dokładnie taka sama różnica wieku jak między nimi. Siedem lat i trzy miesiące. Takie rzeczy dają do myślenia, co?

*Dziwne*, mruknęła wtedy, gładząc się po gigantycznym brzuchu.

Przeglądam pudła z ciuchami, zatechłe książki, kawałki płótna, które niemal rozpadają mi się w rękach. I rzeczywiście łożą tu pająki oraz inne niezidentyfikowane robale. Nie boję się.

Dość szybko znajduję to, czego szukałam. Znoszę żółte plastikowe pudła na dół, gaszę światła, siadam na podłodze, otwieram. Pędzle malarskie we wszystkich rozmiarach, setki tubek z farbami olejnymi, przeróżne ołówki, kredki, całe stosy.

Wyciągam farby z szufladek, układam je na podłodze, kolorami, aż powstaje tęcza. Moja skóra skwierczy, w ustach zasycha. Otwieram jedną z tubek, sprawdzam. Najpierw wycieka trochę oleju, ale zaraz potem na moje palce wyłazi zakręcony wałeczek koloru nieba o zmierzchu. Pocieram palce. Mrowią.

## *Dzień sześćdziesiąty pierwszy*

**S**ama wożę się do pracy, Eden już nie bywa u mnie w domu. Nie rozmawiałam z nią od kilku tygodni. Ramię, które kiedyś trzymało dla mnie krzesło przed angielskim zmieniło się w tarczę, która zasłania twarz Eden, mówi, żebym trzymała się z daleka. Przeważnie siadam z tyłu, zwykle wpadam w ostatniej chwili, bo przecież odprowadzam Wren. Eden ignoruje mnie również w czasie długiej przerwy, chowa się za wysoko uniesioną książką, widzę tylko obgryzione czarne paznokcie i wkurzone rude włosy. Zaczęłam wychodzić przed budynek, siedzę tam sama, patrząc w nieinteresujące niebo i jedząc nieinteresującą kanapkę. To się nigdy dotąd nie zdarzyło. Nigdy. Moja pierś jest jak pusta grotą, pozbawiona przestrzeni, którą wypełniała Eden. Podobnie jak cała moja osobowość. Pusta. Nie wiem, która z nas zaczęła to nierozmawianie, i nie wiem, jak to zakończyć, nie wiem nic. Próbuje przetrwać.

Digby przyjeżdża co wieczór, parkuje Bestię tuż przed domem, jak Janie będzie przypadkiem przejeżdżał, to zobaczy. Ale on zdaje się tym nie przejmować, więc ja też nic nie mówię. A Elaine? Nigdy o nią nie pytam, ale chyba wie, co jej chłopak porabia wieczorami. Digby powiedział, że w razie czego z mamą da sobie radę. Wierzę, że się nie myli. Ma w sobie coś, co każe mi w to wierzyć, chociaż zdaję sobie sprawę, że Janie Jones nieźle by się wściekła, gdyby wiedziała, co tu się dzieje. Ta kobieta chyba udusiłaby moją matkę własnymi rękami. Dla swoich dzieci potrafiłaby podnieść samochód, a dla mnie, wiem na pewno, co najmniej pobić się z agresywnym borsukiem.

– *Honey, I'm home!* – wołam od progu. Digby leży na kanapie i coś majstruje przy telefonie. Padam obok niego, spocona i śmierdząca, i zbyt zmęczona, by się tym przejmować. – Gdzie Wren?

– Na gorze. Zasnęła przed telewizorem.

– Sama?



- Siedziałem na schodach, w razie gdyby mnie potrzebowała. Ale tak.
- To cud. – To naprawdę cud. – Dziękuję.
- Nie ma za co. – Siada wyprostowany. – Pewnie jesteś zmęczona.
- Nie. – Chcę, żeby jeszcze został.

Zamykam oczy, to silniejsze ode mnie, ale nie dlatego, że jestem śpiąca, tylko dlatego, że on jest taki miły i wspaniałomyślny. Chyba nie może być prawdziwy. Mój pępek czuje wdzięczność. Nawet moje kolana czują wdzięczność za wszystko, co dla mnie robi.

Patrzy na mnie. Czuję go przez powieki. Otwieram oczy i też na niego patrzę, zmuszam się, żeby nie odwracać wzroku. Nie oczekuję, że będzie mnie kontemplował, jakby próbował rozwiązać bardzo skomplikowane równanie. Po jego twarzy przemyka bolesny skurcz. Trafia w oczy, usta, ściska wnętrzności. Brzuch kurczy się pod koszulką. Znam ten ból.

Teraz powinien jak zwykle wstać, spakować torbę, ale tego nie robi.

- Ładnie macie teraz na podwórku – mówi.
- Podobno.

*Dotknij mnie. Pocałuj. Jestem twoja. Twoja.*

Ale wiem, że tego nie zrobi. Nigdy by nie zrobił.

Podobają mi się jego buty. Vansy. Jego długie stopy.

– Ale nic więcej się nie wydarzyło? – pyta. – Nadal nie wiadomo, kto za tym wszystkim stoi?

– Moglibyśmy o tym nie rozmawiać? – Nie chcę mówić o smutnych sprawach, bo jak zacznę, tama puści.

– Dobra. – Wkłada telefon do kieszeni. – Mam sobie iść?

*Nie. Masz zostać na zawsze, głupi palancie.*

– A nie musisz?

– Mam chwilę.

Ściągam buty, chwytam koc i przykrywam kolana, siadam po turecku.

– Śmierdę.

– Trochę. Ale ładnie. Robię się głodny. Zjadłbym pyszne burrito, najlepiej wszystkie smaki naraz. – Głaszcze się po idealnym brzuchu, posyła mi szeroki uśmiech. – Jak, udany wieczór?

– E-e. – Kręcę głową. – Ty.

– Co?

– Mów o sobie. Zawsze mnie wypytyujesz, ale o sobie nic nie mówisz. Straszliwie niesprawiedliwe.

Jego policzki bledną, czerwienieją. Urocze.

Wzrusza ramionami.

– Za mało – mówię. – Robisz uniki. Powiedz coś o sobie.

– Ty też nie odpowiadasz na moje pytania.

– Widzisz? Znowu unik.

– Wiesz o mnie wszystko.

– Na pewno nie wszystko.

Chciałabym, żeby się tak rumienił przez cały czas.

– Ulubione jedzenie – rzucam. – Zaczynij od tego.

– Serio?

– Ulubione jedzenie.

Zagryza wargę. Górną.

– Lubię sałatę.

– Sałatę?

– Tak – potwierdza, jakby właśnie wyznał, że czasem lubi wkładać damską bieliznę. – Lubię sałatę. Świeżą zieleninę, jasne? – Uśmiecha się tak, jak uwielbiam.

– Ale to raczej mało pożywne.

– Wiem. I właśnie o to chodzi. Moja mama zawsze przyrządza tony jedzenia. Góry mięsa i kartofli. Makarony, pieczenie, kurczaki i... sam już nie wiem co. Mnóstwo padliny i kalorie.

Pochyliam się do przodu, wysuwam palce u stóp spod ud.

– Digby Jonesie, czy pan jest kryptowegetarianinem?

Obraca się trochę, tak że siedzimy teraz bardziej twarzami do siebie, skopuje buty, stawia stopy na kanapie. Załedwie kilka milimetrów od moich.

– Podoba mi się, że tyle można zrobić z rzeczy, które wyrastają z ziemi. Ale mięso też lubię, jak sama wiesz. Byle w Filadelfii.

– Hm, tak czy inaczej, nawet to do Ciebie pasuje.

– W jakim sensie?

– Nie wiem. Wydajesz się... – ostrożnie dobieram słowa – ...zbyt wrażliwy na mięso.

Jego dłonie skaczą w moim kierunku, ale natychmiast się cofają.

– A chcesz wiedzieć, co ja najbardziej lubię jeść? – pytam.

– Nie. Bo wiem.

– Tak?

– Aha. To znaczy, wiem, co kiedyś lubiałaś.

– No?

– Paprykę.

Moje ciało się kurczy. Kiedy byliśmy mali, a wszyscy szatkowali chipsy i pili Kool-Aid, ja zawsze wybierałam paprykę. Sama nie wiem czemu. Chyba podobała mi się ta chrupkość, soczystość, prostota. Od dawna nie jadłam papryki. Sporo czasu minęło, odkąd po raz ostatni zasiadłam nad talerzem pełnym paprykowych cząstek, czekając, aż ich czysty smak przyniesie orzeźwienie.

– Widzę, że jest pan uważnym obserwatorem, Digby Jonesie.

Odwraca wzrok.

– No co? – pytam.

– Nic. – Zdejmuję czapkę, kładzie ją na kolanach, nie wypuszczając z rąk. – Lubię, jak wypowiadasz moje imię. – W kącikach oczu pokazują się ledwo widoczne zmarszczki. – I jak, nadal najbardziej ze wszystkiego lubisz paprykę?

– Nie wiem. Nawet tego nie wiem.

Wywraca oczami.

– Co?

– Ostatnio strasznie dramatyzujesz. *Mama nas zostawiła. Jakiś anioł stróż przynosi nam jedzenie. Pracuję w restauracji i nawet muszę rozmawiać z ludźmi.* – Lekko uderza mnie w stopę. – *Łaa, w dodatku zapomniałam, co najbardziej lubię jeść.*

Z ust kogoś innego te słowa zabrzmiałyby złośliwie. Z jego jakoś nie.

– Skończyłeś? – pytam.

Digby potrząsa głową, znów na mnie patrzy. Przekornie.

– Łaa. Jestem taka piękna. Łaa. – Zwalnia. – Jestem mądra, kompetentna, ze wszystkim sobie radzę. – Bardzo cicho: – Jestem niesamowita.

– Niesamowita – powtarzam, chociaż zamiast „a” na końcu powinno być „y”.

– Tak, niesamowita. Zrobiłaś coś niezwykłego tamtej nocy, no wiesz, z twoim tatą.

Zaczynam protestować.

– Wiem, że nie lubisz o tym mówić, ale skoczyłaś na faceta ważącego pewnie jakieś sto kilo, odciągnęłaś go od mamy. Naprawdę uważam, że to było... niesamowite.

– To nie stało się w ten sposób.

– To jak?

– Nie wiem. On nie próbował stawiać oporu. Puścił ją, kiedy go dotknęłam. Jakby przez chwilę nie wiedział, co robi, jakby kierowała nim obca siła.

– Czasowa niepoczytalność.

– Chyba nie taka czasowa.

– Nie widziałaś go od tamtej nocy?

– Nie. Nie chciał się z nami widzieć. Mama próbowała kilka razy, w końcu... – A potem mówię to na głos: – On też znikł. Nie ma go w szpitalu. Mama odkryła to tuż przed wyjazdem. Nie wiem, gdzie oni oboje teraz są. Jakby zapadli się pod ziemię.

Pociera moją stopę, potrząsa głową.

– Nie wiem, jak ktoś może cię zostawić. Was. Ale szczególnie ciebie. Nie rozumiem.

Jego dłoń nadal spoczywa na mojej stopie. Jestem gigantyczną stopą, a dłoń jest wszędzie. Bez. Tchu. Całe ciało rozgrzane i pulsujące.

– Co ty robisz? – Kim jest ten chłopak, którego znam niemal od zawsze, i dlaczego jest wszystkim?

Uśmiecha się, a jego oczy, przysięgam, wilgotnieją.

– Nie wiem. – Wciąż nie cofa ręki.

Zwijam się w dziwny kształt i zaczynam się czołgać, unicestwiam racjonalne myślenie, wszystko, co każe mi przestać, co mówi, że popełniam błąd. Zatrzymuję się dopiero, kiedy jestem bardzo blisko.

Kładzie dłoń na moich plecach, przyciąga mnie i sadza sobie na kolanach. Ocieram się o śliski materiał kurtki, wyjmuję czapkę z jego rąk, wypuszczam na podłogę. Przeciągam palcami po białych paskach na piersi. Moje płuca z trudem pompują powietrze.

Jego oddech jest słodki, przyjmuję go. Opuszki jego palców naciskają mocniej. Mam nadzieję, że mój oddech też smakuje słodko. Nasze wargi stykają się bardzo, bardzo lekko, ciało przeżywa szok. Oczy mam otwarte, wpatrzona w jego zamknięte powieki, które nagle też się otwierają, jesteśmy tak blisko, że zmienia się w zamazanego cyklopa. Pojedyncze oko pochłania mnie całą.

– Lucille. – Szept brzmi jak błaganie.

I całujemy się naprawdę, a ja nie doznaję implozji, nie rozpuszczam się ani nie rozpadam na kawałki, tak jak się obawiałam. Rozpływam się w błogiej rozkoszy. Stapiamy się. Jego wargi są miękkie, a ciało twarde i łapczywe,

a po minucie, kiedy już poznaliśmy smak swoich ust, zmieniamy się w najgłodniejszych ludzi na całej kuli ziemskiej, jakby ktoś podał nas sobie nawzajem na obiad, na deser. Zmieniamy się w stek z kartoflami, w ciasto czekoladowe, czekoladową lawę z bitą śmietaną i malinowym sosem. Jesteśmy dekadency. Nie. On jest chrupką świeżą schłodzoną papryką. Idealny, tak jak mówiłam.

Nagle telefon wibruje tuż przy mojej nodze, odskakuję do tyłu. Telefon nie przestaje. Twarz Digby'ego mówi, że to Elaine. Nie odbiera. W ogóle się nie rusza. Telefon wibruje całą wieczność, ale wreszcie przestaje. Mija kilka sekund i znów zaczyna. Zostawiła wiadomość. Co powiedziała?

Może: *Cześć, to ja. Kocham cię, Digby. Tęsknię. Gdzie jesteś? Zadzwoń.* Niemal słyszę jej głos. Co by zrobiła, gdyby wiedziała, że jej chłopak, wierny i godzien zaufania, właśnie obmacuje inną dziewczynę, gdyby wiedziała, że to ja? Jak by się czuła?

Cofam się, opieram o podłokietnik. Digby ma taką minę, jakby właśnie coś zgubił. Zaraz ucieknie. Wyjdzie stąd i nigdy nie wróci.

Pociąga za mój spocony palec u nogi.

– Lucille, ja...

– *Łaa* – mówię. – *Jestem boski. Łaa, posiadam nieodparty samczy urok. Łaa, mam piękną dziewczynę.* – Urywam, próbuję się uspokoić.

Jego głos jest słony, jakbym odebrała mu całą słodycz.

– Jestem zdezorientowany. Ta nieziemską dziewczyna, którą znam od zawsze, jest co? – Wspiera głowę na dłoniach, wbija wzrok w podłogę. – Jest mną zainteresowana? Może tylko ciekawa? Jest niebywała. Jej oczy, Lucille, gdybyś widziała jej oczy. – Muszę się czegoś złapać, chwytam za brzeg kanapy, żeby nie ześliznąć się z powrotem na jego kolana. Nie znam osoby, którą przy nim jestem.

Znów rozlega się dźwięk telefonu. Tym razem esemes.

– Nie przeczytasz?

– Nie – odpowiada Digby. – Będzie dobrze. – Wrywa się z tego miejsca, w którym razem byliśmy. Jestem wstrząśnięta. Po minucie pyta: – Co się dzieje z tobą i moją siostrą?

– Nie wiem. – Czemu o to pyta?

– Nie rozmawiacie?

– Nie bardzo.

– Wywaliłaś ją z domu. Próbowwała pomóc.

– Ciebie też wywaliłam. A jesteś.

– Ale...

– Ale co?

– Nie mogłem się powstrzymać.

– Ona jakoś mogła – stwierdzam, próbując nie myśleć o tym, co właśnie powiedział.

– Powinnaś z nią pogadać. Wydaje mi się, że zraniłaś jej uczucia.

– Przykro mi. Nie mam czasu na te wszystkie uczucia. Próbuję jakoś przetrwać. – Dopiero w chwili, kiedy wypowiedziałam te słowa, uświadamiam sobie, jaka jestem słaba i krucha, jaka wściekła na Eden. Myślę o tym, że to nie fair, obrażać się z powodu zranionych uczuć, kiedy ja muszę walczyć.

– Mam coś. – Digby wyciąga telefon z kieszeni. – Daj mi sekundę. – Pisze coś pośpiesznie, przypuszczam, że esemes do Elaine, próbuję nie czuć bolesnego ukłucia. Nagle Digby wkłada mi słuchawki na uszy. Mięknę, chociaż Elaine czai się w tle. – Spodoba ci się.

Muzyka nie przypomina niczego, co do tej pory słyszałam, w każdym razie nie słucham takich rzeczy na co dzień, ale podoba mi się, zamykam oczy. Kiedy zapada cisza, Digby ma na sobie czapkę, a na ramieniu plecak.

– Dobrze, co?

– Aha, dobre. – Oddaję mu telefon. – Dzięki.

Kiedy idzie w stronę drzwi, wszystko boli.

Na pożegnanie mnie obejmuje. Chciałabym wcisnąć się w niego, przez jedną szaloną sekundę myślę sobie, że może, jeśli przytulę się bardzo mocno, to stanę się nim, wniknę w niego i się rozpląnę, i już nic nie będzie miało znaczenia. Wciąż jednak jestem sobą, a on sobą, nasze ciała się rozłączają, dłoń dotyka klamki, plecak zwisa mu z ramienia, na mojej twarzy noc.

A potem pustka.

## ZTZ

### *(Zanim Tata Zwariował)*

Najdalej w dziedzinie seksu zaszłam w towarzystwie niejakiego Parkera Delaneya. Teraz wydaje się, że to się wydarzyło wieki temu, kiedy miałam mamę i tatę i jeszcze nie wiedziałam, jakie wszystko jest kruche. Wierzyłam, że w życiu dostajesz rodzinę, trochę ciuchów, najlepszą przyjaciółkę, młodszą siostrę, czasem wkurzającą, i tak to się kręci, aż dorastasz i wyruszasz w świat, by się przekonać, o co w tym wszystkim chodzi.

Czasami, kiedy Eden mieszkała obok nas, chodziłyśmy po południu do parku. Przyglądałyśmy się chłopakom grającym w koszykówkę, kładłyśmy się na karuzeli, gapiliśmy się w niebo i gadałyśmy.

Parker nie był moim chłopakiem, ale na pewno najbardziej ze wszystkich zbliżył się do tej definicji, w tym sensie, że co jakiś czas próbował mnie pocałować. Trwało to dosyć długo. Któregoś dnia wylądowałam na tyłach klubu karate, naprzeciwko parku, z jedną ręką Parkera za bluzką, a drugą w majtkach. Wszystko wydarzyło się jednocześnie. Gorączkowa gonitwa myśli, czy on w ogóle mi się podoba, czy to ma jakieś znaczenie, jego język, mokry i za duży, nie dający szans, żeby za nim nadążyć. Podobnie jak dłonie. Miał ich chyba z osiem, były wszędzie naraz.

Miał też niezwykle miękkie włosy. Chciałam zatopić w nich palce, chciałam wejść do środka i sprawdzić, czy coś tam jest, porozmawiać, ale on zachowywał się, jakby miał zaraz spłonąć, jakby koniecznie musiał znaleźć się tak blisko mnie, jak to tylko możliwe. Jakby miał w spodniach bombę, która zaraz wybuchnie i zniszczy cały świat, jeśli nie dam mu tego, czego chce, jeśli nie pozwolę mu się dotykać. Musiałam oderwać się siłą, bo inaczej straciłabym cnotę pod tym brudnym murem, nie zgodziłam się też pojechać z nim do domu, kiedy oznajmił, że jego rodzice wyjechali. Obiecał, że mnie nie posunie, ale ja wiedziałam lepiej. Kiedy przekroczy się pewien punkt,

hamulce przestają działać.

Oszłamiające i trochę wstrętne jednocześnie.

Przez cały czas miałam na sobie kompletną garderobę, ale Parker zdołał wymacać mnie bardzo sumiennie, a ja nawet nie wiedziałam, czy mi się to podoba czy nie. Od tamtej nocy, kiedy zabrali tatę, aż do Digby'ego nie miałam ochoty nikogo dotykać i wszystko wskazywało na to, że wobec mnie też nikt nie ma takich zamiarów.

Myślałam, że Digby nie stanowi zagrożenia.



## *Dzień sześćdziesiąty pierwszy*

**P**o wyjściu Digby'ego biorę najgorętszy prysznic w kosmosie. Wren śpi w pokoju mamy, co oznacza, że nie muszę się spieszyć, czuję, jak woda spływa po mojej skórze, myślę o pocałunku, o pocałunkach, wypalam każdą sekundę w pamięci. Pamiętacie, co mówiłam na temat zapominania? To prawda. Trzeba się skupić, wysilić, by zatrzymać wspomnienia.

Wkładam jeden ze starych T-shirtów taty. Widnieje na nim napis: „Dlaczego nosisz ten głupi strój człowieka?”. To cytat z „Donnie'ego Darko”, ulubionego filmu taty.

Dłonie Digby'ego były takie delikatne, lecz ich dotyk na moich plecach miał siłę, która sprawiła, że fruwałam. Usta, tak blisko, lecz zaledwie muskające moje wargi, sprawiły, że słyszałam w głowie frazy z romantycznych powieścideł. Ach, moje uda drżały, oddech przyspieszył, z gardła wyrwał się jęk. Coś w tym stylu. Wpełzłam, tak, dosłownie wpełzłam mu na kolana jak napalona kocica.

I nic mnie nie bolało. Przez kilka minut byłam dokładnie w tym miejscu, gdzie byłam. Szczerze? Nawet za milion miliardów dolarów nie zesłabym w tamtej chwili z tych kolan. Ale teraz ból doskwiera jeszcze mocniej niż przedtem. Znacznie mocniej.

Pragnę. Pragnę. Pragnę.

Digby, tuż przy mnie.

Chciałabym porozmawiać z Eden.

Nie mogę zostać w miejscu, muszę się ruszyć. Biegnę na górę, po żółte pudełko i zniszczone, ale czyste płótno. Otwieram pudełko, wyciągam pędzle, farby. Jeden kolor, następny, jestem w gorączce. Mieszam farby z rozcieńczalnikiem, nie oszczędzam. Farba jest jak żywe stworzenie. Żółć, czerwień, pomarańcz oraz błękit, fiolet i zieleń, wszystko naraz. Nie mam w głowie żadnej formy. Tylko wrażenie, uczucie, co z tego może wyjść.

Rezultat przypomina tornado barw. Jestem na sto procent pewna, że wedle wszelkich standardów to niezłe gówno.

Ale wiem też, że ta żółć, czerwień i pomarańcz – to ja, cała w płomieniach. Błękit, fiolet i zieleń? To Digby.

Jesteśmy razem na tym obrazie, w zawieszeniu.

## *Dzień sześćdziesiąty drugi*

**N**astępnego dnia podchodzę do Eden. Nie mogę zapomnieć słów Digby'ego. Czy my się pokłóciłyśmy, tak na poważnie? Do końca nie jestem pewna i nagle czuję, że wcale tego nie chcę. Przychodzę wcześniej na angielski, żeby zająć miejsce obok niej. Próbuję stópek, ale nie reaguje. Na matematyce wysyłam jej list miłosny, nie odpowiada. Przysiadam się do niej na długiej przerwie i odbywam jednostronną konwersację. Która i tak szybko się kończy. Eden zabiera śniadanie i odchodzi w połowie zdania.

Naprawdę jest na mnie wściekła.

## *Dzień sześćdziesiąty siódmy*

**D**igby przyjeżdża wieczorem jak zwykle. Zero pocałunków. Zero dotykania. Po jego wyjściu znajduję na blacie w kuchni czerwoną paprykę pokrojoną w ułożone symetrycznie paski.

## *Dzień sześćdziesiąty dziewiąty*

**B**ędę tęczą w urodziny! – To pierwsze słowa, które wypowiada Wren, gdy wchodzi do domu, ściskając w rękach torby z zakupami na tę szczególną okazję.

Ma na sobie wypłowiały trykot pomalowany z przodu w szerokie pasy, czerwony, zielony, niebieski i żółty, uśmiecha się w taki sposób, że nie zaczynam się śmiać. Jest ożywiona. Nie mogę uwierzyć, że zegar pokazuje jedenastą. Rzucam torby na podłogę w kuchni, trochę przy tym tupiąc.

– Chyba nie masz nic przeciwko temu, że zajrzeliśmy na strych – mówi Digby. – Wren chyba zobaczyła coś, co stamtąd zniosłaś. – Staje za jej plecami. – Jest tam mnóstwo fajnych rzeczy. Te wszystkie pudła. Gitary i... – Urywa, patrzy na mnie bacznie. – Przepraszam, że jeszcze nie śpi. Wiem, że jutro szkoła.

Zarobiłam tego wieczoru prawie dwieście dolców, akurat na urodziny Wren. Powinam być w świetnym humorze, ale jestem zła, może tylko poirytowana, sama nie wiem dlaczego. Może jakoś łączy się to z faktem, że nie rozmawialiśmy z Digbym o tamtym pocałunku, a on nadal przychodzi do mojego domu, tak jak wcześniej, a ja nie mogę go dotknąć i jest to prawdziwą piekielną torturą, i jeszcze się okazuje, że wchodzi sobie, gdzie mu się tylko podoba, węszy w miejscach, które sama właśnie odkrywam na nowo.

– Twoja stara jest taka gruba, że jak ją objechałam dokoła, to skończyła mi się benzyna – mówi Wren, skacząc dokoła.

– Przepraszam, jeśli sobie tego nie życzyłaś – mówi Digby. – Trochę się uparła.

Zdejmuję kurtkę i wieszam, próbuję wziąć się w garść, odchodzę na bok, żeby uspokoić się na osobności. Wren wygląda, jakby dostała epizodu maniakalnego czy coś w tym rodzaju. Teraz przystanąła, syczy mleko czekoladowe.

– Nie powinnaś pić tego o tej porze – mówię, wracając do salonu. – Nic dziwnego, że jesteś taka nakręcona.

Digby wyrywa mleko z ręki Wren.

– Na górze jest mnóstwo obrazów. Twojej cioci, tak? A zachowałeś swoje?

– Hej! – protestuje Wren i odbiera mleko. Digby podchodzi do mnie.

– Należałoby zapytać, zanim zacznie się grzebać w czyichś rzeczach – warczę.

Digby znów robi tę minę, jakbym go uderzyła. I naprawdę mam na to ochotę. Mocno.

Wren wpycha się między nas, znów upija mleka.

– Znalazłam to pudło. Powiedziałaś, że powinnam wykazać się kre-a-tywność-cią, bo w Halloween są moje urodziny i pomyślałam, że zostanę tęczą. – Urywa. – Może kupisz mi jutro trochę brokatu, rano, przed szkołą? Widziałam taki w różnych kolorach. Mogłabym go sobie przykleić wszędzie, i jeszcze jakbyś mi kupiła fioletowe rajstopy, to już bym miała prawie wszystkie kolory.

– Wren, mogłabyś wreszcie zamilknąć?! – krzyczę.

Od razu robi mi się przykro, chociaż Wren naprawdę zachowuje się jak wariatka, podobnie jak Digby, tylko że on w inny sposób, jakby między nami nic się nie stało, jakby służył mi tylko za niańkę. Patrzymy na siebie. To impas. Jestem gotowa strzelać pierwsza.

Wren spogląda to na niego, to na mnie.

– Chciałabym poznać waszą opinię na temat mojego pomysłu z tęczą.

– Tęcze są magiczne. – Odrywam spojrzenie od Digby’ego, przeciągam palcami po włosach Wren, znajduję wielki kołtun. Odsuwa się ode mnie. – A ty będziesz najpiękniejszą tęczą wszech czasów.

Obraca się.

– Halloween łamane przez urodziny to najlepsze, co może być. Pamiętasz, jak mama i tata przebrali się za Shreka i Fionę?

– Rozpłakałaś się. Przestraszyłaś się taty w masce.

– Nie pamiętam – mówi Wren, wyraźnie przybita. – Pamiętam tylko, że mi się podobało.

– Byłem przy tym – wtrąca Digby. – Tak właśnie było. Czasem zapamiętuje się rzeczy inaczej niż w rzeczywistości.

– Rewizjonizm – podrzucam.

– Lub perspektywa – mówi Digby. Milczy. Po chwili dodaje: – Muszę iść.

– Jasne.

– Posłuchaj – mówi, wyciągając kluczyki z kieszeni. – Nie chcę cię denerwować, ale dzisiaj Elaine miała tę swoją debatę. W Halloween chyba nie będę mógł przyjść. Chciałem zostać z Wren, zrobić obchód po sąsiadach, ale Elaine chce spędzić ze mną trochę czasu.

– Ale powiedziałam Fredowi, że przyjdę, chociaż to piątek. Mówiłeś...

– Przykro mi, Lucille, ale...

– Dobra, w porządku.

– Może oboje posiedzimy z Wren.

Efektów tego stwierdzenia nie da się opisać z przesadą. Mdłości. Żółć. Rzyg. Nie wiem, jak on mógł coś takiego zasugerować.

– Nie, dzięki.

Lekko mruży oczy.

– Okej. Przepraszam. – Uśmiecha się, ale wygląda to jakoś nieprzekonująco.

– Powiedz to dziesięć razy i nigdy więcej nie powtarzaj.

– Lucille...

– Wisisz mi dziesięć – mówię. A potem: – Wren, do łóżka. – Wyrywam jej mleko z ręki, wpadam do kuchni i wylewam resztę do zlewu.

– Coś ty dzisiaj taka drażliwa? – woła Wren. – Beznadzieja.

– Wiesz – zwracam się do Digby'ego – ona nie zaśnie do rana. Wieczorem nie daje się dzieciom słodkich rzeczy.

– Nie dałem. Sama wzięła.

– To ty masz sprawować kontrolę.

– Tak jak ty? – Słyszę wściekłość w jego głosie.

– Na górę. – Wren nie protestuje. – Dobranoc, Digby. Owocnie wykorzystaj wolny czas.

– Widziałem obraz – mówi do moich pleców.

Ogarnia mnie panika.

– Podoba mi się. Bardzo.

– Mnie też! – mówi Wren. – Chcę malować. Możemy pomalować razem?

– Nie dzisiaj.

– Ale...

– Nie dzisiaj!

Digby wciąż stoi przy drzwiach. Fatalna sprawa. Zraniłam jego uczucia, a on próbuje załagodzić sytuację. Widzę wyraźnie. I nie mogę tak tego zostawić, nie chcę, by zostały między nami gniewne słowa.

– Wren, idź na górę. Umyj zęby.

Jestem w szoku – posłuchała.

Digby obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie, gwałtownie przytula. Odwzajemniam uścisk, też mocno, bardzo mocno.

– Przez ciebie chyba oszaleję – mówię do jego klatki piersiowej.

– Nieprawda.

Odchylam głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Próbuję postępować jak należy. – Przesuwa palcem po moim uchu.

Wygląda, jakby miał się rozpłakać. – Rozumiesz?

– Chyba tak. – Próbuję dotknąć jego dłoni, ale w tym momencie się odsuwa.

– To naprawdę dobry obraz. – I wychodzi.

Oglądamy „Cupcake Wars”, próbuję odzyskać spokój. Drużyny urządzają przyjęcie dla George’a Lucasa, wszystko kręci się wokół tematu „Gwiezdných Wojen”. Kłócimy się z Wren, kto powinien wygrać. Według mnie bardziej liczy się charakter, według Wren – smak. Gotowa kibicować najgorszej zdzirze, jeśli ta robi pistacjowe babeczki z lukrem czekoladowym. Tajny składnik? Woda różana. Wren jest tak zachwycona swoim trykotem, że pozwalam jej w nim zasnąć. Ja też nie zdążam wziąć prysznic ani się przebrać. Zasypiamy w pokoju mamy, przy włączonym telewizorze.



## *Dzień siedemdziesiąty pierwszy*

**D**zisiaj są urodziny Wren. I Halloween. Jakoś mnie to przygnębia. No bo wszyscy nosimy maski, zgadza się? A fakt, że akurat dzisiaj tak bardzo chciałabym zdjąć swoją i pokazać światu nagą twarz, wydaje się osiągać poziom ironii, który trudno mi nawet ogarnąć.

Tak, chciałabym wykrzyczeć: *Mój tata zwariował, mama mnie zostawiła, najlepsza przyjaciółka nie chce ze mną rozmawiać i jestem zakochana, beznadziejnie i nieuleczalnie, jestem chora z miłości do chłopaka, którego nie mogę mieć. Dalej, jestem gotowa na kolejny cios. Chcę być wolna.*

W nocy zrobiłam plakat i powiesiłam na drzwiach do pokoju mamy, żeby Wren zobaczyła go zaraz po przebudzeniu. Całe stado ptaków, słońce, nawet motyl. Oczywiście, to fałsz, a Wren pewnie namalowałaby go lepiej niż ja, lecz cóż, próbowałam.

Mama miała gofrownicę, z której wychodzą gofry w kształcie serca, czasami wyciągała ją w sobotnie czy niedzielne poranki i piekła, podśpiewując sobie. Tak rozpoczęty dzień zawsze okazywał się udany. Gofrownica tkwi schowana za plastikowym dzbankiem na sok i metalowymi półmiskami używanymi tylko podczas świątecznych obiadów. Patrzą na nią przez chwilę.

Jest dopiero szósta rano, nie mogłam spać. Przez całą noc telefon leżał tuż przy łóżku, tak na wszelki wypadek. Jeśli mama w ogóle zamierza zadzwonić, to kiedy jak nie dzisiaj. Chcę być gotowa. Wyobrażam sobie, jak bardzo spokojnie podaję telefon Wren. Nie będę krzyczeć. Nie powiem, co tym myślę, a już na pewno nie będę płakać.

Chcę, by Wreny miała udane urodziny. Kończy dziesięć lat. Jedna cyfra zmieniała się w dwie.

Ta cholerna gofrownica to moje fatum. Od samego patrzenia na nią czuję się zmęczona. Pośród wielu rzeczy, które zostawił nasz Święty od Suchej Karmy

znalazł się również gotowy mix do naleśników. Otwieram, cała obsypuję się mąką, dodaję mleko i jajka, podczas gdy gofrownica się nagrzewa.

Wiatr uderza w szyby. Tata zawsze robił coś w piwnicy, żeby rury nie zamarły. Czyścił też piec olejowy i uszczelniał okna. Skoro już teraz jest tak zimno, trzeba się spodziewać najgorszego, a ja naprawdę nie mam pojęcia, jak to się wszystko robi.

Ale ten poranek wygląda niemal zwyczajnie. Kawa się parzy, gofry się pieką, nakrywam do stołu, wyciągam z szafy prezent dla Wren, z dolnej półki, gdzie przez cały czas leżał schowany. Ta dziewczyna wszędzie zagląda, więc wepchnęłam go jak najgłębiej.

– Co to? – pyta Wren, opadając na krzesło, z kocem zarzuconym na ramiona.

– Wszystkiego najlepszego! – mówię stanowczo za głośno i zbyt dziarsko, wsadzając pudełko do kieszeni. – Masz dziesięć lat!

– Zrobiłaś gofry mamy?

– Nie, zrobiłam swoje gofry. – Sięgam do szafki po nutellę, którą kupiłam poprzedniego dnia, z lodówki wyjmuję bitą śmietanę i truskawki. – Czy mama robiła coś takiego? – Wyciskam śmietanę, pokrywam nią cały talerz Wren.

Jednak Wren jest nieprzystępna, śniadanie z bitej śmietany nic tu nie pomoże, jakby miała zjazd po wczorajszym hajcu. Mimo bijącej od niej niechęci wygląda niesamowicie krucho i delikatnie. Ciemne sińce pod oczami.

– Co jest, Wrenny?

Wzrusza ramionami, grzebie widelcem w śmietanie, brudzi koc, opuszcza widelec na stół.

– Mam coś dla ciebie. – Wyjmuję pudełko z kieszeni.

Jej twarz pozostaje obojętna. To tak do niej niepodobne, że dostaję ciarek na plecach. Rozwija prezent, jakby poruszała się w lepkiej mazi, odkłada na bok bibułę i błyszczącą wstążkę, którą wybrałam specjalnie z myślą, że powinna ją uszczęśliwić.

– Widziałaś plakat?

– Aha. Dzięki. Bardzo ładny. – Podnosi wieczko, na widok kolczyków z diamencikami lśniących na tle czarnego aksamitu spogląda na mnie wielkimi oczami. – Prawdziwe?

Kiwam głową.

– Oczywiście. – Nie powiem jej, że kupiłam je na superwyprzedaży w centrum handlowym. Niech wierzy, że kosztowały milion dolarów. Dałabym tyle, gdybym tylko mogła. Dla niej.

– Ale przecież nie mamy pieniędzy.

– To twoje dziesiąte urodziny, Wren. Wyjątkowa okazja. I idealnie do ciebie pasują.

– Ale ciągle powtarzasz, że potrzebujemy pieniędzy na jedzenie i inne ważne rzeczy.

Znów popełniłam błąd. Ona nie powinna martwić się takimi sprawami. Powinna beztrosko się bawić. Zerka na telefon leżący obok kuchenki, potem na mnie, znów na telefon. I już wiem. Ona też czeka.

– Twoja stara jest taka gruba, że jak o niej pomyślałam, to złamał mi się kark – mówi Wren, zanim ja zdążyłam coś powiedzieć.

– Czemu to robisz? – Wkładam truskawki do lodówki i zamykam drzwi, odrobinę zbyt brutalnie.

– Co?

– Czemu opowiadasz te kawały.

– Bo są śmieszne.

– Nie są. Tak naprawdę nie.

– O co ci chodzi? Nie łapiesz? Jest taka gruba, że wystarczy, jak o niej pomyślisz i kark ci się złamie.

– Rozumiem, tylko uważam, że to strasznie pokręcone. I nie... – Szukam odpowiednich słów. – Niezbyt przyjemne. – *Dla ciebie samej*, chciałabym dodać.

I nagle Wren zaczyna płakać, łzami wielkimi jak groch, prosto na gofry, ściska swoje przetłuszczone włosy, jakby usiłowała zatrzymać mózg w środku.

– Jest jeszcze wcześniej, skarbie – mówię. Cała agresja natychmiast znika. – Może zadzwoni. Ma cały dzień.

– A ja mam szkołę – mówi, nie odrywając rąk od twarzy. Przytulam ją, ale stawia opór. Do tej pory, od początku tej historii, nigdy nie płakała, ani razu. Ile uśmiechów przyklejała do twarzy i dlaczego człowiek zawsze tak bardzo stara się sprawiać wrażenie, że wszystko jest dobrze, kiedy wcale nie jest? Klękam, wciskam twarz między jej ramiona. Odpycha mnie, ale słabo, jestem tylko dwa centymetry od niej. Wystawiam język i robię zęza.

Wren chichocze, ja też. Pozwala mi rozdzielić swoje ręce i położyć na moich ramionach.

– Damy sobie radę – mówię. – Wszystko będzie dobrze.

– Czy mnie stąd zabiorą? – Nigdy wcześniej nie pytała.

– Nigdy na to nie pozwolę.

– A jak nie będziesz mogła nic zrobić? Słyszałam.

– Co słyszałaś?

– Martwicie się, ty, Digby i Eden. Słyszałam waszą rozmowę tamtej nocy, kiedy się na nich wściekłaś.

Co jeszcze słyszała? Co dokładnie wie?

– Mam dziesięć lat – mówi Wren i nagle widzę, jak bardzo się zmieniła, jak dojrzała. Kolejne warstwy radości i bez troski łuszczą się i odpadają.

– To prawda. – Siadam i teraz Wren nade mną góruje. – Masz dziesięć lat. – Poprawiam koc wokół jej nóg. – A więc chcesz porozmawiać o tym, co się dzieje?

Potrząsa głową, ale potem spogląda na mnie spod długich gęstych czarnych rzęs, wzrokiem pełnym nadziei.

– Nie chcę, żebyś się smuciła – mówi. – Wiem, że często się smucisz. – Jej warga drży, widzę, jak Wren walczy, próbuje nad tym zapanować. – Przeze mnie.

– Nie! Nie. Na pewno nie przez ciebie, nigdy. – Chwytam jej palce. Ma najpiękniejsze paznokcie na świecie. Idealne. Okrągłe. Gładkie i różowe. – Czasem czuję, że się nie sprawdzam – mówię. – I dlatego jest mi smutno. Zasmucam samą siebie. Ta sytuacja mnie zasmuca. Cieszę się, że ty wydajesz się szczęśliwa. Ale, Wren, jeśli nie jesteś szczęśliwa tak naprawdę, nie musisz udawać. Teraz jest nam ciężko, ale nie zawsze tak będzie. I obiecuję ci, przysięgam, że będę się tobą opiekować, zawsze. – Coś gwałtownie we mnie wzbiera. – Bez względu na wszystko, nigdy, za nic nie pozwolę, żeby cię zabrali. Będziemy razem tak długo, jak będziesz mnie potrzebowała.

– Jedna pani w szkole zadaje różne pytania. Jest miła, ale pyta o mamę i tatę, i inne rzeczy. Nie wiem, co mówić. – Znowu chowa twarz, siłą odrywam jej dłonie. – Nic jej nie powiedziałam.

– Ale chciałabyś.

– Nie mogę. Ona chce, żebym mówiła o swoich uczuciach, o tym, jak jest u nas w domu.

– O – mówię. Nie bardzo wiem, jak zareagować.

– Jeśli nie będę z nią rozmawiać, to pewnie będzie jeszcze gorzej, ale wydaje mi się, że ona jest inteligentna i domyśli się, że kłamię.

– No to nie kłam. Po prostu nie mów wszystkiego.

– Ona też powiedziała, że mam prawo być smutna. Ale ja i tak spróbuję być szczęśliwa. – Wolną ręką głaszcząc mnie po głowie, jakbym była BC. –

Kolczyki bardzo mi się podobają. – Podaje mi pudełko. – Założysz?

Śpiewając „Happy Birthday” wtykam sztyfty w uszy Wren. Kolczyki wyglądają na niej niewiarygodnie pięknie, jak miniaturowe odbicie wszystkiego, co kryje się w jej wnętrzu. Oby to światło nigdy nie zgasło.

Wstaje i przegląda się w lustrze nad umywalką. Nasze oczy się spotykają.

– Twoja stara jest taka gruba, że jest z obu stron rodziny.

Śmieje się w taki sposób, jakby skończyła dziesięć milionów lat.

Shane, Rachel i Val, przygotowując wszystko na otwarcie, w przerwach skaczą wokół Wren, komplementują jej kostium halloweenowy, ćwierkają, przy każdej okazji życzą wszystkiego najlepszego. Fred, w pełnym wojennym rynsztunku, chuście na głowie, z podwójnym pasem naboju na piersi, wtyka świeczkę we flan, śpiewamy.

Trzymam telefon w kieszeni fartucha, chociaż telefony są zabronione w czasie obsługi gości. Tak na wszelki wypadek. Dziewczyny zabierają Wren do biura. Kiedy później tam zaglądam, układają jej włosy, zachwycają się kolczykami i wypytyują o chłopców. Wren ma oczy jak spodki, łapczywie chłonie każde słowo padające z ich ust.

Wszystko prawie gotowe. Zawijam sztucze w serwetki. Uwielbiam to zajęcie. Bierzesz czyste sztucze, serwetkę i robisz ciasne staranne zawijańce, układasz w stosiki. Odpoczynek przed wybuchem szaleństwa. Tak ładnie wyglądają, zanim goście je rozwiną i zasyfią. Mam już prawie całą tacę. Nagle Wren wyłania się z biura, wygląda jak prostytutka. Bardzo szczęśliwa prostytutka. Dziewczyny odświeżyły jej makijaż.

– Łu-hu – mówi Fred, prostując się jak struna. – Nie, no. Kompletnie wariatki. – Potrzęsa głową i wraca do kuchni.

– Przyganiał kocioł garnkowi – woła Val do jego pleców.

– Popatrz! – mówi do mnie Wren. – Rachel zrobiła mi makijaż!

– Niesamowicie wygląda, co? – Rachel kładzie rękę na biodrze. – Podkreśliłam jej rysy, naturalną linię kości policzkowych, pełne wargi. – Ujmuje podbródek Wren, patrzy jej w oczy. – Taka śliczna twarz. Śliczna mała tęcza.

Tak, Wren wygląda niesamowicie, patrząc na nią, czuję ucisk w piersi. Wygląda dojrzałej, nie jak dziesięciolatka, to czarne, które Rachel nałożyła jej wokół oczu sprawia, że w wielkich słodkich brązowych tęczęwkach lśni cały jej ból. Cieszę się, że go widać. Czerwień na wargach też lśni, widzę, jaka

Wren kiedyś będzie cudowna. Mam nadzieję, że będzie siebie kochać. Wiedzieć, że jest piękna bez tych wszystkich farbek. Chciałabym je zetrzeć, ale Rach poczułaby się urażona, więc tylko kiwam głową.

– Zgadza się. Wyglądasz oszałamiająco, Wrenny – mówię. Otaczam jej plecy ramieniem, pochylam się. – Ale nie potrzebujesz tego wszystkiego.

– Ale mnie się podoba – odpowiada Wren i wraca do biura.

Shane wystawia głowę zza drzwi, smaruje usta błyszczkiem.

– Mówiłam Rachel, żeby nie malowała jej szminką.

Wzruszam ramionami.

– Jest Halloween.

– Za to ty – dodaje – wyglądasz jak pieprzony duch. To takie przebranie? A może jednak przydałoby się trochę różu?

– Co chcesz zjeść?! – wołam do Wren, ignorując uwagę Shane.

– Stek. – Zapisuję zamówienie i rzucając je na ladę koło okienka kuchennego. Zabawnie się czuję, zamawiając najdroższe danie w menu.

– Jesteś na diecie proteinowej? – pyta Fred, wyglądając z kuchni, z kartką w palcach. – Bez-y-gy-lutenowej?

– Dla siostry.

Uśmiecha się szeroko, wkłada okulary na nos.

– Cóż, skoro to jej urodziny. Pieczeń dla królowej. – Mam ochotę wskoczyć przez to okienko i go wyściskać. W większości restauracji obsługa nie ma co liczyć na steki. Nam wolno zamawiać z menu, co tylko zechcemy. Uwielbiam Freda za to.

– No to zaczynamy! – strzela do mnie z niewidzialnej broni. – Do dzieła, gorąca lasko!

Dziewczyny wybiegają z biura, po drodze wiążąc fartuchy na kostiumach. Wyglądają niesamowicie: pióra, maski, malowane twarze. Ja ograniczyłam się do czarnej koktajlowej sukienki i odrobiny brokatu Wren. Naprawdę czuję, że błyszczę.

Wren ogląda zdjęcia na ścianach. Nasza ekipa, śmiejemy się, obejmujemy, wygłupiamy. Tu ciągle ktoś robi zdjęcia.

– Dasz sobie radę? – pytam.

Kiwa głową.

– Przyniosę ci jedzenie, jak będzie gotowe. – Znów kiwa głową. – Przykro mi, że musisz tu siedzieć w swoje urodziny.

– Dlaczego? Tu jest super.

Nie będzie halloweenowego zbierania cukierków po sąsiadach. Ani przyjęcia urodzinowego, ani koleżanek i kolegów. Moja siostra spędza urodziny w biurze na tyłach restauracji.

Poprawiam sukienkę i ruszam do drzwi, szarpnię za sznurek przy tabliczce z napisem „otwarte” i przeżywam załamanie nerwowe. Kolejka już sięga do rogu. Przy wejściu stoi dzisiaj Val.

– Obłąd – stwierdzam.

– Zawsze jest tłum. – Uśmiecha się. – Zapomniałam, że nigdy nie pracowałam w Halloween. – Val, ubrana jak demoniczna wersja Betty Page, bierze do ręki plik kart. – Wpuść ich – mówi. – Do zobaczenia po tamtej stronie.

Ta noc jest naprawdę szalona. Jakby tylko u nas odbywała się impreza i wszyscy w okolicy dostali zaproszenie. Od czasu do czasu, jak tylko uda mi się złapać wolną minutę, zaglądam do Wren. Raz zajada stek, chrząstki starannie oddziela i odsuwa na bok, wygląda jak świętujący wiking przypuszczający atak na zastawiony stół. Za drugim razem pije napój gazowany. Nie wiem, skąd go wzięła. W środku nocy tańczy do muzyki grającej w sali restauracyjnej. A następnym razem siedzi przy stole, z głową na blacie, niewygodnie powykręcana. To dopiero urodziny. Muszę zanieść guacamole do stolika numer dziewięć i rachunek do dwunastki. Nie należy robić przerwy w takim momencie, ale nie podoba mi się to, co widzę.

– Zmęczona?

Wren unosi głowę. W którymś momencie w czasie tego wieczoru poprawiła makijaż, bardzo niewprawnie. Mogłaby występować w „Rocky Horror Show” jako tęczowy transwestyta.

– Bardzo. Możemy już iść do domu?

– Wsadź ją do samochodu – mówi Shane. – Jak w twojej części zrobi się pusto, możesz iść. Zajmę się resztą. I tak zaraz wszyscy pójdą.

Sprawdzam salę. Rzeczywiście. Dochodzi dziesiąta, niedługo zamykamy. Nadal jest niezły sajgon, ale nowi goście już się nie zjawiają. Wszyscy ruszają dalej, na prawdziwe imprezy. Wszyscy prócz mnie.

– Włącz ogrzewanie i niech Wren się prześpi na tylnym siedzeniu. Wygląda, jakby próbowała zasnąć na fotelu samolotowym. Biedactwo. Sprzątaniem się nie przejmuj, wszystkim się zajmę.

– Serio? – Sprzątanie na koniec dnia trwa strasznie długo. Mycie mopem

podłogi, czyszczenie różnymi środkami.

– Jasne. Zabieraj tyłek. Jutro przyniosę do szkoły twoje napiwki. – Urywa, pociera palcami. – No, w każdym razie większość. Ja też muszę coś z tego mieć.

Wiem, że nigdy by tak nie postąpiła.

Prowadzę Wren do samochodu, sadzam na tylnym siedzeniu, okrywam obiema kurtkami, jej i swoją, włączam silnik. Jak przyjemnie wyjść na powietrze, zaznać odrobiny ciszy i chłodu po tyłu godzinach biegania.

– Zamknij drzwi i nie wystawiaj głowy – nakazuję. – Śpij. Za kwadrans powinnam skończyć.

Wracam biegiem do środka, zanoszę rachunek i sos lekko poirytowanym gościom, przepraszam Rachel i zaczynam się modlić, żeby wszyscy szybko zjedli i sobie poszli. Powtarzam w myślach, że to jest spokojne małe miasto, że nie ma tu morderców, Wren jest bezpieczna, samochód to teraz najlepsze dla niej miejsce, nikt jej tam nie zobaczy, a jeśli nawet, to nie porwie, nie porąbie na kawałki ani nic w tym rodzaju. Chwytam kartę z dwunastki, szybko przeciągam przez czytnik, szukam wzrokiem Rachel, żeby odniosła ją gościom. Ich dzieciaki też zasypiają.

I w tym momencie wpadam na Digby'ego, zagradza mi drogę jak jakaś cholerna ściana, mało nie tracę równowagi na tych debilnych obcasach.

Patrzy na mnie, cały czerwony.

– Co ty tu robisz? – pytam. – Myślałam, że imprezujesz.

– Ja... no tak. Wpadłem zobaczyć, co słychać.

– Nie musiałeś. Doskonale sobie radzę.

– Ale dzisiaj urodziny Wren – mówi, jakby to tłumaczyło jego obecność, jakby to w ogóle miało z nim cokolwiek wspólnego. – Zaparkowałem obok ciebie. Zauważyłem, że silnik jest włączony i pomyślałem, że może gdzieś tu jesteś. Wren siedzi w samochodzie.

– Tak, jestem świadoma tego faktu – odpowiadam tak sarkastycznie, jak tylko potrafię. – Właśnie kończę. Jeszcze kilka minut.

– Hej – mówi Shane, mierząc Digby'ego wzrokiem. – Zaraz do ciebie podejść.

– On już wychodzi – mówię.

– Nieprawda.

– Dziewczyna na ciebie nie czeka? – warczę. Już i tak krzyczymy, muzyka gra bardzo głośno.



– Poszła z Katriną do Parkera. Eden została z Wren.

Mam ochotę się rozpłakać. Eden ze mną nie rozmawia. Do Wren pewnie też się nie odezwie. I gdyby nie całe to szaleństwo, ja też poszłabym dzisiaj do Parkera. Bawiłam się tam w zeszłym roku. Moim największym zmartwieniem było wówczas, czy znajdzie sposób, jak się do mnie dostać, bo miałam na sobie kostium trzmiela.

– Z drogi – mówi Val. Nie jest taka dyplomatyczna jak Shane. – Przeszkadzacie. – Wyjmuje z lodówki dwa piwa. – Szóstka. Przekaż Rach. A teraz wynocha.

Wchodzę do korytarza obok łazienek, gdzie możemy porozmawiać na osobności, bo wygląda na to, że Digby nie zamierza sobie pójść.

– Powiniennem być z nią dzisiaj posiedzieć – mówi Digby, kiedy zostajemy sami. – To jej urodziny i w ogóle.

– Wren to nie twój problem.

Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Wren w ogóle nie jest problemem.

Milczy. Po chwili pyta:

– Wasza mama dzwoniła?

Potrząsam głową, w tym momencie nie mogłabym wydusić ani słowa.

– Napisała? Przesłała prezent? Cokolwiek?

– Powinieneś już iść – mówię. – Chciałabym skończyć i zawieźć Wren do domu.

Przestępuje z nogi na nogę. Kiedy na niego patrzę, tak niepewnego i kruchego, wpadam w ten stan bliski transu. Ale próbuję jakoś się trzymać.

– Co tu robisz, Digby Jonesie?

Jego twarz przybiera ten daleki bolesny wyraz.

Ponieważ nie odpowiada, dodaję:

– Muszę wracać do pracy. Jeszcze trochę mi zostało.

– Pięknie wyglądasz – mówi. – Poważnie.

– Idź stąd – odpowiadam, ale bez przekonania.

Nagle mnie obejmuje, głowę wtula w moją szyję. Oddaję uścisk, moje nogi oplatają go w pasie, tak jak zawsze chciałam, plecy opierają się o ścianę, a on znów mnie całuje. Tak miękko. Tak niesamowicie miękko. Tym razem jest inaczej, ten pocałunek nie jest jak odkrywanie czegoś nowego, tylko powrót do czegoś idealnego, co dobrze znam, do domu, który tak bardzo chciałabym mieć.

– Cholera – szepcze tuż przy moich ustach. Tak cicho, że może wcale tego

nie słyszałam, raczej poczułam.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – To Fred, ma minę, jakby naprawdę zamierzał wyciągnąć swoje sławne giwery i odejść w blasku chwały.

Digby robi krok do tyłu. Stawiam stopy na podłodze. Całe ciało mrowi.

– Freddie – mówię.

– Goście właśnie wyszli – mówi. Nie mogę znieść wyrazu jego twarzy, wyrazu rozczarowania. – Jeszcze nie skończyłaś. Wracaj na salę.

– Okej.

– Zajmę się Wren – mówi Digby i przemyka obok Freda, nie patrząc mu w oczy.

Dwadzieścia minut później wychodzę. Eden i Wren stoją obok samochodu i bawią się w Coca-Colę, klaszczą w ręce, kołyszą biodrami, uśmiechnięte od ucha do ucha.

*Poszła Cola do przedszkola*

*Pepsi jej strzeliła gola*

*Dr Pepper kibicował*

*Seven up się w bramce schował.*

*Seven up piłkę dostał*

*Mountain Dew nam jeszcze został.*

*Mountain Dew wpadł do rowu*

*Więc pijemy Colę znowu.*

Eden i ja uwielbiałyśmy tę zabawę. Ta, która pierwsza skończyła, musiała drugiej przyłożyć. Teraz atakują swoje czoła, Eden pozwala Wren wygrać. Przyjmuje cios jak zawodowa sportswomenka, uśmiecha się.

Dostrzega mnie, a ja nie wiem, co sobie myśli. Zwykle czytam jej w myślach, w końcu dzielimy jeden mózg, ale ostatnio wzniosła między nami Wielki Mur. Zabawne, kiedy kogoś skrzywdzisz, czy z kimś się pokłócisz, to ta druga osoba staje się przerażająca, obca. Chociaż znam Eden od wieków, chociaż jest moją najlepszą przyjaciółką, zawsze będzie, teraz jest przerażająca. Ponieważ boję się, że już mnie nie kocha.

– Przepraszam – mówię.

Eden wzrusza ramionami.

Digby opiera się o samochód.

– Dziękuję – mówię do nich obojga. – Że zaopiekowaliście się Wren. Znowu. – Digby nie patrzy na mnie.

– Wszystkiego najlepszego, Wren – mówi Eden i wyciska całusa na policzku mojej siostry. – Ale następnym razem cię pokonam.

– Nie masz szans! – kracze Wren.

Eden przesuwa dłonią wzdłuż mojego ramienia, potem wsiada do furgonetki.

– Chodź, Dig, nie każ Elaine czekać zbyt długo, bo dostanie cholery. – Mówi to tak, jakby chciała mnie zranić.

– Dobra – rzuca Digby. – Wszystkiego najlepszego, Wren. Przykro mi, że nie spędziliśmy razem tego wieczoru. Za rok pójdziemy zbierać cukierki. Przynajmniej.

– Serio? Ale fajnie! Będę miała jedenaście lat, wiesz? – Potem Wren wpełza do samochodu.

Digby nie rusza się z miejsca.

– Dlaczego to robisz? – pytam. – Dlaczego rozbudzasz w niej niepotrzebnie nadzieje?

– Wcale nie. Wyjdę z nią za rok.

– Czyżby? Przyjedziesz specjalnie z uczelni, żeby zabrać siostrę koleżanki siostry na halloweenowy obchód po sąsiadach?

Mina mu rzednie.

– Cholera – mówi.

– Ona już dosyć straciła, więcej nie potrzebuje, rozumiesz?

– Jasne. Debil ze mnie.

– Zgadza się. – W dodatku kłamliwy debil.

Myślałam, że teraz ucieknę, bo wpędziłam go w wyrzuty sumienia, on jednak podchodzi bliżej i obejmuje mnie. Cała się trzęsę, jestem w potrzasku, między pragnieniem a bólem, i chyba nigdy się nie wyzwolę. Trzymam go mocno, mocno, tylko gdzieś z tyłu głowy mam mglistą myśl, że ktoś może przejeżdżać i nas zobaczyć.

– Trzymaj się ciepło – mówi Digby. – Zapowiadają burzę lodową.

– Jasne. Postaram się.

Digby wsiada do samochodu, a Eden patrzy na mnie zza szyby. Baczynym twardym wzrokiem, przez cały czas, nawet kiedy już ruszają.

Wren śpiewa przez całą drogę, całkowicie rozbudzona po spotkaniu z Digby i Eden. Telefon zaczyna mrużyć na moich kolanach. Zapomniałam zdjąć fartuch. Prawie wyrzyguję serce. Zjeżdżam na pobocze, wyszarpuję telefon spod słomek i serwetek. Nie znam tego numeru.

– Mama? – mówię. Wren prostuje się gwałtownie, natychmiast cichnie. Nie wścieknę się na mamę. Teraz to wiem. Tak bardzo bym chciała, żeby to była ona. Cisza, potem drżący głos. Moje wnętrzności przechodzą w stan ciekły.

– O – mówię. – Cześć, tato. – Chrypliwy głos dudni w słuchawce. – Nie. Nie ma jej tutaj.

– Twoja stara jest taka gruba – śpiewa Wren na tylnym siedzeniu.

## *Dzień siedemdziesiąty drugi*

**N**astępnego dnia idę do ośrodka na piechotę, chociaż burza lodowa, o której wspominał Digby, rzeczywiście nadeszła i zmieniła krajobraz w przedwcześnie zimowy, pokrywając świat warstwą przejrzystego dmuchanego szkła. Drogi posypano solą, więc nie jest źle. Nawet wyszło nieśmiałe słońce i teraz wszystko się topi.

Wchodzę przez drzwi z napisem „Columbine House”, pachnie podobnie jak w budynku podstawówki, minus sok jabłkowy i plus choroba psychiczna. Gdybym ja miała zaprojektować miejsce tego rodzaju, dałabym miniaturowe fontanny, miękkie pluszowe poduszki, nasycone kolory, na pewno nie powiesiłabym na ścianach tych tandetnych obrazków. Dałabym meble, w których można się zanurzyć, o które można się oprzeć.

Tata mieszka w tym budynku. Podczas gdy ja tam toczę codziennie bitwy, on wstaje, myje zęby, gada z kolegami, pewnie chodzi na terapię grupową i biadoli, jak to rodzina zniszczyła mu życie. Jak to jest, ograniczyć swoje istnienie tak radykalnie, do pokoju, łóżka i współspacza? Może człowiek czuje ulgę, kiedy nie musi więcej myśleć, tylko siedzi sobie w kółeczku, rozkminia różne sprawy i słucha, jak inni opowiadają o swoich problemach. Ja pewnie często bym drzemała. I przeczytałabym wszystkie książki, o których zawsze opowiada Eden. Ale co on robi? Może się nawrócił czy coś w tym stylu.

Nad wieloma rzeczami do tej pory w ogóle się nie zastanawiałam. Moje myśli zajmowali mama, Wren, Eden i Digby. A teraz okazało się, że tata przez cały czas mieszkał w odległości zaledwie czterdziestu pięciu minut. Ani razu nie przyszło mi do głowy, żeby się z nim zobaczyć. Nawet bym nie wiedziała, dokąd się udać, poza tym, po tym, co się wydarzyło, raczej nie widziałam sensu w takim spotkaniu.

– Jak się nazywasz, skarbie? – Kierowniczka ośrodka ma wyraźny filadelfijski akcent, grubymi paluchami ciągnie za mój mały palec. Ciekawe, jak długo do mnie mówi.

– Lucille – odpowiadam. – Lucille Bennett. – Patrę na jej rozległą ukwieconą pierś. Jakim cudem trafiła na takie stanowisko? Kwiaty na sukience, pierścionek w kształcie kwiatu i kwiatowy naszyjnik od kompletu, sztuczne kwiaty we włosach. Poważnie. Jeszcze chwila i od patrzenia na nią sama zeświruję. – Przyszłam zobaczyć się z tatą.

– A to dopiero – mówi. – Jesteś córką Tony’ego Bennetta? – Zachowuje się przyjaźnie, ale wygląda dokładnie jak tropikalna wersja wiedźmy, która pojawiała się kiedyś w moich koszmarach, a teraz wydaje z siebie odpowiedni chrapliwy rechot. Po raz czterdziesty stwierdzam, że niepotrzebnie miałam wyrzuty sumienia, zostawiając Wrenny pod opieką Shane.

Kiwam głową.

– No, jestem w szoku – mówi.

– Aha.

– Tony Bennett – chichocze. – On naprawdę śpiewa i w ogóle.

– Niezły zbieg okoliczności, co? – mówię. Nie wiem, jak to odebrała, w każdym razie sięga po telefon.

– Czy twój tata wie, że masz się zjawić? Nic nie wspominał.

– Hm. – Pustka. – To znaczy, mówiłam mu, że spróbuję. Podał godziny odwiedzin. – A jeśli nie będzie chciał się dzisiaj ze mną zobaczyć? Może po prostu miał lepszy humor, kiedy zadzwonił? Chyba tego nie przemyślałam.

– Dobrze – mówi wiedźma. – Zaczekaj chwilkę. Zawołam Carlosa. To moja prawa ręka. Zaprowadzi cię do pokoju odwiedzin. – Chyba mam spanikowaną minę, bo dodaje: – Nie bój się. Wszyscy uwielbiają twój tatę. W porządku człowiek. Masz szczęście.

– Mam. – Zabrzmiało jak pytanie.

Podłoga jest w kolorze beżowym, krzesła też. Jakby wiedzieli, że w tym miejscu należy pożegnać się z wszelką nadzieją i zastosowali odpowiednią do okoliczności dekorację wnętrza.

Z każdym krokiem robię się w środku coraz bardziej pusta, aż wreszcie wypełnia mnie nicość, głowa zmienia się w dziesięć tysięcy balonów. Nie czuję serca ani żołądka, ani ust. Totalnie surrealistyczne doznanie. Facet, który

mnie prowadzi, roztacza władczą aurę i chociaż mijający nas ludzie chichoczą i komentują, starają się to robić dyskretnie. Wydaje mi się, że to właśnie z jego powodu.

– ...Carlos – kończy. – Gdybyś czegoś potrzebowała, po prostu zawołaj. Po to mnie tu trzymają. Ale będzie dobrze. Twój stary jest w porządku.

Pokój jest wielkości schowka na szczotki. Te same mdlące kolory i niewygodne krzesła. Omiatam wnętrze wzrokiem, wybieram krzesło stojące tyłem do drzwi. Tata nigdy nie siada plecami do drzwi. Pewnie tym bardziej tutaj. Chciałabym odsunąć chwilę, kiedy będę musiała spojrzeć mu prosto w twarz.

Nigdy nie zachowywał się jak normalny tata. Nosił skórzane kurtki. Uwielbiał kapele w rodzaju Fishbone i Bad Brains, a kiedy w radio puszczała pop, zachowywał się tak, jakby ktoś specjalnie usiłował zepsuć mu dzień. Pił na ganku piwo, podczas gdy wszyscy pili wino. Przeklinał. Często. Drzwi za moimi plecami się otwierają. Nie ruszam się.

Tata siada naprzeciwko, uderza mnie myśl, jak dobrze wygląda. Zapomniałam, jakie ma duże brązowe oczy, mocno zarysowane kości policzkowe, masywną sylwetkę, ramiona. Wrenny jest do niego podobna. Ja ani trochę. Ale wygląda staro. Zarost przyprószone siwizną. To coś nowego.

– Hej, Tigerlily. – Tylko on tak mnie nazywa. Tygrysia Lilia. Twierdzi, że jestem po części zwierzęciem, a po części kwiatem. Kładzie dłonie jedną na drugiej, wystukuje rytm na blacie.

Myślałam, że będzie we mnie budził lęk, ale nie.

– Hej.

W ciszy mieszka wieczność.

– A więc – mówi w końcu, pochylając się do przodu – co u was słychać? Jak mama?

– Nie rozmawiałeś z nią?

– Nie. – Odchyła się na oparcie, kolana rozstawia szeroko, pożera przestrzeń wokół siebie. Najwyraźniej nic nie wie. – Nie rozmawiałem. Próbowiałem się z nią kontaktować, ale telefon mówi, że skrzynka jest pełna.

– Ona też próbowała. Wcześniej. Bardzo wiele razy.

– Dzwoniłem.

– Powiedziałaś, że mają nas nie informować, gdzie jesteś.

– Potrzebowałem przestrzeni.

Znów bębni w blat. Bing, bong, bong w środku mojej głowy. Tutaj wszystko

wydaje się pomnożone milion razy. Zwielokrotnione.

– Dzwoniłem – powtarza – wtedy, kiedy mogłem.

Kiedy mógł co? Spojrzeć mi w twarz? Nam? Spojrzeć w twarz faktom: że zacisnął ręce wokół szyi mamy. Co ja tu w ogóle robię?

– A więc wasza matka...

– Tak?

– Wszystko u niej dobrze?

– Tak. W porządku. – Co ja mam mu powiedzieć? I czy go to w ogóle obchodzi? Powiedział, że jej nie kocha. A mnie, nas?

– Radzicie sobie finansowo? To znaczy, znalazła pracę?

– W restauracji.

Kiwa głową.

Moja matka. Pielęgniarka/kelnerka/ktowicojeszcze. Fajnie. Jego niewiedza i obojętność działa na moją korzyść.

– A więc wszystko w porządku?

– Jasne. Całkowicie. Jedna wielka niekończąca się impreza.

Wydaje z siebie zakłopotany śmieszek, większy niż schówek na szczotki.

– To chyba głupie pytanie, co?

– Trochę – odpowiadam. – Ale właśnie to chciałeś usłyszeć, nie?

– A Wren?

– Co, Wren?

– Co porabia?

– Występuje w szkolnym przedstawieniu. Zapisła się na zajęcia z makramy i gry na flecie, a w weekendy uprawia łyżwiarstwo figurowe.

– Daj spokój, Lucille. Serio. Co u niej?

– W porządku. – Poddaję się. – Rośnie.

– Nie chciała z tobą przyjechać? Laura też nie?

– Widać nie.

– No tak. – Odchyła się maksymalnie na krześle, ściąga ramiona, odrzuca głowę do tyłu, patrzy w sufit. – Tak, pewnie, nic dziwnego.

– Z pewnością – mówię, chociaż wiem, że Wren by umarła, gdyby wiedziała, że tu jestem.

Ja też patrzę w sufit. Jest pokryty paskudnym barankiem i upstrzony żółtymi plamami. Powinni go zakryć tymi mądrymi sentencjami, które wyszukuje Eden. Albo wymyślić własne. Zaburzone osoby mają mnóstwo ciekawych rzeczy do powiedzenia. No bo kto mieszka w tego rodzaju ośrodkach? Osoby zaburzone.



– O rany – mówi, wciąż patrząc w sufit – jesteś dla mnie strasznie surowa. Chyba rozumiesz, że staram się jak mogę.

Mimowolnie spoglądam na jego dłonie. Są takie wielkie. Dłonie, które mogą cię chwycić i podnieść wysoko, przebiegać po strunach gitary, wmusić rytm w muzykę, dłonie, które cię prowadzą i zapewniają bezpieczeństwo. Które potrafią zadać ból. Silne i władcze.

– A dlaczego tutaj mieszkasz? – pytam. – Czemu nie wróciłeś albo nie zamieszkałeś w jakimś ciekawszym miejscu?

Bębni we własną pierś.

– Nie czuję się gotów na powrót. Chyba jestem jeszcze za słaby. Przeżyłem załamanie nerwowe. Taką dali mi opcję do wyboru, wydała mi się odpowiednia. Wiem, że trudno zrozumieć...

– Ależ skąd. Cieszę się, że ci tu dobrze.

Wydaje z siebie przeciągły świst.

– Daj spokój, Tigerlily, zacznijmy od początku. – Próbuje pokazać oczami, że można mu zaufać. – Chodźmy na spacer.

Pomysł jest tak idiotyczny, że zgadzam się bez wahania.

– A wolno ci?

Parska śmiechem.

– Pewnie. Już nie jestem na oddziale zamkniętym, wiesz? Tylko pod nadzorem. Obowiązują pewne zasady. Tak więc możemy spokojnie iść na spacer.

Idziemy na tyły budynku. Tata melduje się Carlosowi, który rusza za nami, w odległości kilku kroków.

– Wiesz, co jest najgorsze? – pyta tata.

– Hm?

– Tu nie wolno pić. Wydaje się, że to nie powinien być poważny problem, ale czasem aż mam ochotę w coś przywalić. Są dni, kiedy oddałbym wszystko za zimne piwo.

– Brawo, tato.

– Posłuchaj, przykro mi, że cię rozczarowałem, ale zapewniam, że w takim miejscu szybko ustawiasz priorytety.

Chyba próbuje być zabawny, ale brak mi cierpliwości. Hamuję. Moje stopy wpadają w poślizg, odwracam się na pięcie, tuż przed drzwiami prowadzącymi na zewnątrz.

– Co? – Stroszy się, unosi ramiona. – O co chodzi?

– To są twoje priorytety? – Mam ochotę się na niego rzucić, ledwo nad sobą panuję. – Myślisz, że wystarczy spytać, co w domu, i już można gadać o piwku?

Jego oczy zapalają się, zaraz potem zachodzą wilgocią. Jest wytrącony z równowagi. Widzę, jak walczy ze swoją gwałtowną naturą. Mam to gdzieś.

– O co chodzi, Tigerlily? Czy dzieje się coś złego? – Kładzie rękę na moim ramieniu. Próbuje mnie objąć, co od razu przyprawia mnie o wściekłość. – Możesz mi powiedzieć.

Wygląda jak dorosły mężczyzna, lecz ja widzę małego chłopca. Nie ma prawa.

– Nie dotykaj mnie – mówię. – Nie waż się mnie dotykać.

Zabiera rękę.

– Hej, spokojnie. Chciałem tylko zabrać córkę na spacer. Córkę, której nie widziałem od pięciu miesięcy. Kawał czasu. Stęskniłem się.

Nie mogę tego słuchać. Przekręca wszystko tak, żeby mu pasowało, w pewnym sensie zwała winę na mnie. Kiedy sobie przypominam, ile razy mama wracała ze szpitala zapłakana, bo odprawili ją z kwitkiem, a on nawet nie powiedział, dokąd się przenosi... Zwracam się do Carlosa:

– Dlaczego on w ogóle przebywa w tym miejscu?

Carlos rozgląda się dokoła.

– Ponieważ potrzebuje spokoju. To odpowiednie miejsce, żeby się pozbierać.

– Czyżby? – mówię. Odwracam się w stronę taty, który obserwuje mnie spod drzwi. – Moim zdaniem wcale tego nie potrzebujesz. Jesteś po prostu słaby, a cała ta afera to zwykła lipa. Wykręt.

– Wiem, że to nie jest przyjemne miejsce – wtrąca Carlos. – Może powinnaś wrócić, kiedy nie będziesz taka rozemocjonowana. Krzyki nie działają zbyt dobrze na tutejszych mieszkańców. Mogą pogorszyć ich stan. Czynniki spustowe, rozumiesz.

– Jasne, jasne – mówię. Wiem. Spokój. – Biorę wdech. – Masz rację. Chciałabym już stąd pójść.

Carlos rusza w stronę wyjścia od frontu. Odwracam się.

– Przyłóż się do terapii – mówię. – Zastanów się nad sobą. Zastanów się, jak powiedzieć prawdę, bądź odpowiedzialny. To, jak postąpiłeś z mamą, jak nas potraktowałeś, to, co mówiłeś, to wszystko było złe.

Krzywi się, ale milczy.

– I wiesz co? – dodaję. – Przy okazji spróbuj dorosnąć.

## *Dzień siedemdziesiąty trzeci*

**N**astępnego dnia wiszę nad telefonem. Chodzę w tę i z powrotem. Wyciągam garnki z szafek i ustawiam je z powrotem w innym porządku. Zaczynam pisać esemes do Digby'ego. On na pewno potrafiłby wyjaśnić mi sens wszystkiego, co się wydarzyło. Ale potem myślę sobie: a jeśli jest z Elaine, może się obściskują czy coś.

Ale muszę.

Muszę coś zrobić. Przeglądam w myślach listę osób, do których mogłabym zadzwonić. Nieustannie powraca Eden. Eden. Eden.

Dotknęła mojego ramienia. Może mogę do niej zadzwonić. Może nie jest już poza zasięgiem.

Od rozmowy z tatą Wren jest przygnębiona. Słyszałam tylko połowę rozmowy, ale tyle wystarczyło, wiem, że nie powiedział jej nic więcej prócz tego, co powiedział mnie.

Co powiedział. Czego nie powiedział. Czego my nie powiedziałyśmy.

W niedziele zwykle czuję się świetnie, bo nie pracuję, mogę skupić się wyłącznie na domu i lekcjach do odrobienia, lecz dzisiejszy dzień jest ponury i przygnębiający. Dotykam wszystkich tubek z farbami po kolei, ale nic więcej.

W końcu, cała roztrzęsiona, wpisuję kilka słów w telefonie i naciskam „wyślij”.

Zrobione, mówię sobie. Nawet jeśli nie dostaniesz odpowiedzi, wysłałaś tę wiadomość, zobaczymy, co będzie.

Mama nie zadzwoniła. Nie zdarzył się cud, nie stanęła nagle w drzwiach. Zignorowała dziesiąte urodziny Wren. Wren nie chce na ten temat rozmawiać, chociaż próbowałam, tak jak nakazała pani LaRouche. W końcu stwierdziłam, że naciskając, wpędzę ją w jeszcze gorsze samopoczucie, więc przestałam wypytywać, przez cały dzień oglądałyśmy telewizję. Poznałam mnóstwo przepisów kulinarnych idealnych dla całej rodziny.

Zasnęliśmy przy „Iron Chef”.

A teraz obudził mnie telefon. Eden odpowiedziała na mój esemes. Wymykam się z łóżka, wygrzebuję z szafy mamy dzinsy i bawełnianą koszulkę z długim rękawem.

Może, może jednak mi wybaczyła. Może nakrzyczy na mnie, za Digby’ego, za wszystko. Nieważne. Ważne, że jednak nie jestem sama.

Frunę na spotkanie z Eden.

Dosłownie frunę.

Wymykam się frontowym wyjściem, zamykam drzwi na klucz, najciszej jak tylko się da, patrzę na nie. Modlę się w duchu, żeby Wren się nie obudziła, żeby nie wpadła w panikę, a potem biegnę w stronę rzeki. Pocę się pod kurtką, biegnę, biegnę, czuję na twarzy zimne powietrze, mijam nagie drzewa i wszystkie znajome drzwi.

Bestia stoi zaparkowana przy wejściu na ścieżkę. Digby też przyjechał? Całe ciało głucho łomocze.

Kiedy schodzę ze ścieżki, zaczynam trochę się ślizgać. Ziemia jest pokryta lodem, przejrzystym i podstępny, niewidocznym mimo pełni. Co za szczęście, że włożyłam swoje wielkie śniegowce.

Wagon jest już blisko. Jeszcze jej nie widzę, ale czuję zapach dymu.

– Przyjechałaś samochodem? – zagajam. – Widziałam Bestię.

– Tak. Ale on nie.

– Wiem. – Mój głos zdradza stanowczo zbyt wiele.

Wypuszcza dym w stronę księżyca.

– To.

Siadam obok niej. Jeszcze nigdy nie widziałam tak jasnego księżyca. Drzewa wyglądają jak ręce, które próbują go chwycić długimi sękatymi paluchami, ale chybają, dosłownie o milimetry, a on nadal wisi, poza ich zasięgiem.

– Idealny.

– Ehe – mówi Eden.

– Jak sądzisz, co się stało z tym pociągiem? Jakim sposobem pojedynczy wagon znalazł się nad rzeką?

– Pewnie lenistwo.

Drobnym kroczkiem pokonuję lód, siadam obok Eden.

– Że odpadł i ktoś stwierdził: chrzanić to, niech sobie leży?

– Coś w tym stylu.

– Mam nadzieję, że ktoś przeżył w tym wagonie coś wspaniałego i postanowił go tu postawić, żeby zawsze móc do niego wracać. Może ktoś zakochany.

– Jezu, Lucille.

Opuszczam ramiona, cała się kurczę.

Siedzimy tak, a księżyc oblewa mnie blaskiem, znów się rozluźniam. Gwar w moim wnętrzu cichnie, jestem tutaj – obok Eden, która mnie zna, która może za sprawą jakiegoś cudu jednak postanowiła przyjąć mnie z powrotem.

– Znasz ten wiersz Dylana Thomasa? – Jej włosy spływają na plecy pod czarnej czapeczki.

Wzruszam ramionami.

– Wiem, że go pamiętasz – mówi Eden. – Omawialiśmy go w zeszłym roku na angielskim. – Zawsze chodzimy razem na angielski.

– Tylko dwa ostatnie wersy – odpowiadam. W świetle księżycy jej oczy są zjadliwie zielone. – „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy. Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy”.

Uśmiecha się krzywo, gasi papierosa.

– Jestem w szoku. Zapamiętałaś cytat.

– Aha. Też jestem w szoku.

– Masz dosyć moich wspaniałych sentencji?

– Strasznie mi ich brakowało – mówię.

Tak naprawdę zapomniałam o jej mądrościach czerpanych od innych ludzi, o jej niewymuszonym entuzjazmie i wdzięku. O spokoju, który czuję, kiedy jest obok. Zapomniałam, jak bardzo jej potrzebuję. Ona wie, że życie to poduszka na mojej twarzy, że jeszcze trochę i mnie zadusi. Ale ten, kto trzyma poduszkę, wpuszcza nieco powietrza, pozwala mi oddychać, akurat tak, żebym nie umarła. Niemal zapomniałam, że Eden zabiera poduszkę, że kiedy jest obok, widzę coś więcej.

Może każdy ma taką poduszkę.

Wszystko to więcej niż jedna rzecz.

Eden wyciąga małą butelkę, podaje mi, zaciera dłonie w rękawiczkach.

– Tequila.

– Serio?

– Mama robiła ciasto limonkowe z tequilą. Trochę zostało. Po co ma się

marnować. Poza tym tyłki zaraz odpadną nam z zimna.

Tequila pali w gardle i smakuje okropnie, ale i tak piję. Robi mi się ciepłej w całym ciele. Wszystko zwalnia, sadowię się wygodnie na kamieniu.

– To co u ciebie słyhać? – pytam.

Robi wielkie oczy, chwyta się za serce i robi niby zaskoczoną minę.

– Błagam – mówię.

– Dawno nie pytałaś.

– Ostatnio sporo się dzieje.

– No tak. – Znów pociąga z butelki. – Wiem. Mnóstwo.

– Nie. – Waham się. – Nie o to chodzi.

– Wiem. Mnóstwo różnych rzeczy.

Sięga do kieszeni i wyciąga paczkę American Spirits. Żółtych. Długo próbuje zapalić papierosa, jej palce drżą. Pali niemal jednego od drugiego.

– Któregoś dnia pojechałam do miasta, na zajęcia z Teatrem Bolszój.

– O rany! – Wyobrażam sobie, jak płynie po scenie, lekko i bezbłędnie. – Coś niesamowitego!

– Byłam fatalna – mówi Eden i wydaje z siebie dziwny śmiech. Przypomina śmiech-nieśmiech Digby’ego.

– Niemożliwe.

– Nie, Lu. Okazało się, że jestem świetna, owszem, jak na lokalne warunki.

– Jesteś świetna!

– Jasne, tutaj.

– I co z tego?

– To znaczy, że nie jestem aż tak dobra. Co najwyżej przeciętna.

– Ale to niemożliwe. Tyle potrafisz. Jesteś taka giętka.

– To nie wystarczy. A według tamtego nauczyciela wypadłam z gry, właściwie mogę o wszystkim zapomnieć. W skali baletowej jestem kobietą w średnim wieku.

Przyglądam jej się uważnie. Pod oczami ma sine podkówki, jest jeszcze chudsza niż zwykle.

– Przykro mi, E. – Otaczam jej plecy ramieniem, Eden raz po raz zaciąga się papierosem. Dziwne uczucie, być stroną, która udziela wsparcia. – To moja wina. Przeze mnie nie trenowałaś.

– Przestań, Lucille, nie wszystko kręci się wokół ciebie. Chodzi o moje możliwości.

Milczę. Po chwili mówię:

- Na pewno masz jakiś cytat odpowiedni do tej sytuacji.
- „Jeśliś w balecie noga, w mroku na wieki się pograżysz”?
- Nie. Coś innego. Jest tam w środku.

Zaczyna kręcić mi się w głowie.

– Twoja kolej – mówi Eden. – Powiedz, co u ciebie. Zaczynaj od mamy. Coś nowego?

– Nic. – Zabieram rękę. – Ale widziałam się z tatą.

– Żartujesz!

– Wczoraj.

– I?

– Też niezły z niego palant. Mieszka w ośrodku, unika kontaktu z rzeczywistością, marzy o

piwie. Jeśli chodzi o rodziców, to dostał mi się podwójny zbuk.

– Zawsze był najfajniejszy.

Chwytam butelkę z tequilą i opróżniam jednym łykiem.

– Sorry – mówi Eden. – Miałam na myśli, że jak byliśmy małe, to różnił się od innych ojców. Nie był taki sztywniacki.

– Pewnie. Jest taki fajny, zupełnie nieojcowy.

– Zawsze uważałam, że jest seksowny.

– O fuuuuuuu.

– To znaczy, stracił sporo punktów po tym, co zrobił, ale żebyś wiedziała. Jak byliśmy małe, strasznie ci go zazdrościłam. Grał na gitarze...

– Na basie – poprawiam.

– Dobra, na basie. I jeździł na desce. Ilu znasz ojców, którzy potrafią robić triki na desce?

– Ma w sobie Kalifornijczyka. A może małego chłopca.

– Jak już powiedziałam, to było naprawdę seksowne.

Ble. Dosyć.

– Twój wydaje się bardzo w porządku – mówię. – Zachowuje się jak normalny tata. Gra w piłkę i tak dalej.

– Ciągłe pracuje. Odkąd pamiętam. Niby tak bardzo się stara, żeby tylko nie zostać w tyle. W domu nie robi nic. Mama udaje, że jej to nie dotyka, ja jednak wiem, że tak. Niemożliwe, żeby nie dotykało. Pewnie dlatego tak się nami opiekuje.

– Ale przynajmniej twój tata nie traci nad sobą kontroli z byle powodu.

– No tak. Ale zastanawiałaś się kiedykolwiek, co to znaczy mieć rodzinę?



– Chodzi ci o presję?

– Nie przyszło ci nigdy do głowy, że ludzie nie są tak naprawdę do tego stworzeni?

– Może.

– Może to oznaka tchórzostwa nie upaść ani razu, przez całe życie balansować na krawędzi przepaści? Większość ludzi balansuje przez całe życie. Nigdy nie pozwalają sobie na upadek, nie przyjmują ciosu. Nie buntują się, robią to, czego, jak są przekonani, się od nich oczekuje. Nigdy nie próbują poznać prawdy o sobie, ponieważ wymagałoby to odwagi, której większości osób brakuje.

– A ty?

– Co?

– Uważasz, że też jesteś tchórzem?

– Czasami pewnie tak. Próbuję nie być. A ty?

Myślę o Digbym. O tym, co robiliśmy. Jak. O Elaine. Nasze pocałunki krążą w moim wnętrzu i naprawdę nie wiem, czy zachowałam się odważnie czy tchórzliwie. Jak ocenić, kiedy człowiek idzie za głosem serca?

Oto, co bym powiedziała, gdybym tylko mogła: *Światło, on jest jak światło. Położył dłoń na moim ramieniu, a ja nadal to czuję, Eden. Jedliśmy kanapki w Filadelfii. Pamiętał, że uwielbiam paprykę. Puścił mi muzykę. Ma najwspanialsze wargi na świecie, jak jedwab. Kiedy mnie całuje, to tak, jakbym wróciła do domu. Pomaga mi i lepszemu pomocy nie mogłabym sobie wymarzyć. A kiedy go nie ma, pogrążam się w bezdennej samotności.*

Puszczam jej palec.

– Ale się napierdoliłam.

– U, praca u Freda wspaniale wpływa na twoje słownictwo. Tak jak zresztą przewidywałam.

– Mówię serio. Nie śmieję się. – Odrywam niewielki kawałek lodu, rzucam go do rzeki. – Całe moje życie legło w gruzach, ale to przez twojego brata mam najgorszą jazdę. Chore, co?

Przygląda mi się przez długą chwilę.

– On jej tak łatwo nie zostawi.

Kiwam głową.

– Mają plany, ułożyli już sobie całe życie. W przyszłym roku idą razem na studia, o ile oboje się dostaną. Ostatnio może trochę się od siebie... odsunęli, ale zmiana wiele by go kosztowała.

– Zmiana zawsze kosztuje, Eden. A jeśli to jest jego prawda? Jeśli ja nią jestem? Czy zrezygnuje z tego ze strachu, by kogoś nie zranić?

– Człowiek przeważnie wybiera to, co dobrze zna. Bezpieczną wersję. Digby lubi wiedzieć, czego się może spodziewać.

– Bo jest tchórzem?

– Bo jest dobry. Ktoś taki jak on potrzebuje w życiu stabilności.

A ja nie jestem stabilna.

Prycham, bo inaczej chyba się poryczę.

– Naprawdę – ciągnie Eden. – Świat trochę go przytłacza. Ludzie, to, jacy potrafią być. Jest rozdarty, nieszczęśliwy, że jej to robi. Nie wie, co dalej. Kręci się w kółko. On ją kocha, rozumiesz? Bardzo.

– Rozmawia z tobą na takie tematy?

– A jak myślisz, czemu cię unikałam?

– Bo byłaś na mnie wściekła?

– O, Lulu. Nie. Nie tylko. Tej nocy, kiedy poszła ci krew z nosa, kiedy ci odbiło, widziałam, jak on na ciebie patrzy. Był gotów poświęcić dla ciebie wszystko. Bardzo cię kocham, ale nie byłam gotowa na coś takiego. Nie chcę trafić między was jak w kleszcze. To beznadziejna sytuacja. A on jest moim bratem bliźniakiem. To jedyna osoba ważniejsza nawet od ciebie. Kiedy zauważyłam, że dostał obsesji na twoim punkcie, musiałam wybrać. – Kopie w kamień. – Jest całkiem zdezorientowany. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Lu, nie rób mu tego. To, co dzieje się między wami, go niszczy. Jest spętany, bo ma dobre serce.

Ponownie kiwam głową, mam wrażenie, że ziemia odsuwa się coraz dalej i dalej, myślę o tacie, o tym, jak się załamał. Może wszyscy jesteśmy podatni na załamania. Różnica polega na tym, co konkretnie może każdego z nas doprowadzić do ostateczności.

– Kochasz go? – pyta Eden. – Naprawdę?

Nie ma sensu zaprzeczać.

– Totalnie.

– W takim razie najlepiej go zostaw. Już i tak zajęłaś zbyt wiele miejsca, łatwo się z tego nie wyzwoli.

– Tak powiedział?

– Ja tak mówię.

– I będą dalej ze sobą, jakby nic się nie stało?

Wzrusza ramionami.

– Znajdziesz kogoś innego. Słyszałam, że każdy z nas może potencjalnie stworzyć udaną parę z jedną z dziesięciu tysięcy osób na całym świecie. Digby nie jest jedyny.

Wszystko we mnie protestuje. Nie chcę nikogo innego. Chcę Digby'ego. Ona też wie, że Digby jest tylko jeden.

– I bez niego masz dosyć problemów – dodaje Eden. – Teraz masz się buntować. Skup się na tym.

Bez niego nic mi nie zostanie. Nic. Nic tylko bunt. Ale mam dosyć, jestem respiratorem, a on powietrzem, a ja już tego nie chcę. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Dla nikogo.

Eden wyjmuje telefon, sprawdza godzinę.

– Cholera.

– Eden.

– Tak?

– Bardzo mi przykro z powodu baletu. Powinnaś ćwiczyć dalej.

– Jasne. Tylko w tym momencie nic mi to nie da. – Spogląda na mnie, mrużąc oczy. – I nie próbuj mnie przekonywać. Zaprzeczanie jest dla frajerów. Spójrz swojej nędzy prosto w twarz i ruszaj dalej. Inaczej za chwilę odkryjesz, że jesteś stara i w depresji, zmienisz się w przerażającą skorupę, a twoim największym dylematem życiowym będzie wybór między napojem gazowanym i puszką piwa.

Śmieję się.

– To prawda – mówi Eden. – Rozejrzyj się dokoła. – Gasi papierosa, kładzie go na kamieniu.

Podnoszę go, a Eden przeciąga się, unosi ramiona wysoko nad głową, jakby zamierzała zrobić piruet, jej obcas ślizga się na lodzie, małym fragmencie lodu pokrywającym ziemię tuż obok naszego kamienia. Noga wygina się w niewłaściwą stronę, Eden traci równowagę, chwieje się.

Balansuje na krawędzi przepaści.

I nie odzyskuje równowagi. Spada. Jej stopy nie znajdują oparcia, nogi uciekają, bum, Eden uderza głową w ostry brzeg kamienia.

Zrywam się, by ją złapać. Ona już leży na ziemi. *Chwyć mnie*, mówi moja ręka. Lecz Eden nie słucha. Jest bezwładna. Zsuwa się po lodzie. Jest mi gorąco i zimno jednocześnie. Próbuję ją złapać, ale za późno, Eden jest już bardzo daleko.

Panuje głucha cisza, słychać tylko szum rzeki, jej nurt jest silniejszy od

mrozu.

Nim zdążyłam się zorientować, Eden już jest w wodzie, oczy ma zamknięte, włosy unoszą się wokół jej twarzy.

Ofelia.

Biegnę. Nie ślizgam się na lodzie. Ani razu, ani odrobinę. Wpadam do wody, tysiące noży uderza we mnie naraz, pierdylion igieł wbija się w skórę. Muszę wyjść na brzeg. Muszę zanurzyć się bardziej, dosięgnąć jej. Zrzucam buty pod wodą. Eden jest już daleko, odpływa w ciszy. Krzyczę, krzyczę, a mój głos rozbija się o pustkę.

Zasysa go czarna noc.

Chcę dostać do ręki tarczę i miecz, chcę uratować Eden, bo w tym momencie to ona jest moją największą miłością, ale nie mam miecza i tarczy, poza tym na co mi one, skoro walczę z wodą? Nigdzie nie widzę Eden. Zaraz minie zakręt. A ja. Ją. Złapię. Rzeka przepływa przeze mnie, pcha w jej stronę. Wiem, że mogę utonąć, a Wren ma tylko mnie, nie widzę Eden, nagle ją chwytam. Trzymam ją za kołnierz skórzanej kurtki. Krzyczę, trzymam ją mocno, nikt mnie nie słyszy, boli mnie gardło. Ciągnę i ciągnę, rzeka próbuje mnie pokonać, a ja ciągnę, aż docieram z powrotem do kamieni. Ślisko. Lód. Kamień. Chwyć. Trzymam się kamienia i ciągnę z całych sił, ciało mam odrętwiałe, a Wren została sama w domu, a ja szarpię z całych sił. Ciągnę. Nie oddycha.

Telefon.

Gdzie on jest?

Nie mam jak zadzwonić na policję, po karetkę.

Robię wszystko.

Wszystko robię źle.

Cała się trzęsę, rozpinam kurtkę Eden, wyciągam kluczyki z kieszeni wewnętrznej, próbuję zaciągnąć ją do samochodu, ale nie daję rady. Wdrapuję się na brzeg, ślizgam się na lodzie, nie mam butów, docieram do ścieżki, moje ciało płonie z zimna. Znam każdy krok, każdy samochód zaparkowany na tej ulicy. Biegnę do Bestii, ale ręce za bardzo mi się trzęsą, nie zdołam dojechać na komisariat. Za daleko. Do kogo zapukać?

Eden została sama. Wren została sama. Ja też zostałam sama.

Digby.

Te drzwi. Mieszka tu kobieta, która latem całe dni pracuje w ogrodzie, w wielkim różowym kapeluszu. Pukam całym ciałem. Walę pięścią pod

tabliczką z napisem: „Jeśli dom spłonie, uratujcie kota”. Jest też rysunek kota czytającego książkę. Zaczynam jeszcze mocniej się trząść. Mija milion lat i wreszcie drzwi się otwierają.

Kobieta ma na sobie różowy szlafrok, w tym samym odcieniu co kapelusz, mówi: „O mój Boże”, cała się trzęsę, kładę mokre ręce na jej ramionach, osuwam się na nią, jest bardzo miękka, i powtarzam, zadzwoń na 911. Szybko. Moja przyjaciółka umiera. Uderzyła głową o kamień i umiera. Moja najlepsza przyjaciółka.

Proszę, drę się ze wszystkich sił, które mi pozostały, prosto w jej różową twarz, w różowy rękaw, żeby mnie usłyszała, żeby ktoś wreszcie usłyszał. Zadzwoń.

## *Dzień pierwszy*

*Poszła Cola do przedszkola  
Pepsi jej strzeliła gola.  
Mocno ściskam Wren.*

**R**espirator pompuje powietrze w płuca Eden, robi *szakaaaała, szakaaaała, szakaaaała*. Eden ma głowę owiniętą białą gazą. Wywiercili dziury w czaszce, by zmniejszyć ciśnienie, powstałe za sprawą opuchlizny. Eden nie odzyskała przytomności. Jest w śpiączce. Z tego, co wykazały skany, nie doznała trwałego uszkodzenia mózgu. Czekamy.

Janie pojechała z Digbym nad rzekę, żeby zabrać Bestię, i przywiozła mi buty i suche ubranie, więc jestem Eden, od stóp do głów.

Digby obejmuje mnie ramieniem, wszelkie nieporozumienia zeszyły na dalszy plan. Stoimy przy łóżku we trójkę, Digby, Wren i ja. Janie i John rozmawiają z lekarzami o ważnych rzeczach. Trudno zebrać myśli. Wszystko płynie. Moja pierś jest jednym wielkim bólem. W pokoju przybywa kwiatów, dodają kolorów i zabierają przestrzeń.

– Może pojedziecie do domu coś zjeść? – mówi Janie, wchodząc do pokoju. John obejmuje ją w pasie. Chyba nigdy nie widziałam ich objętych.

– Nie martw się, Janie, Eden się obudzi – mówi Wren, nie odrywając spojrzenia od Eden, która wydaje się taka mała pod różowym szpitalnym kocem. Na pewno powiedziałyby, że jest ohydny. Też tak uważam. Chyba już do końca życia nie będę mogła patrzeć na różowe rzeczy. – Jest silna.

– Tak, skarbie, to prawda – mówi Janie – ale jednak...

– Ale nie jak zwykli ludzie – dodaje Wren. – Ona ma supermoc.

Janie zaczyna płakać.

Udaje mi się znaleźć zastępstwo u Freda, dziewczynę pracującą w weekendy, imieniem Delaney. Idziemy na obiad do domu Eden, zgodnie

z zaleceniami Janie. Każe mi jechać Bestią z Digbym. Pierwszy bieg. Drugi. Trzeci. W końcu zajeżdżamy przed dom, John tuż za nami w lśniącym czarnym vanie. Jak to możliwe, że ten dzień minął, skoro poprzedni jeszcze się nie skończył? Jak to możliwe, że przez cały czas nie śpię? Jestem zmęczona, ledwo czuję własne stopy, chcę położyć się na łóżku Eden i schować twarz w jej pościeli. Chcę zaciągnąć Digby'ego do kąta i całować, aż poczuję, że nadal istnieję. Wszystkie te pragnienia są złe, więc zamiast tego siadam przy stole.

Dom jest pełen garnków i zapiekane, a minęło tylko kilka godzin. *Podgrzewać w 170 stopniach przez czterdzieści pięć minut*, głosi zmięta kartka pośrodku stołu. Pismo jest krągłe i staranne, jakby ktoś zadał sobie wiele trudu, by skreślić tych kilka słów. Jakby pomyślał: może moja lasagna według starego rodzinnego przepisu nieco złagodzi wasz ból.

Czekam, aż ktoś zacznie na mnie krzyczeć, ale nie. Chociaż powinni. Nikt nie je, za wyjątkiem Wren, która siedzi przed telewizorem, ogląda kreskówkę „Pora na przygodę”. Maż z ciasta i sera gęstnieje wokół pieczarek i mielonej wołowiny na półmisku stojącym pośrodku stołu i na naszych talerzach, a my siedzimy nieruchomo. Ja, Digby i John. Zbyt wiele pustych krzeseł. Stół o wiele za duży. BC kręci się wokół własnego ogona, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Wszyscy milczą. Gdyby ktoś jadł, można by usłyszeć, jak przeżuwa. Ciszę mąci tylko szum z telewizora, lecz zduszony przez meble, tak jak mój krzyk zdusiła woda.

A potem ten ktoś, kto trzyma poduszkę zaczyna przyciskać ją coraz mocniej, wielkimi złymi łapami. Czuję, że jeszcze chwila i wydam z siebie straszny dźwięk. Nie mogę do tego dopuścić, nie przy nich, oni czekają. Podnoszę się, gwałtownie odsuwając krzesło.

Docieram do łazienki po drugiej stronie holu w ostatniej chwili. Z mojego gardła dochodzi rżenie, jakbym zaraz miała wypluć płuca. Stanowczo za głośno. Włączam wywietrznik i odkręcam kran. Nawet spuszczam wodę w kiblu. Przez cały czas stoję przy umywalce, trzymam się jej ze wszystkich sił i czekam, aż mi przejdzie, ale nie przechodzi. Dźwięk nie ustaje, ale nie ma łez, wszystko jakby odpływa w dal. A potem wymiotuję pustką z żołądka. Czuję w ustach smak tequili i dymu z papierosa Eden, czas się cofa, potem już tylko żółć i więcej pustki. Ocieram usta i prostuję plecy.

Widzę wszystko tak wyraźnie. Miękkie liliowe ręczniki, tapeta w liliowo-kremowe paski, umywalka przypominająca dryfującą kryształową kulę, biały

ceramiczny dozownik mydła. Uchwyt od kompletu, w środku dwie szczoteczki. Golarka, pewnie należąca do Digby'ego, żel do golenia, zimowa świeżość, gwarancja gładkości, zero podrażnień! Drewniana szkatułka w kształcie serca, mieszcząca ulubione rzeczy Eden. Pojemnik, w którym leżą mydło i opaska do mycia twarzy. Wszystko takie miękkie, ciepłe i czyste.

Na przezroczystej ściennej półce leżą kolczyki Eden. Te małe srebrne, wiszące, które kupiła w zeszłym roku na wakacjach w Nowym Meksyku. Nosi je na okrągło. Dosłownie przed chwilą tkwiły w jej uszach, w jej skórze. Może zdjęła je, tuż zanim wysłała do mnie esemes, żeby po powrocie do domu pójść prosto do łóżka.

Przesuwam palcem po metalu. Ciepły.

Wolałabym nie widzieć tak wyraźnie.

Ocieram oczy, wydmuchuję nos, wyrównuję oddech. Mam na sobie spodnie dresowe i bluzę z kapturem, ale wciąż marznę, jakby rzeka przyszła tutaj za mną i nadal kasała moją skórę, jakby nigdy nie zamierzała odpuścić. Czy jeszcze kiedyś znów będzie mi ciepło?

Eden musi się obudzić.

Nie chcę wystraszyć Wren, chociaż już widziała nas wszystkich w stanie całkowitego załamania, więc opryskuję twarz wodą, wycieram jednym z tych miękkich ręczników, biorę kilka oddechów, długich, głębokich, prostuję ramiona. Jestem gotowa.

Otwieram drzwi najciszej, jak tylko potrafię. Digby stoi oparty o przeciwległą ścianę. Twarz ma jakby trochę zapadniętą i bardzo bladą, mój niezwykle bystry wzrok dostrzega, że jego oczy są dokładnie tego koloru co w reklamach wycieczek na egzotyczne wyspy, a piegi wyglądają tak, jakby ktoś ułożył je na skórze jeden po drugim, bardzo starannie. Jakby ktoś wziął pędzel i powiedział: *Ten będzie idealnie pasował tutaj, a ten tu*. I jeszcze kąt jego ciała, kształt oparty o ścianę. Jego pierś zajmuje mnóstwo miejsca, ale jest szczupły. A ubranie wisi na nim, wyglądała, jakby czekało, aż ktoś wypełni pustą przestrzeń, zbyt wielką, wygląda na bardzo wygodne, na pewno przyjemnie znaleźć się w tym ubraniu, czy choćby tuż obok. Jego oczy są w tym momencie ogromne, otwarte, nie zadają żadnych pytań i niczego mi nie mówią. Po prostu patrzą na mnie, jakby widziały wszystko.

– Przepraszam – mówię.

– Dlaczego? – pyta. Głos jest głęboki i zdarty. – Uratowałam ją.

– Znalazła się tam wyłącznie przeze mnie. Mogłam pomyśleć, było ślisko



i w ogóle.

Kopie mnie w łydkę.

– Przestań. Ty się nie pośliznęłaś. Bywa.

– Tak – mówię. – Bywa. Przepraszam, że do tego dopuściłam.

Jego ramiona zaczynają się trząść. Nadal stoi oparty o ścianę, ale rozkłada szeroko ręce, ma na sobie czarną bluzę z kapturem, Eden też zawsze takie nosi i ja też mam teraz taką na sobie. Zatapiam się w tej bluzie, przyciskam twarz do jego piersi, a on mnie obejmuje. Jest poduszką, ale innego rodzaju, taką, na której chce się złożyć głowę. W którą można się wtulić, która nie dusi. Ale wiem, że on też spada w przepaść. Przyciskam go do ściany, jakbym chciała, by przez nią przeniknął, jego ramiona obejmują mnie mocniej, ale dla mnie jeszcze nie dość mocno.

Myślałam, że dam radę i nie pęknę, ale jest w nim coś takiego, w kokonie jego ramion – i w kokonie czerni, w dotyku rąk na moich plecach – że wszystko nagle puszcza.

Jego serce bije przy mojej piersi, jakby walczyło o oddech, jakby zdziaczało i pragnęło wyskoczyć z piersi. Chciałabym wpełznąć do środka i je przytrzymać. Chciałabym zostać tu na zawsze.

Dotykam jego policzka. Przesuwam dłonią wzdłuż ramienia. Jego twarz jest mokra, naciągam rękaw bluzy na dłoń i wycieram, tak jak zawsze wycieram łzy Wren. Przytrzymuje mnie za nadgarstek, bym więcej go nie dotykała.

– Siedziałyśmy nad rzeką, mówiła do mnie i nagle ucichła. – Osuwam się wzdłuż ściany. Digby robi to samo. – Wszystko stało się tak szybko.

– Myślałam, że mogę być jak Joanna d’Arc – dodaję po chwili.

– I jesteś. Wyciągnęłaś ją.

– Może nie dość szybko.

– Straciła przytomność z powodu uderzenia w tył głowy. Gdybyś nie wskoczyła za nią do wody, już by nie żyła.

Daję mu kuksańca, a on oddaje. Oboje wiemy, że gdybym nie wysłała jej esemesa, siedziałyby teraz w salonie, ale jego uprzejme słowa trochę jednak pomagają.

Odzywa się dzwonek przy drzwiach, John otwiera.

Słodki urywany głosik mówi: „Przepraszam, że nie przyjechałam wcześniej. Nie miałam zasięgu, dopiero teraz się dowiedziałam”.

Digby wstaje.

Elaine.

Wiele lat temu

Kiedy się wprowadziliśmy, szybko odkryłam, że obok mieszkają dzieci. Słyszałam, jak biegają po schodach, w górę i w dół, jak kłóć się z rodzicami, jak się śmieją. Czułam zapach obiadów, bekon, chyba zapiekanki. Jeśli stanęłam w określonym miejscu, mogłam usłyszeć nawet wodę płynącą do wanny czy pod prysznicem, odgłosy mycia zębów. Przez kilka pierwszych dni węszyłam po całym domu, uczyłam się Eden i Digby'ego, jeszcze nawet nie wiedząc, że to oni. Dopiero po pewnym czasie odważyłam się wyjść. Powietrze było gęste i obce, niepodobne do lekkiej kalifornijskiej atmosfery, do której przywykłam. Byłam jak hel.

Pierwsze, co zobaczyłam tego dnia, kiedy wreszcie zebrałam się na odwagę i wyszłam przed dom, to jego włosy. Ten kolor, jakby spadł mu na głowę kawałek zachodzącego słońca. Grupa chłopaków grających w piłkę po drugiej stronie ulicy, zderzających się brutalnie. Coś we mnie zawirowało.

Digby zachowywał się inaczej niż koledzy – nawiasem mówiąc, do dzisiaj się przyjaźnią – którzy popychali się i wyzywali. Po prostu biegał, grał, niewymuszenie, jakby z przekonaniem, że robi dokładnie to, co trzeba. Jakby był drzewem, wysokim i pełnym wdzięku.

W tym momencie usłyszałam z boku głos:

– Mieszkasz tutaj?

Kiwnęłam głową.

– Wcześniej mieszkała tu taka pani – dodała dziewczyna. – Ale umarła.

– Moja ciocia.

Przez chwilę trawiła tę informację, w końcu uznała ją za nieistotną.

– Tu w sąsiedztwie mieszkają sami chłopcy. – Ruchem głowy wskazała chłopaków po drugiej stronie ulicy. – To mój brat. Digby. – Pokazała nierówne zęby, częściowo jeszcze mleczaki. Fajny uśmiech. – A ja jestem Eden.

## *Dzień drugi*

**S**zkoła.

Nie szokuje mnie widok kwiatów ani nawet świec, tylko ich nieprzebrana ilość. Można by pomyśleć, że Eden nie żyje. Nie przestaje mnie zdumiewać, jak ludzie rzucają się na każdą tragedię, nawet jedynie potencjalną tragedię, jakby należała do nich, nie mogą sobie darować, jeśli tylko nadarzy się okazja, by w czymś takim wziąć udział. Facebook i tak dalej dodatkowo pogarszają sytuację. Wprawdzie mój telefon był beznadziejny i nie miał Internetu, ale i tak prawie się cieszę, że go straciłam, nawet jeśli to oznacza, że gdyby mama próbowała...

Kogo ja próbuję oszukać? Nie będzie próbowała.

Kartki, obrazki i graffiti na szafce Eden, na ścianie obok. Kto je zrobił? Jest przecież wcześniej. Chciałabym je przeczytać, ale nie zrobię tego, ponieważ czuję się tak, jakby wszyscy się na mnie gapili, co mi uświadamia, że zwykle przemykam przez rzeczywistość gładko, niewidzialna, i uwielbiam to, że mnie nie widzą i nie próbują dostrzec. Przeciwieństwo występu taty na ulicy. To on podarował mi anonimowość, sprawił, że wszyscy trzymają się ode mnie z daleka. Nikt nie chce mieć nic wspólnego z córką tego wariata.

Ale wystarczy tragedia w postaci śpiączki i nagle wszystko się zmienia. Jakby ktoś rzucił ochłap głodnym rekinom. Jeszcze chwila i zaczną śpiewać religijne piosenki. Chyba całkiem zwariuję. Chyba już trochę zwariowałam.

Odbiło mi, jak mówiła mama.

Czasem po prostu trzeba odejść i to właśnie robię.

Przeciskam się przez narastający tłum jak oszaląca ryba walcząca z przeciwnym nurtem, próbuję opanować zbyt wrogie myśli na temat fałszywych przyjaciół. W moją stronę zmierza Elaine, kiedy nasze oczy się spotykają, jestem załatwiona. Odwrócić się i zmierzyć z obłędem albo zagadać. Uciec nie ma jak.

– Niebywałe, co? – mówi Elaine.

– Szaleństwo.

– Ludzie już tacy są. – Szukam oznak świadczących o tym, że ona wie, ale znajduję tylko tyle: miła, rozmowna, zdystansowana, może przejęta. – Wybierasz się do szpitala?

– Mam kilka spraw do załatwienia, ale spróbuję po szkole. – Po chwili wahania pytam: – A ty?

– Dzisiaj nie. Jutro.

Idealna twarz. Nieskazitelny owal, kremowa oliwkowa cera, zero porów, pełne wargi, wysokie kości policzkowe, oczy, w których można zatonać, i okulary typu „jestem bardzo inteligentna”, śliczny nosek, proste lśniące czarne włosy. Ciuchy nowe, czyste i odprasowane. Cała jest czysta i jasna.

Odfruwam, byle dalej od tego wszystkiego, ale ona sprowadza mnie z powrotem.

– Lucille?

– Tak? Muszę wracać do klasy.

Kładzie dłoń na moim ramieniu, zatrzymuje mnie.

– To, co zrobiłaś, było naprawdę niesamowite. Wskoczyć do rzeki, tak po prostu... – Dotyka mnie, a ja chciałabym jej o wszystkim powiedzieć, wyznać winy, z nadzieją, że mi wybaczy.

– Każdy postąpiłby tak samo.

– No nie wiem. – Ścisną moje ramię mocniej. – Tego nie wiem. Nieważne, w każdym razie ją uratowałaś. Chyba nie każdy by potrafił.

Coś mówię, sama nie wiem co, a potem odchodzę, kiwając i kręcąc głową. Ona nie ma prawa. To stanowczo zabronione.

*Nie bądź dla mnie miła, Elaine. Bardzo proszę.*

Znów jestem w szpitalu. Bogini-pielegniarka, imieniem Rita, raz po raz wchodzi do pokoju i z niego wychodzi, kręci się dokoła, kołysząc biodrami, cmokając i mrużąc. Wren śpi na krześle. Moje łokcie tkwią zanurzone w paskudnym różu. Janie poszła na godzinę do domu, wziąć prysznic i coś zjeść. Digby’ego nigdzie nie widać.

Eden wygląda jak szkielet. Powinam z nią porozmawiać. W końcu po to tu wszyscy przychodzimy.

Jedna maszyna mówi: *szakaaaała, szakaaaała, szakaaaała.*

Druga: *bip, bip, bip.*

Moja głowa opada między ramiona.

Wchodzę z Wren do restauracji, dosłownie nie mogę normalnie oddychać i cała się trzęsę. Wchodzę tylnymi drzwiami, mijam kucharzy, Freda nigdzie nie widać. Chłopak ze zmywaka macha do mnie i wita się po hiszpańsku.

– *Hola* – odpowiadam. Czuję strach przeplatany z ulgą: co chwila wydaje mi się, że za każdym rogiem czai się Fred, ale to tylko złudzenie. Przemykam przez spiżarnię, Fred stoi pochylony nad skrzynką zielonego chili, przesuwa ją, wszystko nabiera tempa.

Sala restauracyjna jest prawie gotowa na przybycie gości, dziewczyny kręcą się dokoła. Wszędzie na ścianach krzyże. Chyba dopiero teraz zwróciłam na nie uwagę. Są wszędzie, w przeróżnych wersjach, wszelkich możliwych wydaniach. Zastanawiam się intensywnie, dlaczego to ma znaczenie.

Nie wiem, czy nadal tu pracuję, nie wiem, czy Fred był bardzo wściekły, kiedy zobaczył, jak obmacuję się z facetem na zapleczu zamiast pracować. Niezależnie od tego, co dzieje się z Eden, nie mogę stracić tej pracy.

Na szczęście, Wren nie ma o tym wszystkim pojęcia, chyba działa jak coś w rodzaju bufora między mną a porcją czterdziestu batów. W pierwszej chwili nikt nie zwraca na mnie uwagi. Shane i Rachel siedzą przy stole numer sześć, czytają. Staram się nie robić hałasu, ale Wren wrzeszczy:

– Hej, dziewczyny!

Dziewczyny podnoszą wzrok, zrywają się z miejsc, podbiegają, obejmują i ściskają nas obie.

– Dziewczyno – mówi do mnie Shane – czemu nic nam nie powiedziałaś?

Podnosi wysoko „Cherryville Squire” i oto okazuje się, że w tym lokalnym szmatławcu jest zdjęcie Eden i cała historia. Nagłówek głosi: „Miejscowa balerina w śpiączce”. Nic więcej nie mogę dostrzec, Shane macha gazetą, ale na pewno widzę zdjęcie Eden. I swoje, szkolne zdjęcie z zeszłego roku. Jestem na nim taka czysta, prawie ładna, prawie normalna.

Rachel dotyka podbródka Wren.

– Twoja siostra zrobiła coś naprawdę wyjątkowego.

– Właśnie wracamy ze szpitala – oznajmia Wren, po czym znika na zapleczu, pewnie znów będzie się bawić kosmetykami.

– No – mówię. – Możecie spytać Eden, jak świetnie się spisałam.

– To nie ma znaczenia – mówi Rachel. – Nie o to chodzi, kotku – dodaje i rusza w ślady Wren.

- Dzięki – mamroczę do jej pleców.
  - O, jesteś? – Nadciąga Val, wygląda dzisiaj szczególnie wampowato. Lateksowe elementy w stroju, bardzo gruba kreska na powiekach. – Nie powinnaś być teraz gdzie indziej?
  - Muszę pracować.
  - No tak – stwierdza Shane. – Życie toczy się dalej. – Jej telefon, leżący obok na stole, zaczyna dzwonić, bierze go do ręki, prychna. – Hm. Kto by pomyślał? Trent. Trzeba ich rzucać co najmniej raz w miesiącu, tak dla przypomnienia.
  - Musisz porozmawiać z Fredem – mówi Val.
  - No właśnie – potwierdza Shane. – I to, hm, już.
  - Co ty tu robisz? – Głos jest płaski, pozbawiony wszelkich cech charakterystycznych.
- Fred.  
Już jestem bezrobotna.

Sala pustoszeje błyskawicznie, jakby ktoś wpuścił gaz łzawiący, zostajemy we dwójkę. Fred siada, gazeta z moim zdjęciem leży obok jego dłoni. Mówi, że też mam usiąść. Czuję się jak w „Ojcu chrzestnym”. Mam ochotę napchać wacików w policzki Freda, idźmy na całość, ale chyba nie byłby zachwycony. Chyba nie jest w nastroju.

- Nogi się przede mną uginają, w głowie łupie głuchy ból, gardło pali.
- Wróciłaś. – Jest blady i niewyraźny, jakby w końcu nadeszła apokalipsa zombie, o której zawsze opowiada.
  - Znalazłam zastępstwo – odpowiadam.
  - Tak, ale... – Uderza paznokciem w gazetę – sporo się u ciebie dzieje. Jestem pewna, że moje węzły chłonne wyraźnie się powiększyły.
  - Więc? – pyta Fred.
  - Mogę pracować?
  - Znów przyprowadziłaś siostrę?
- Obrus jest ozdobiony motywem flag.
- Widziałem ją na zapleczu. Zamierzasz ją tu trzymać przez całą noc?
- Odsuwam się na krześle.
- Dobra, jestem zwolniona, tak?
- Fred wstaje, przez chwilę chodzi tam i z powrotem. Mam ochotę zwiać. Czy naprawdę muszę tu siedzieć? Fred wygląda na wściekłego. Porządnie

wściekłego.

– Obmacujesz się z chłopakiem na zapleczu. Zwijasz się do domu, chociaż nie skończyłaś roboty. Przyrowadzasz młodszą siostrę. – Przesuwa okulary głębiej na nos, sięga do kieszeni po papierosa, przez chwilę trzyma go między palcami, nie zapalając. – Co ja niby mam zrobić w tej sytuacji?

– Rozumiem, w porządku.

– Nie w porządku. Należysz do zespołu. I masz w związku z tym odpowiednio postępować.

Nie wiem, co to znaczy, ale nie szkodzi, Fred jeszcze nie skończył. Siedzę przed nim jak pięciolatka i grzecznie przyjmuję burę.

– Kąpiesz się w rzece w środku zimy i słowem nie piśniesz. Najlepsza przyjaciółka w śpiączce? I kim jest ten facet, który cię obmacywał? I dlaczego przyrowadzasz siostrę do pracy? – Kładzie dłonie na stole. – Lucille, gdzie są twoi rodzice?

Mnie tu nie ma. Wychodzę. Fred chwyta mnie za ramię.

– E-e. Myślisz, że nie wiem o twoim tacie?

– Nie wątpię, że wiesz – wyduszam przez spuchnięte gardło. – Wszyscy wiedzą.

– Zgadza się. Wiem też, że twoja mama wyjechała. Tylko nie wiem dlaczego. Wiem też, że potrzebujesz tej pracy. Czemu nie potrafisz mi zaufać, pokazać, że ci zależy?

– Dlaczego? – pytam. – Po co?

– Żebyśmy mogli ci pomóc.

Jego oczy są niesamowicie niebieskie. Nigdy dotąd nie widziałam go z tak bliska. Oddech pachnie kawą i papierosami, ale błękit oczu pokonuje nawet brudne szkła.

– Nie mam dzieci, Lucille, i pewnie już nie będę miał, no chyba że zapłodnię jakąś gorącą laskę z ruchu oporu przeciw zombie.

Uśmiecham się.

Uśmiechnęłam się!

– Ale gdybym miał dziecko, chciałbym, żeby było takie jak ty. Żeby nie siedziało z założonymi rękami, kiedy zaczynają się kłopoty. Chciałbym mieć taką córkę twardzielkę, która potrafi w razie czego znaleźć pracę i zaopiekować się najbliższymi, tak jak ty siostrą. Która potrafi skoczyć do rzeki w środku zimy, wyciągnąć tonącą przyjaciółkę i uratować jej życie.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale Fred unosi dłoń.

– Chcę, żebyś była obok, kiedy przyjdą zombie, okej? – Robi cudaczny ruch rękami, jakby kopał ziemię. – Nie każdemu bym coś takiego powiedział. Nie myśl sobie.

– A więc nie jestem zwolniona?

– Pod jednym warunkiem. Usiądziemy sobie razem i opowiesz dokładnie, co się z tobą dzieje. I nie możesz przyprowadzać małej. Coś wymyślimy. Dziewczyny na pewno pomogą. Rachel może robić jej makijaż w te wieczory, kiedy nie pracuje. I przysięgam na rany Chrystusa, jeśli jeszcze raz złapię tego gówniarza, jak cię obmacuje, to przywita się z moim małym przyjacielem. – Robi z dłoni rewolwer. – *Together we stand, divided we fall.*

Pohukuje i jest to tak debilne, że zabija krzyk, który chce się wyrwać z mojego gardła.

Ależ on jest fatalny.

I wspaniały.

– Hej! – wrzeszczy gdzieś w kierunku biura. – Co tam marudzicie? Ruszcie tyłki, do roboty! Za dwadzieścia minut ta pieprzona knajpa ma błyszczeć!

Dziewczyny wyłażą z biura i zabierają się do pracy.

Fred kładzie wilgotną dłoń na moim ramieniu, sięga do tylnej kieszeni i wyciąga kilka banknotów. Czteryście dolarów.

– Na dzisiaj znalazłem ci zastępstwo. Bierz i ani słowa. W tym tygodniu masz wolne, do zobaczenia w poniedziałek.

– Freddie...

– Ani słowa – przerywa mi, podchodzi do bocznych drzwi, omiata wzrokiem salę. – No dobrze – wyrokuję. – W porządku.

Wchodzimy do domu. Wygląda nieskazitelnie. Po prostu idealnie. Nagle wszystkie przedmioty znalazły się na właściwych miejscach. W szafkach kolejna porcja zapasów. Nawet nie potrafię się wściec ani przestraszyć, chociaż wiem na pewno, że rano zamknęłam drzwi na klucz.

W moim wnętrzu nic nie zostało, nie ma miejsca na panikę. U Wren podobnie. Spoglądamy na siebie, a potem wyciągam dla niej z szafki coś do jedzenia, wybór jest ogromny. Idziemy do łazienki na wieczorny prysznic. Tam też. Świeże butelki z szamponem i odżywką, nowiutkie mydło, kilka ręczników. Nasz dobroczyńca, kimkolwiek jest ta osoba, postarał się jeszcze bardziej niż dotąd. A może to wcale nie jest osoba. Może to czary. Tak jak twierdzi Wren. Może to anioł o wielkich świetlistych skrzydłach,



w powiewnych szatach, poszedł na zakupy do supermarketu, skorzystał z kuponu rabatowego i tak dalej.

A może całkiem mi odbiło.

Nieważne.

To był bardzo długi dzień.

Eden powiedziała mi kiedyś, że chce być skremowana. Nie chce, żeby żarły ją robale. Chciałaby znaleźć się w jednej z tych biodegradowalnych urn z ziarenkiem w środku, które zakopuje się w ziemi, a potem z człowieka wyrasta drzewo. Pomyślałam wtedy, że to bardzo romantyczne i fajne. Pomyślałam, że za jakieś tysiąc lat powtórzę to życzenie mężowi Eden czy dzieciom, może nawet będziemy sobie rosły w tym samym ogrodzie.

Nie przyszło mi do głowy, że Eden może umrzeć już teraz, tak naprawdę.

Potencjalna hipotetyczna śmierć jest znacznie mniej przerażająca niż ta realna i może całkiem bliska.

Co ja zrobię, jeśli Eden nie przeżyje? Bez ojca dam sobie radę. Nawet bez matki. I bez Digby'ego. Samo przywołanie jego imienia w myślach to już zbyt wiele. Ale więcej strat nie zniósę. Wiem do szpiku kości, że nie.

*Szakaaaala.*

– Obudź się – mówię do najlepszej przyjaciółki w kosmosie. – Słyszysz?  
O. Budź. Się.

*Szakaaaala. Bip. Bip. Bip.*

– Błagam. Błagam.

Dzień przeprowadzki PD (Przed Digbym)

– Czemu jest tak gorąco? – Eden leżała na fotelu, z książką na twarzy, a ja obserwowałam ludzi i próbowałam nie wpaść w zbyt głęboki dół. Mama i Wren poszły do sklepu, tata jeszcze spał. Tego dnia na naszej ulicy panowało spore zamieszanie, kręciło się mnóstwo ludzi, a ruch samochodowy trochę się skomplikował z powodu wielkiej ciężarówki z firmy przeprowadzkowej, która praktycznie zablokowała przejazd.

– Ee, ponieważ mamy lipiec, a w lipcu jest gorąco.

– Jakby Bóg prowadził wendetę przeciwko Wschodniemu Wybrzeżu i w swoim gniewie potraktował nas plagą złożoną z koszmarnych temperatur i wilgotności. – Ożywiła się na moment: – W nowym domu jest klimatyzacja. Normalna prawdziwa klimatyzacja.

– Cieszę się z twoim szczęściem – powiedziałam.

John i Digby wyszli z domu, niosąc między sobą deskę, ruszyli w stronę ciężarówki.

– Co ty wyprawiasz? – rzucił Digby, mijając nas.

– No co? Spakowałam wszystkie swoje rzeczy.

– Aha, ale mama jeszcze sprząta. Mogłabyś pomóc.

– Pomogę. Zadowolony? Zrobiłam sobie krótką przerwę. – Eden opadła z powrotem na fotel, otarła czoło. – Wrzód na dupie.

– Będę za tobą tęsknić – powiedziałam. – Bez ciebie będzie totalnie beznadziejnie.

– Nieprawda. – Eden rozciągnęła się, robiąc skłon do nogi i jednocześnie ciągnąc za stopę. – Będzie inaczej. Inaczej nie znaczy gorzej.

– Mnie się podobało tak, jak było do tej pory.

Wzruszyła ramionami, znów pociągnęła za stopę.

– Pewnie gdybym to ja przeprowadzała się do domu z klimatyzacją i wnętrzami zaprojektowanymi przez architekta, to też bym nie miała nic przeciwko – przyznałam. – Ale bez ciebie będzie nudno i głupio.

– Będziemy się spotykały – powiedziała, wyciągając rękę z wystawionym małym palcem. – W naszym miejscu, kiedy tylko zechcesz, kiedy tylko przyjdzie nam ochota.

Usiadłam na balustradzie, splotłam palec z palcem Eden.

– Słowo?

– Słowo. – Eden pochyliła się do przodu. – Lu, uwierz mi, co jak co, ale na pewno nie będzie nudno.

– Tutaj? Owszem. Tutaj zawsze będzie do dupy.

– Nie. – Skrzywiła się na widok Johna i Digby'ego zmierzających z powrotem w naszą stronę.

– Nie chodzi mi o miejsce, głuptasie. Mówię o życiu.

## *Dzień trzeci*

**W**racam do rzeczywistości w smolistej czerni. Płonę. To pierwsze, co czuję. Płonę, nie tyle płonie moja skóra co wnętrzności, do samego dna. Jestem bólem, który zaczyna się w nieokreślonym miejscu, oddzielam się od własnego ciała, ponieważ ból jest nie do wytrzymania. Dałabym wszystko, by od niego uciec.

*Ashes to ashes to ashes to ashes.*

Rozpadam się.

Śniłam o czymś, a sen mnie wygonił.

Trwa to bardzo długo. Trwa kilka godzin, nim ciało obróci się w popiół, w podstawowe związki chemiczne, które następnie pogrzebie się w alternatywnym stylu. Długo trwa, nim ciało spłonie, to nie jest kwestia sekund ani minut. I zawsze zostają zęby, fragmenty kości. Chyba tak właśnie to robią. W nocy. Rozpalają piec, wsadzają cię do środka, wracają rano i wkładają do jednego z tych małych pudełek.

Eden ma takie długie nogi. Nie chcę, żeby ją to spotkało. Nie teraz. Skóra się topi, mięśnie znikają, wreszcie nawet kości rozpadają się w pył. Nie będzie więcej arabesek. Ani *plié*. Martwienia się o *pointe*, czy się uda. W ogóle żadnych więcej zmartwień. W ogóle już nic.

Gorąca skóra przywiera do mojej skóry. Eden rozpada się, jej oczy są jak piłki. Czuję ją w ciemności tuż przy swoim ciele. To nie Eden. Eden nie umarła, leży w szpitalu. Coś złego dzieje się z moim mózgiem.

To Wren.

Kładę dłoń na jej czole, parzy. Próbuje usiąść, ale kręci mi się w głowie.

– Wrenny – szepczę, macając dokoła w poszukiwaniu lampki nocnej.

Wren jęczy. Jest rozpalona.

Zwlekam się z łóżka. Nie mam wyjścia.

Nie mam też telefonu. Ani leków przeciwgorączkowych. Nie wiem, co

robić, obie jesteśmy chore i dla Wren źle się to skończy, jeżeli czegoś nie wymyślę. Zarzucam jej na ramiona kurtkę mamy. Nie kłóci się, nie protestuje.

Przesuwa dłonią po mojej twarzy.

– Ale jesteś gorąca.

Chwytam ręcznik, moczę go.

– Przyłóż sobie do czoła – mówię. Wren wykonuje polecenie. Wyprowadzam ją przed dom. Jest zimno, napadało więcej śniegu, ale dam radę. Wsadzam ją do samochodu, jedziemy.

Nie do szpitala. Nie chcę znowu tam być.

Wjeżdżam w ślepią uliczkę.

Pukam do drzwi, długo w końcu przypominam sobie o dzwonku, naciskam. Jest biały, błyszczący w świetle latarni, a mnie już nie jest gorąco. Marznę, jak jeszcze nigdy dotąd.

Nigdy nie widziałam Janie w takim stanie, rude włosy sterczą na wszystkie strony jak u lalki podłączonej do prądu. Na widok Wren rozplotła ramiona skrzyżowane na piersi i zabrała nas do środka. To jej pierwsza noc w domu, nie w szpitalu. John został na posterunku. A my akurat musiałyśmy zachorować.

– Pst – mówi. I tak nie spała.

Tak dobrze znam ten pokój. Należy do Eden. Miękka puchowa kołdra i poduszki, wszystko w kremowym kolorze, drewniana podłoga, prostokątny pluszowy dywanik. Na ścianach zdjęcia balerin, głównie czarno-białe, oprawione w ramki. Książki, książki, książki, całe mnóstwo książek o zniszczonych grzbietach. Półka. Buty do baletu, od całkiem małych do największych. W drzwiach uchylonej szafy połyskują ubrania. Gdybym otworzyła szuflady, znalazłabym trykoty i ocieplacze na nogi. Całe stosy, kawałek Eden. Patrę w sufit. Najnowszy i najlepszy cytat. Może ostatni. „Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy. Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy”. Znowu.

Janie położyła Wren w salonie, żeby mieć na nią oko. Bez Wren jest mi dziwnie pusto, ale cóż, mogę po prostu leżeć, napakowana środkiem przeciwwgorączkowym, w towarzystwie kubka herbaty, nic nie robić.

Myśli zaczynają się rozjeżdżać. Może w lekarstwie jest jakiś składnik działający nasennie.

Czy Eden nadal istnieje w swoim ciele? Czy jest świadoma, że jej tata

siedzi przy łóżku? Czy wie, że jest mi tak strasznie przykro? Czy zatańczy jeszcze kiedyś, czy spłonie? Gdzie jest mama?

Może Eden za chwilę wejdzie przez te drzwi i wskoczy na łóżko. Oprze brodę na dłoniach, włosy opadną wokół jej twarzy w kształcie serca i powie: „Moja mała Lulu, opowiedz mi o wszystkim”.

Ale jakim sposobem Digby znalazł się ze mną w łóżku, nie mam pojęcia.

Pocę się. Albo mam atak gorączki, albo to przez niego. Kiedy oddycham, czas szybciej płynie, a ja nie chcę, by czas robił cokolwiek. Chcę, żeby wziął urlop. Chcę mu wręczyć wypowiedzenie. *Spadaj, czasie*. Chcę zostać tu na zawsze. Z Digbym.

Nie oddycham także z powodu jego dłoni, która wśliznęła się pod kołdrę i leży na mojej talii. Porusza się. Tylko odrobinę, ale jednak. Centymetr w górę. Centymetr w dół. Delikatnie, jakby nie mogła się zdobyć na odwagę, ostrożnie. Jeśli się zatrzyma, ulegnę samospaleniu. Tak bardzo chciałabym przysunąć się bliżej, ale zmuszam się, by leżeć nieruchomo, tylko w środku cała się trzęsę, może na zewnątrz trochę też. Nie wiem.

On też drży. Słyszę po oddechu. Ale jego dłoń jest pewna. Jakaś jego część wniknęła pod mój T-shirt i dotyka tego małego fragmentu nagiej skóry. Chciałabym wszędzie. Mam ochotę się obrócić. Ale nie chcę zrobić niczego, przez co włączy się światło, przez co on przestanie. Elaine jest gdzieś tam w mojej głowie, chociaż próbuję ją stamtąd wypchnąć, bo nie powinno jej tu być. To dotyczy wyłącznie mnie i Digby’ego.

Tylko my dwoje.

I w tym momencie słyszę Janie. Płacze. Ale to nie brzmi jak płacz człowieka. Raczej wycie wilka. Albo ducha. Stłumione, lecz niewystarczająco. Nie w tej ciszy, która teraz panuje w domu.

Dłoń Digby’ego nieruchomieje.

– Szafa – szepcze w mój kark. – Płacze w szafie.

Płacz matki sprawia, że mleko się warzy, a skóra cierpnie. Bronimy się przed tym, przyciskamy nasze ciała jeszcze mocniej do siebie.

Płacz Janie brzmi jak błaganie.

## Wciąż dzień trzeci

**B**udzę się, chyba ktoś mną potrząsał. Na zewnątrz różowo, jak koc Eden. Nogi Digby'ego leżą na moich, jedno ramię przerzucone przez moje plecy.

Świat jest trochę zamazany. Ale zaraz się wyostrza.

Eden jest z nami w pokoju. Siedzi na łóżku, w nogach, w swojej ulubionej pozycji, jak na grzędzie, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Głowę przekrzywiła na bok. Patrzy na nas. I się uśmiecha.

Zamykam oczy i czuję wargi Digby'ego na karku.

– Jadę do szpitala – mówi Janie. Stoi nad nami, ubrana do wyjścia, włosy starannie upięte. Podaje mi szklanekę z wodą i parę białych tabletek.

Obudziłam się zbyt szybko, znów kręci mi się w głowie. Przyglądam T-shirt. Gardło strasznie mnie boli.

– Digby, z powodu śniegu znów są opóźnienia na drogach. Niech nikt się stąd nie rusza do mojego powrotu. Muszę wymienić Johna. W lodówce macie jedzenie, dałam Wren kolejną dawkę leku. Ten dla ciebie. – Rzuca mi tabletki.

– Mamo... – próbuje Digby.

– Nie – przerywa mu. – Nie chcę teraz tego słuchać. Później.

Eden. Mój sen.

– Czy z Eden już lepiej? – pytam.

– Ona jest w śpiączce, Lucille. Nie jest lepiej. – Rozkłada ramiona, macha nimi. – Nic nie jest dobrze.

– O – mówię.

– Lepiej się zastanówcie, co wy w ogóle wyprawiacie. W takiej sytuacji, Digby Riley Jonesie? Poważnie? Tak dalej być nie może. W tym momencie odnoszę wrażenie, że wszystko, po prostu wszystko dokoła się wali. – Połykam tabletki, a Janie wyciąga rękę po szklanekę. – Jak matka mogła was tak zostawić? Moje dziecko leży w szpitalu, a ona nie umie się zająć własnymi dziećmi. To nie do wiary, po prostu nie do wiary. A teraz jeszcze wy dwoje.

Nie mam na to wszystko czasu! – Jej głos jest na granicy hysterii. Ciekawe, od jak dawna wie o mamie i ile wie. – Mam dosyć. – Głos łamie się przy ostatnim słowie. Janie wychodzi, trzaska drzwiami.

– Cholera – mówi Digby. – Cholera.

Gra w kosza. Poważnie. Kiedy tabletki zaczyna działać i czuję się mniej więcej w połowie normalnie, a gardło przestaje aż tak boleć, wyglądam, bo nigdzie go nie widać. Odgarnął śnieg z podjazdu, tylko trochę, a teraz rzuca piłką do kosza. Czarna czapka, sportowa kurtka i spodnie, rzuca raz po raz. Bum, bum. Jego twarz się kurczy, wygląda tak, jakby szukał czegoś w metalowej obręczy kosza, ze wszystkich stron otoczony bielą. Biel i czerni.

– Mogłabyś podać mi wodę? – prosi Wren. – I włączyć Food Network?

– Jasne. – Czuję się okropnie, a Wren wygląda tylko trochę gorzej ode mnie, ale przynajmniej mogę utrzymać się na nogach i nie majaczą. Mam nadzieję, że nie zaraziłam Digby'ego. Zanoszę Wren wodę, włączam telewizor, zarzucam kurtkę i wychodzę przed dom.

– Hej – mówię.

Digby zatrzymuje się na sekundę, ale zaraz wraca do gry. Kozłuje, biega. Przemyka obok mnie, słyszę dźwięk, który wydają ocierające się o siebie nogawki. Zimno sprawia mi prawdziwą ulgę.

– Lepiej wracaj do środka – mówi, dryblując.

– Nie wrócę.

Gra dalej, jakby mnie tu nie było, wali piłką mocno o ścianę, tak blisko mnie, że aż podskakuję. Piłka odbija się i spada na ulicę. Oboje patrzymy, jak toczy się pod samochód mamy i zatrzymuje za kołem.

– Słyszałeś, że zielone oczy i rude włosy to najrzadsza kombinacja? – mówię.

– Taaa. Widzę, że jesteś ekspertką od bezsensownych uwag.

Podchodzi bliżej.

– Mam na myśli, że jesteś dziwny i nietypowy.

– Ty też.

– Może. – Po chwili pytam: – Digby, czy ty chcesz ze mną być?

Drybluje, nie patrząc na mnie.

– Chcesz? – powtarzam. – Bo nie możesz mieć wszystkiego. Nie możesz zaczynać czegoś nowego, kiedy nie zakończyłeś starego. Nie możesz... – potykam się – dotykać mnie w ten sposób, a potem zniknąć. Jeśli nie potrafisz

stanać obok mnie, trzymać mnie za rękę, czuć dumę, że jesteśmy razem, to reszty też nie możesz mieć. To nie w porządku w stosunku do wszystkich wokół, również ciebie samego. Czego ty chcesz?

Nie odpowiada. Jego oddech zmienia się w parę. Rysa w moim wnętrzu przechodzi w pęknięcie, a ono z kolei w szczelinę. Nie będę myśleć o dotyku jego rąk. Skończone.

– Idę do domu – oznajmiam. – Wiem, że twoja mama się martwi, ale powiedz jej, że damy sobie radę. Po drodze kupię lekarstwa. – Otulam się mocniej kurtką.

– Ta cała sprawa...

– Ta cała sprawa jest totalnie pokręcona. Zapętlona. Nie do rozwiązania.

– Serio?

– Oczywiście, że tak. – Wydycham powietrze na zmarzniętą rękę, przypominam sobie słowa Eden. – Muszę przemyśleć mnóstwo spraw, a tutaj nie jestem w stanie. Ty też masz teraz sporo na głowie. Dzięki za wszystko. Że pilnowałeś Wren i byłeś przy nas. Ale teraz musisz się trzymać z daleka. Pożegnaj się ze mną.

– Lucille, daj spokój.

– Pożegnaj się.

– Jesteś taka...

– Wiem, melodramatyczna. To jest dramat. Ale i tak chcę, żebyś to powiedział. – Kiwam głową, z każdą sekundą coraz mocniej przekonana, że postępuję słusznie, że robię to, co konieczne. Dla wszystkich. – Bo następnym razem, kiedy się spotkamy, będziemy musieli zachowywać się tak jak przedtem. To musi się skończyć. Chyba też to widzisz, co?

Zaczynam szczekać zębami, Digby próbuje mnie objąć, ale się odsuwam.

– Nic nie kończy się tak po prostu – mówi.

– Nieprawda. Wszystko się kończy.

– A jeśli to jesteś ty? A jeśli popełniam błąd?

– Przestań. – Mam ochotę rzucić mu w twarz same gorzkie słowa, których potem nie mogłabym cofnąć, jak na przykład: „Bądź mężczyzną”, ale powstrzymuję się siłą woli. Za bardzo go kocham. Ten fakt wszystko determinuje. Przez niego jestem słaba. Nie chcę być słaba. Eden powiedziała, że Digby jest dobry. Ja też chcę być dobra. Nieskomplikowana. Normalna, czysta, mieć dwoje miłych rodziców i cudownego chłopaka, z którym nie trzeba się kryć. – Jestem chora, więc dzisiaj nie pojedę do szpitala. Pojadę



jutro po szkole, jeśli tylko lepiej się poczuję. O ile ci to odpowiada.

– Nie chcesz mnie tam zastać? – Wydaje się taki mały i drobny.

– Tak byłoby najlepiej, ale jeśli wybierasz się w tym samym czasie, to nie pójdę.

– Aż do tego doszło. – Potrząsa głową. – Nieprawdopodobne.

– Na jakiś czas. – Klepię go w ramię. – Któregoś dnia znów będziemy przyjaciółmi, kiedy to wszystko zblednie. Przekaż mamie podziękowania, że się nami zajęła. – Ruchem głowy wskazuję swój samochód. – Lepiej zabierz piłkę, żebym jej nie przejechała. Idę po Wren.

Oglądam się za siebie jeden raz. Mam nadzieję, że zapiszę jego obraz, żebym nigdy go nie zapomniała. Wiem, że zobaczę Digby'ego ponownie – pewnie z milion razy – ale to już nie będzie to samo. Stoi oparty o słupek kosza, przygarbiony, patrzy na swoje stopy.

– Pa, Lucille Bennett – mówi, kiedy zamykam drzwi.

Budzi mnie donośne *ratatatatat* od strony schodów, przebija się przez polekową mgłę. Nie widzę Wren. Jestem tak oszołomiona, że schodząc po schodach, muszę trzymać się ściany. Niewiele mam czasu, by się zastanowić, kto to może być. Tata? Nie. Mama? Nie. Może Digby albo Janie?

Przysięgam, że Elaine jest ostatnią osobą, którą spodziewam się zobaczyć na progu. A jednak. Drobna oliwkowa twarz jest spuchnięta i zmieniona, i...

– Która godzina? – pytam.

Elaine ociera oczy.

– Spałaś?

– Jestem chora.

Robi krok w tył, lekko się prostuje.

– Przynajmniej raz nie skłamał – mamrocze.

I już wiem. Widzę wyraźnie.

– Chcesz wejść?

– Nie! – Splata ramiona, przyciska je do granatowego kaszmirowego swetra. – Może. – Rozgląda się. – Zimno.

Zerka na boki. Nawet nie zamierzam się zastanawiać, co widzą jej uprzywilejowane oczka. Nie.

– Jest dopiero dziewiąta. Przepraszam, jeśli cię obudziłam.

– Ty mnie przepraszasz?

– No tak? No tak. – Sięga do torebki po chusteczkę.

A potem wchodzi.

– Mam ochotę na ciebie nawrzeszczyć – mówi drżącym głosem.

– Dawaj. Nawrzeszcz, jeśli chcesz.

Łzy wypływają spod jej powiek i ściekają po policzkach.

Dudni mi w głowie i piersi.

– Sypiasz z nim?

– Nie – odpowiadam. *Gorzej*, myślę.

Chodzi dokoła, dotyka ściany, wilgotnego fragmentu, patrzy mi prosto w oczy. W jej wzroku jest coś twardego.

– Cóż, to chyba dobrze. – Stoi naprzeciw mnie jak lustro. – Kilka minut temu uznałam, że jesteś naprawdę nieszczęśliwą osobą. Szczerze. Digby o wszystkim mi powiedział. Że wasza mama odeszła, nie wiadomo dlaczego. O tacie już wcześniej wiedziałam.

Zdrada. Podałam mu nóż, a on zadał mi cios.

– Powiedział, że jest mu cię żal, że chce pomóc. Pozwoliłam mu. Ufałam mu.

– Cha. – Czuję w ustach smak metalu. – Ja też.

– Jasne, ale ty nie jesteś z nim w związku. On nie jest nic ci winien.

Cios. Podwójny cios.

– Już nic się między nami nie dzieje – mówię. – Jasne?

Elaine jednak nie słucha.

– W przyszłym roku zamierzamy studiować na jednej uczelni. Penn State, jeśli się uda. I – jej głos trochę słabnie, lecz Elaine szybko się opanowuje, przełyka ślinę – od dwóch lat rozmawiamy o ślubie. To znaczy, jak już skończymy studia i tak dalej. I nagle ty się zjawiasz, nie wiadomo skąd. Samotna i bezbronna. Sprawiasz, że on... Mieszasz mu w głowie, to nie fair. On jest przekonany co do szczerości swoich uczuć, ale wiesz co? Założę się, że one w ogóle nie mają z tobą nic wspólnego. Digby zabijałyby się w każdej dziewczynie z bliskiego otoczenia, która miałaby takie kłopoty. Przez chwilę może się pobawić w zbawcę, poczuć wyjątkowo. Potrzebuje pożywki, której mu dostarczasz. Dzięki tobie czuje się wielki. – Dotyka złotego serduszka na szyi. Prezent od Digby’ego? – W dodatku musiałaś uratować jego siostrę.

Ledwo trzymam się na nogach. Elaine przyparła mnie do ściany. Sama nie wiem, czemu nic nie mówię.

– Uważam, że jesteś beznadziejna – oznajmia Elaine. – Było mi cię żal. Cieszyłam się, że Digby ma przyjaciółkę, pozwoliłam mu na tę przyjaźń. A ty

to wykorzystałaś. Oboje to wykorzystaliście. Jesteś nieszczęśliwą osobą, która próbuje pociągnąć za sobą w dół inną osobę, a Digby jest tak niedojrzały, że na to poleciał. – Elaine jest kilka centymetrów niższa ode mnie, ale wydaje się nade mną górować, niczym Amazonka potrząsająca łukiem i kołczanem tuż przed moją twarzą. – Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że to, co was łączy, jest prawdziwe. Powiedz, że Digby czułby to samo, gdybyś była normalną osobą.

Ze wszystkich sił próbuję znaleźć słowa, lecz jestem zamrożona.

– Nie masz mi nic do powiedzenia?

– Masz rację – wyduszam z siebie. – Przepraszam. Sprawa zamknięta, jasne?

W moim wnętrzu coś rozrywa się na strzępy, nie chcę, by to zauważyła.

Mięknie.

– Was dwoje, to zwykła fantazja. To nie jest prawdziwe. Ani trochę.

Tego nie puszczę.

– Wydawało się prawdziwe – mówię. – Wydawało się jedyną prawdziwą rzeczą na świecie. Ale jest mi bardzo, bardzo przykro, że zakochałam się w twoim chłopaku. – Bo jeśli mam powiedzieć prawdę, tak właśnie było.

– Zraniłaś mnie. Może nic cię to nie obchodzi, może nic dla ciebie nie znaczę, ale jego też zraniłaś. – Wyciąga z torebki kluczyki. – Więcej tego nie rób.

## *Dzień czwarty*

**N**astępnego ranka biorę się w garść i idę do szkoły. Wren też wygląda lepiej, pakuję ją do samochodu, obiecując popołudniowe zakupy. Nie mogę dłużej patrzeć na te złachane szmaty, które po mnie donasza. Muszę od czegoś zacząć. Kiedy wszystko się wali i zmienia w jeden wielki chaos, porządki trzeba zacząć od samego dołu. Co zrobiłaby Eden, gdybyśmy spotkały się dzisiaj nad rzeką? Prócz mówienia mądrych rzeczy. Ułożyłaby listę, spojrzałaby na wszystko trzeźwym okiem.

Jeśli szybko nie wezmę się w garść, zaczną się kłopoty w szkole, pociąg się rozpędzi i już nie uniknę katastrofy. Upijam kawę na wynos i robię w myślach rachunek strat.

Oto fakty:

Fred wie.

Janie coś wie.

Digby wie.

Elaine wie, czyli jej znajomi pewnie też.

Eden wie, ale nie stanowi bezpośredniego zagrożenia.

Kolejne fakty:

Straciłam Digby'ego.

Moja najlepsza przyjaciółka leży w śpiączce.

Mój tata to straszny egoista.

Moja mama jest zagubiona i nie radzi sobie z życiem.

Ale...

Mam ten dom.

Ktoś nade mną czuwa.

Mam pracę.

Mam siostrę.

Mam fatalne oceny, ale je poprawię.

Uratowałam Eden od utonięcia. Dam radę.

Szkoła jest jak pole minowe. Obok mojej szafki surrealistyczna świątynia Eden. Nagle, do tej pory nieobecna, Elaine jest dosłownie wszędzie, przesyła mi wściekłe lodowate spojrzenia. Chowam się w łazience, próbuję dojść, jak to możliwe, że przed tak długi czas istniałyśmy w światach równoległych. A teraz ją sklonowali, Multi-Elaine zaraz mnie dopadnie.

W czasie długiej przerwy siedzę na zewnątrz. Na lekcjach uważam.

*Wytrzymaj. Dotrwaj do końca tego dnia. Kolejnymi będziesz się martwić później.*

Mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

Po kolei. Najpierw siostra. Kupię jej nowe ubrania i zawiozę na spotkanie z tatą.

Są daleko, wybrali się na spacer, na który ja nie byłam w stanie pójść, Wren ma na sobie nowe błyszczące ciuchy w stylu Melanie. Opowiada tacie o wszystkim. Jestem o tym przekonana. Widzę, jak się nad nią pochyla, kładzie ręce na jej ramionach.

Czytałam kiedyś, że dzieci bite, maltretowane czy wykorzystywane w najgorszy możliwy sposób – kiedy zabierze się je z domu, chcą tam jak najszybciej wrócić. Tęsknią za tym, co znają. Chcą wybaczyć. Pragną tego z całej siły. Brakuje im mechanizmów obronnych, które pozwoliłyby dostrzec, że zostały skrzywdzone. W pewnym sensie wydaje się to chore, ale jednocześnie jest w tym coś czystego i pięknego. Coś, co tracimy, dorastając.

A tata. Teraz wiemy, że może stracić kontrolę, bo tak się stało, i jego obraz w moich oczach chyba na zawsze się zmienił, ale przynajmniej w przypadku Wren jest inaczej. Nie ucieka przed jego dotykiem, raczej garnie się do niego, a on rozpromienia się wtedy i uśmiecha. Chyba właśnie tego potrzebował.

– Chcesz kawy? – Carlos podaje mi styropianowy kubek.

– Dziękuję. Masz rozrywkową pracę.

– Powiem ci coś. Twój tata się z tego wygrzebie. Zobaczysz. Wróci do normalnego życia. Jest mocny.

– Jak skała.

– Aha – mówi Carlos. – Musisz obniżyć oczekiwania. Nikt nie jest jak skała. Ten gość – wskazuje w stronę ojca kwadratowym podbródkiem – zbyt długo udawał, że jest skałą. Już wie, że nie należy tego robić. – Walkie-talkie

brzęczy dwa razy. – Muszę lecieć. Mam nadzieję, że kawa będzie smakowała.

Tata wciąż zachowuje się niepewnie w mojej obecności, pociąga za rękawy, chwieje się, niemal opiera na Wren, jakby bez niej nie potrafił utrzymać się na nogach.

– Poradzicie sobie do czasu, aż stąd wyjdę? – pyta. – Wytrzymacie w tym domu?

– Damy sobie radę – odpowiadam.

– Myślałem, że mama z wami jest. Że najlepiej, jeśli będę się trzymał z daleka.

– No tak. – Przez cały czas odciskałam na brzegu kubka ślady zębów, już prawie dokończyłam szlaczek, a on mi przerwał.

– Spróbuję wysłać wam trochę pieniędzy, dobrze?

– Tato...

– Pozwól mi. – Teraz patrzy mi prosto w oczy. W gofrowanej koszulce widocznej spod fartucha zieją dziury, jak w jego wszystkich koszulkach.

– Pożegnaj się z tatą – mówię do Wren. – Musimy już iść. Przed nami jeszcze jeden przystanek.

Jego dłoń na moim ramieniu.

– Przykro mi, Tigerlily. Z powodu Eden. Ale jestem z ciebie dumny. Postąpiłaś jak należy. – Nie spodziewałam się, że mogę tak zareagować, ale jego słowa niemal odebrały mi oddech. – Poważnie – dodaje. – Jesteś prawdziwą wojowniczką. Może wszyscy trochę za bardzo się na tobie wspieramy, bo wiemy, że dasz radę. Nie powinniśmy tak robić. Kiedy stąd wyjdę, to na pewno się zmieni.

– Wszystko w porządku – mówię. – Chodź, Wrenny.

Tata odprowadza nas do drzwi.

– Robię wszystko, tak jak mówiłaś. Chodzę na terapię. A w przyszłym tygodniu nawet zaczynam pracę.

– To dobrze, tato. Naprawdę.

Znów kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Wiesz, o czym ostatnio myślę?

– No?

– O oceanie. O Pacyfiku. Jakie to uczucie, serfować, ślizgać się po falach. Kiedyś byłem naprawdę dobry. Chciałbym do tego wrócić. Zastanów się. Może pojedziemy, jak stąd wyjdę. Można tam przyjemnie żyć.

– Może. Tak czy inaczej, to na pewno bardzo miłe rozważania. Cieszę się, że myślisz o takich przyjemnych sprawach.

– Taak. Ja też. Jestem bliski celu, Tigerlily. Rozumiesz?

Tata ściska Wren tak mocno, że jej stopy odrywają się od ziemi, a potem Kwiecista Kierowniczką otwiera drzwi i wypuszcza nas prosto w noc.

– Gniewasz się, że mu powiedziałam? – pyta Wren, kiedy czekamy, aż samochód się nagrzej.

– Nieee. Nie zawiozłabym cię tam, gdybym zakładała, że nic nie powiesz. – Zdejmuję rękawiczki, przykładam rękę do kratki nawiewu. Wren robi to samo, nasze najmniejsze palce niemal się stykają. – Ostatnio sporo myślałam o sekretach.

– I? – Wygląda kilka lat starzej.

– Sekrety nie są dobre. Chyba każdy ma jakiś sekret albo po prostu sprawy, którymi nie chce z nikim się dzielić, o których nie jest gotowy opowiadać. Niektóre sprawy są wyjątkowe, dopóki są prywatne. Ale są też sprawy, które gniją, jeśli się o nich nie mówi i gdybym poprosiła cię o zachowanie milczenia, nawet w słusznym celu... myślę, że to nie wyszłoby ci na dobre. – Obracam się, opieram kolano o deskę rozdzielczą.

– Okej. To mogę ci coś powiedzieć?

– Wszystko, co chcesz.

– Chciałabym zaprosić Melanie.

Ku swojemu zaskoczeniu zaczynam się śmiać.

– Ależ oczywiście. – Nigdy nie zaprasza koleżanek, tylko odrabia lekcje, a dla rozrywki ogląda telewizję. Starczy. To już przeszłość. – W każdej chwili. Nawet jutro, jeśli chcesz. Poradzimy sobie. Wierzysz mi?

Wszystko zależy od jej odpowiedzi. Jeśli ona wierzy, to ja też.

– Tak – mówi Wren. – Bo ty tak mówisz.

Po drodze zajeżdżamy pod szpital. Zaglądam przez małe okienko, Janie czyta Eden książkę na Kindle'u. Digby'ego nie ma. Doskonale. Prowadzę Wren do automatu z napojami, kupuję gorące kakao i każę jej zaczekać na korytarzu. Kiedy wchodzi do pokoju, kochana Rita bierze Wren za rękę.

– Cześć. – Staram się zrobić łagodne wejście, ale Kindle i tak podskakuje.

– Wiersze – mówi Janie. – Nie wiem, czy coś pomogą.

– Na pewno. – Patrzę na jej mizerną twarz. – Pewnie jesteś wykończona.

– Usiądziesz? – Podsuwa mi stojące obok krzesło.

Siadam i mówię:

– Zaraz muszę iść. Wren czeka na korytarzu. Ale chciałabym porozmawiać z tobą o mojej matce.

Na ganku stoi koszyk z muffinkami.

– Dzięki! – wrzeszczę w ciemność.

Mam nadzieję, że ten ktoś mnie słyszy.

Wchodzimy do środka. Znoszę z góry odtwarzacz CD, włączam do kontaktu i zaczynamy imprezę, bo, jak powiada Wren, czasem po prostu trzeba wszystko z siebie wytańczyć.



## *Dzień piąty*

**N**astępnego dnia długo zwlekamy się z łóżka, snujemy się po domu. Pakuję nas w zimowe ciuchy, ale wciąż się nie spieszymy. Nie ma sensu, już i tak jesteśmy spóźnione. Idziemy do szkoły ścieżką wzdłuż rzeki. Nie byłam tu od wypadku. Idziemy wolnym krokiem. Wren jest za duża, by chodzić za rękę, a jednak chwyta moją dłoń, mocno.

– Pomyślałam, że skoro nie musisz dzisiaj pracować, to może zrobimy piccatę z kurczaka. Ostatnim razem anioł przyniósł nam kapary, a Giada ma świetny przepis.

– Okej. – Chciałabym powiedzieć znacznie więcej, coś o poczuciu dumy i o strachu, ale ostatnio było tego strasznie dużo.

Nasze stopy zapadają się w świeżym śniegu.

– Czasem dobrze jest się spóźnić – mówię.

– Aha. – Wren ściska moją dłoń, nie tylko dlatego, że cieszy ją wspólny spacer, lecz również dlatego, że jesteśmy w miejscu, gdzie chętnie bym skręciła, odnalazła wagon i kamień. Ściskam dłoń Wren, mocno, dalej idziemy w milczeniu, słysząc, jak ptaki urzędują w nagich koronach drzew.

Nie wiem, co się stało z samochodem, w każdym razie nie chce zapalić. Nie jest to raczej żadna wielka tragedia, lecz fakt, że nie mam telefonu i w dodatku nawet nie wiem, do kogo miałabym zadzwonić, okazuje się ponad moje siły. Ciężko siadam na ganku, Wren obok mnie. Opieram głowę na jej ramieniu. Jest lodowato, ale nie mam siły wejść do środka.

Czasem ludzie określają płacz jako przetaczające się po nich fale. Do tej chwili tego nie rozumiałam. Uderza we mnie pierwsza fala, a ja próbuję nie stracić równowagi, walczę. Oczy napełniają się łzami, próbuję nie dopuścić do ich zwycięstwa. Jednak zwyciężają, a ja się poddaję. Płyną niepowstrzymanym strumieniem, próbuję złapać oddech, duszę się i tonę, i zanoszę się łkaniem, które wstrząsa całym moim ciałem, całkowicie poza

kontrolą. Wren obejmuje mnie z całych sił. Jestem na ulicy, kompletnie straciłam panowanie nad sobą, kolejne fale nadchodzą jedna po drugiej, ledwo zdążę się wynurzyć, a już zalewa mnie kolejna. Tonę. To musi być właśnie takie uczucie. Ale czuję, że coś, co tkwiło uwięzione w moim wnętrzu, odchodzi, zostawia przestrzeń. Nagle fale ustają. Akurat w momencie, kiedy już myślałam, że nigdy nie ustaną. Równie szybko i gwałtownie jak się pojawiły. Jestem pusta.

Fala zabrała coś ze sobą.

– Kocham cię – mówię do Wren. – Serio.

– Lepiej pomyślmy, jak dojechać do szpitala. Bo musimy wcześniej wrócić, jeśli mam wieczorem zrobić coś do jedzenia.

– Ja was zawiozę – słyszymy głos pani Albertson za plecami.

Pani A chce zaczekać i odwieźć nas z powrotem do domu, ale uspokajam ją, że sobie poradzimy, Janie i John na pewno nas podrzucą. Wsiadamy, ruszamy przez topniejący śnieg, wchodzimy do środka i brniemy przez kolejne korytarze.

W pokoju Eden siedzą Digby, Janie i John, Digby samotnie w nogach łóżka, oni na krzesłach. Dostrzegają nas zaledwie po ułamku sekundy, ale to wystarczy, żeby się dowiedzieć, jak wygląda rodzina, kiedy zostaje sama i nikt nie patrzy.

Wyglądają na szczęśliwych.

Janie zrywa się z miejsca.

– Lucille! – mówi, obejmuje Wren, kładzie rękę na jej czole. – Już myślałam, że dzisiaj nie dotrzesz.

– Przepraszam. Samochód nie chciał zapalić.

– Pani Albertson nas podwiozła.

Janie tężeje, ale zaraz znowu mięknie.

– Przykro mi. Mogłaś zadzwonić.

Ze wszystkich sił próbuję nie patrzeć na Digby'ego i nie zastanawiać się, gdzie jest Elaine. Eden jest niesamowicie blada. Niknie.

– Nic?

– Jeszcze nie – mówi John. Wszyscy milczą, John wodzi wzrokiem po naszych twarzach. Potem, jakby to wszystko było ponad jego siły, podnosi się z krzesła. – Żołądek wie swoje i nie przejmuje się sytuacjami kryzysowymi. Idę zjeść jakieś szpitalne paskudztwo. Ktoś coś chce?

- Pójdę z tobą – mówi Janie.
- Naprawdę? – John ma zszokowaną minę.
- Tak. I zabieramy Wren.

Niezbyt subtelna. Nasza wczorajsza rozmowa przybrała dziwny obrót. Powiedziałam jej więcej, niż zamierzałam.

– Okej – mówi Wren z wyraźnym wahaniem – ale mam plany kulinarne na dzisiejszy wieczór, nie chciałabym popsuć sobie apetytu.

– To może gorąca czekolada? – proponuje Janie. – I opowiesz mi o tych planach.

– No dobrze, chodźmy, moje panie. – John wodzi wzrokiem ode mnie do Digby’ego, jakby próbował poskładać fragmenty układanki w całość. – Może raczysz wyjaśnić, co tu się dzieje – mówi do Janie.

Chciałabym zerwać z siebie skórę i wpełznąć do środka, nic nie widzieć, zniknąć w sobie i nigdy nie wrócić. Chciałabym podbiec do Digby’ego i rzucić mu się w ramiona, jak jedna z tych dziewczyn w typie kowbojki w ostatniej scenie komedii romantycznej. Chcę zachodu słońca i wierzchowca. Albo dwóch, a on chwytając mnie w ramiona i obraca dokoła. Pierwsza opcja wydaje się bardziej realistyczna, lecz obie są niemożliwe, więc mocno ściskam metalową poręcz przy łóżku, żeby nie stracić równowagi. Siedzę w łodzi, która buja się i niebezpiecznie skrzypi. Nie umiem chodzić po rozkołysanym pokładzie.

Bardziej czuję, niż widzę, że się do mnie zbliża.

Bardziej czuję, niż widzę, jak kładzie dłoń obok mojej dłoni.

Bardziej czuję, niż widzę, jak jego palce splatają się z moimi palcami. Nie zabiera ręki.

– Elaine? – pytam.

Potrząsa głową.

A potem mnie całuje. Inaczej niż dotychczas. Nie tak, jakby od tego zależało jego życie. Nie tak, jakby coś wykładał. Tylko jakby brał. I dawał.

I dawał za wygraną.

Eden wciąż leży pogrążona w śpiączce. Nie rozbrzmiały fanfary. Nie ogłoszono cudownego wyzdrowienia. Nikogo nie zawołała po imieniu. Po prostu leży. Nie dzieje się nic, prócz tego, że Digby odwozi nas do domu.

Nawet na chwilę nie puszcza mojej ręki. Nawet kiedy jego rodzice wracają

do pokoju. Nawet kiedy idziemy do samochodu, nawet kiedy zmienia biegi. Coś jednak się wydarzyło.

Digby trzyma mnie za rękę.

Widok, który wita nas po powrocie do domu, sprawia, że cierpnę z przerażenia. W pierwszej chwili wygląda to tak, jakby jakieś cieniste istoty odprawiały cudaczny rytuał wokół mojego samochodu, ale po chwili dostrzegam w świetle reflektorów, że to pani Albertson, Andrew i Palacz stoją nad otwartą maską.

Digby puszcza moją rękę.

– Co to jest?

– Nie mam pojęcia.

– Anioły! Anioły! – Wren spontanicznie podskakuje na fotelu. – To nasze anioły!

– O rety – mówi Digby – ona chyba ma rację.

– Trzeba wymienić akumulator – informuje Palacz. Jest tak chudy, że kiedy staje bokiem, to praktycznie znika.

Próbuję dojść, co tu się dzieje, i stwierdzam, że to niemożliwe, to nie może być prawda. Szybciej uwierzyłabym we wróżki, skrzaty, gremliny. Dlaczego?

– Jutro przyniosę – ciągnie Palacz. – Powinno zająć góra dziesięć minut. Drobiazg.

– Powiedz „dziękuję” – szepcze Digby.

– Dziękuję – mamrocę.

Andrew ma skonsternowaną minę.

– Droga pani Albertson, twierdziła pani chyba, że późno wrócę.

– Nie wiedziałam.

– Pani braki w dziedzinie talentów nieodzownych każdej dobrej wróżce są doprawdy oburzające – mówi Andrew. – Jeśli znów wykaże się pani taką nieostrożnością, będę zmuszony odebrać pani czarodziejską różdżkę.

Pani Albertson chichocze.

Palacz wygładza kurtkę i wywraca oczami, wyjmując pręt podpierający maskę, zamyka ją.

– Chyba na dzisiaj koniec – oznajmia.

– Karl, wracaj! – woła Andrew. Jego czarny kaszmirowy płaszcz jest starannie wyszczotkowany. Dostrzegam ten fakt mimo ciemności, mimo

wysiłków mojego umysłu skierowanych na uświadomienie sobie prawdy.

Palacz, jak się okazało noszący imię Karl, obraca się na pięcie, wydając poirytowany syk.

– O co chodzi? – pyta Digby, chuchając w dłonie. – Tworzycie dobroczynną straż obywatelską, czy coś w tym stylu?

– Zauważyliśmy, że ktoś potrzebuje pomocy – odpowiada pani Albertson.

– Jesteście wspaniali. – Wren ujmuje dłoń pani Albertson. – Jest pani niesamowitą osobą.

Znajduję się w świecie alternatywnym, gdzie ludzie są mili i czynią dobro tak po prostu. Nie wiem, gdzie się podziały moje stopy.

– Karl przyjaźni się z waszą mamą – tłumaczy Andrew.

– „Przyjaźni” to chyba słowo na wyrost. Kiedyś mi pomogła – mówi Palacz, cichym schrypniętym głosem, jakby rzadko używanym. – Staram się pamiętać.

Boję się zadać to pytanie, ale muszę.

– Wie pan, gdzie ona jest?

– Niestety.

– Kiedy wróci? – naciskam.

Potrząsa głową, a ja porzucam chwilową nadzieję, że tylko ją kryją, a tak naprawdę wiedzą, że właśnie jest w drodze do domu.

– Chciałabyś, żeby wróciła? Przyjmiesz ją z powrotem? – pyta Karl.

Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Czy chciałabym, żeby wróciła? Czy chcę, żeby tata wrócił? Nie wiem.

– Czemu zadajesz dziewczynie takie pytania? – warczy pani Albertson.

Nagle wyobrażam ich sobie w naszym domu, w sklepie, jak się kłóca, co kupić. Doniczki z kwiatami to pewnie pomysł Andrew. Palacz skosił trawnik. Pani A pewnie posprzątała i upiekła muffinki. Nagle coś do mnie dociera.

Nigdy nie miałam żadnych sekretów. W każdym razie takich prawdziwych.

– Czemu milczeliście? – pytam. – Nikomu nie powiedzieliście, nie donieśliście na nas? Dlaczego to wszystko robicie?

Pani Albertson mówi:

– Większość mieszkańców tego miasta znała waszą mamę i ciocię Jan w jakimś okresie swojego życia. O rany, pamiętam, kiedy były małe, mieszkałam wtedy na końcu ulicy, w wielkim domu. Często wpadały z wizytą. Staramy się dbać o naszych bliskich. A wy, dziewczynki, do nich należycie.

– To, co was spotkało, kiedyś również je dotknęło – dodaje Palacz. – Rozumiecie?

Tak. Ciocia Jan wychowywała mamę. One też nie miały rodziców.

– Nie chcieliśmy, żebyście czuły się opuszczone – mówi pani Albertson. – Bo nie jesteście.

– A poza tym nieźle się bawiliśmy – stwierdza Andrew.

– Ale skoro już rozmawiamy – dodaje pani Albertson – może najlepiej byłoby kogoś powiadomić, co tu się dzieje. Myśleliśmy, że wasza mama wkrótce wróci, ale to już trwa stanowczo za długo.

– Przestań. Przestań – protestuje Karl. – Już to omawialiśmy.

– Karl nie ma zbyt dobrego zdania na temat ludzkości – mówi Andrew, bębniąc palcami o dach samochodu. – Chodźmy do środka – dodaje po chwili. – Mam pomysł.

Digby całuje czubek mojej głowy.

– Zajmę się Wren.

A Wren podbiega do Palacza Karla, obejmuje go i ściska strasznie długo. Karl ma minę, jakby chciał się rzucić do ucieczki.

– Już dobrze, dobrze – mruczy, uwalniając się z ramion Wren. – Już starczy. Już. – Wzdycha. – Mówiłem, kobieto – zwraca się do pani Albertson – pewne rzeczy powinny pozostać tajemnicą.

Dziwne, jak dom się zmienił. Wydaje się teraz w jakimś sensie pełniejszy. Digby jedzie z powrotem do szpitala. Czuję się, jakby mnie też ktoś wymienił akumulator, nie mogę usiedzieć w miejscu. Mam chęć namalować pierdylion obrazów i zrobić generalne porządki.

Kurczak skwierczy na patelni, makaron już gotowy. Jemy kolację, prawie się nie odzywamy. Kurczak jest pyszny, chrupiący, delikatny i maślany. Pewnego dnia Wren zostanie gwiazdą gotowania, przysięgam. Zaraz po kolacji zwija się na kanapie i zasypia, a ja łażę po domu, jakbym szukała u niego odpowiedzi, co teraz. Co mam ze sobą zrobić do czasu, aż wróci Digby, aż się dowiemy, co z Eden, aż wszystko wreszcie się wyjaśni.

Jeden obraz, nawet pierdylion obrazów, nie wystarczy. Nie dzisiejszej nocy. Potrzeba czegoś więcej. Dlatego maluję niebo w pokoju Wren. Robię to dla niej. Robię to dla mamy. I dla taty. Nawet dla cioci Jan, która zachorowała na piersi i zmarła stanowczo zbyt wcześnie, i do której jestem taka podobna. Przede wszystkim jednak robię to dla siebie samej.

Zdumiewające, jak doskonale pędzel leży w mojej dłoni. Dokładnie tak jak

trzeba, jakby wskoczył na swoje miejsce, fragment mojego ciała, z którego braku nie zdawałam sobie sprawy. Błękit, stopniowo pokrywający plamy, działa kojąco.

Wiem, że rano będę potwornie zmęczona, lecz teraz czuję wolność. Starannie wykańczam wszystkie linie i szczegóły i nawet trochę tańczę. Zdejmuję dzinsy mamy, zostaję w samej bieliźnie i koszulce na ramiączka. I zamalowuję wszystko dokoła na niebiesko, cały świat, pokrywam błękitem wszystkie plamy i brudy, które paskudzą nasze ściany, trzęsę tyłkiem do muzyki płynącej przez słuchawki, nawet nucę pod nosem.

A kiedy wszystko już jest niebieskie, biorę białą farbę i maluję okna, zamalowuję poźółkłe framugi. Nie spieszę się, starannie pokrywam każdą szparę, każdy róg. Niesamowite, co potrafi zdziałać farba, jak wszystko zmienia.

## *Dzień siódmy*

Słońce wstaje. Czeka mnie mnóstwo spraw do załatwienia, mnóstwo pytań, na które nie znam odpowiedzi, i mnóstwo prób ich odnalezienia, lecz w tym momencie siedzę pośrodku pokoju i myślę tylko o tym, że udało mi się zrobić coś tak ładnego z czegoś tak brzydkiego. Tak jak udało się to Andrew, pani Albertson i Palaczowi.

Chciałabym lepiej zrozumieć swoją matkę, myślę, chowając do szuflad wszystkie ubrania, które pożyczałam od niej przez kilka ostatnich miesięcy. Staram się zachowywać jak najciszej, żeby nie zbudzić Wren. Chciałabym wiedzieć, co sprawia, że ktoś postępuje tak jak nasza matka. Może ma to coś wspólnego z faktem, że jej rodzice zmarli, kiedy była bardzo mała. Oboje moich rodziców jest sierotami. Niesamowite.

Może mama odeszła, bo sama dorastała pod opieką siostry i wiedziała, że sobie poradzę do powrotu taty. Może uznała, że razem są jak trucizna, że będzie nam lepiej tylko z nim, a może jednak kiedyś wróci, a cała ta historia zmieni się w odległy szary moment w przeszłości.

W przypadku niektórych osób, na przykład Janie, dzieci to coś, co ich trzyma mocno na ziemi, dla innych ludzi tę funkcję pełni praca. Może dla mamy takim elementem był tata i bez niego po prostu odleciała. Liczba 1031, dzień, w którym go poznała, to chyba był jej klucz do wszystkiego. Może próbowała stworzyć wspólnie z nim rodzinę wbrew wszelkim przesłankom, może usiłowała stworzyć coś, za czym zawsze tęskniła, i kiedy się nie udało, rozpadła się na kawałki.

A może nie myślała w ogóle. Możliwe, że po prostu nie wytrzymała i tyle, nie ma co doszukiwać się głębszych przyczyn. Wieszam w szafie jej spódnicę, tę, którą miałam na sobie w czasie wycieczki do Filadelfii. Zbieram się na odwagę i wchodzę do swojego pokoju. Wygląda jak miejsce, w którym nigdy nie mieszkałam. Zasłane łóżko. Zdjęcia, na których jestem z Eden.



Zdjęcia, na których jestem z rodziną, wetknięte za ramę lustra na toalecie. Jest tu chłodno i cicho.

Wygląda jak pokój normalnej dziewczyny, ale ja wiem, co się kryje w moim wnętrzu. Jestem ziejącym ogniem potworem, nigdy się nie waham. Naprawdę wskoczyłam do lodowatej rzeki i wyciągnęłam Eden. Nigdy nie zostawię Wren , a jeśli tata wróci i znów dostanie szału, to spalę go swoim smoczym płomieniem.

Zamierzam trzymać się ziemi, ponieważ to potrafię. I wiem, że istnieje mnóstwo rąk, które mnie złapią, jeśli zacznę spadać. Eden jednak myliła się w niektórych kwestiach. Na przykład, co do mnie i Digby'ego. Chcę wierzyć, że o tym wiedziała, że jej dusza przez chwilę fruwała dokoła i tamtej nocy, kiedy nas odwiedziła, próbowała powiedzieć mi za pomocą uśmiechu, że czeka mnie wiele dobrych rzeczy, że wkrótce otworzę oczy i wszystko zobaczę. A jeśli jednak nie, jeśli Digby nie będzie chciał więcej trzymać mnie za rękę i rozpadnę się na kawałki, to poskładam się z powrotem. Jaki sens ma życie, jeśli nie jesteś gotów walczyć o prawdę swego serca, nawet ryzykując zranieniem?

Buntuj się.

Leżę w łóżku pod kołdrą i próbuję zasnąć.

Ale jednak strasznie brakuje mi mamy. Jestem gotowa przyjąć ją z powrotem, chcę jej wybaczyć. Czuję jej gładką dłoń na twarzy, na policzku, a moje ciało robi się lekkie.

Pamiętam jak mawiała: *Masz serce bohatera. Skip-to-My-Lou.*

## *Dzień szósty*

**O**d tamtej nocy minął prawie tydzień. Wydaje się, że cała wieczność.

Budzi mnie zapach śniadania. Wren stoi przy kuchence. Zrobiła przetasowanie w szafkach, poustawiała filiżanki w miejscu talerzy, zioła i przyprawy umieściła tak, żeby były pod ręką. Cały chaos i przypadkowość charakterystyczne dla mamy za sprawą Wren zmieniły się w przejrzysty porządek. Jest naprawdę... skuteczna.

Prawie nie spałam, a mimo to czuję się całkowicie przytomna. Może to magia twórczego działania. Słyszałam, że artyści czasem nie śpią po kilka dni z rzędu, kiedy wpadną we flow. Wprawdzie nie malowałam na płótnie, ale była w tym magia. Później pewnie padnę, ale jeszcze nie teraz. Teraz zamierzam się zmierzyć z nadchodzącym dniem.

Podchodzę do komody, z dolnej szuflady wyciągam ogrodniczki, wkładam je na czarną bluzkę z długim rękawem. Myję zęby i twarz. Zerkam w lustro. Widok nie budzi we mnie niechęci. Niebieskie oczy. Popielatoblond włosy. Pełna dolna warga. Niezłe rzęsy. Ja. Nie idealna. Nie najgorsza. Nie jestem mamą. To ja. Czuję się jak ja.

Idę na dół.

– Chcę grzywkę – oznajmia Wren, wprawnym ruchem przerzucając jajko na patelni. – Mogę?

– Jasne. Spytaj Val, gdzie obcina włosy.

Wren wkłada kromkę do tosterka.

– Pomalowałaś mój pokój – mówi, opierając się łokciem na blacie. – Tak jak chciałam.

Czuję, że się uśmiecham.

– Wygląda genialnie. – Na moim talerzu lądują dwa doskonale usmażone jajka i tost.

– Dzięki – mówię.

Wren bierze butelkę z keczupem i pisze na jajkach „kocham cię”.

Nie lubię jajek z keczupem i Wren o tym wie, ale dzisiaj i tak je zjadam, a keczup smakuje podejrzenie słodko.

– Nie chcę już chodzić do Freda. Męczę się tam. Mogę zostawać sama w domu.

Jest zdeterminowana. Widzę po sposobie, w jaki czyści patelnię.

– Muszę o czymś z tobą porozmawiać.

Zakręca wodę.

– Pani A zaproponowała, że będzie cię pilnować, może będzie tu spać do moich urodzin albo do powrotu mamy czy taty. O ile wrócą.

– Na pewno.

– Pewnie masz rację.

Czuję obecność mamy, gdzieś tam daleko. Fale uniosą ją z powrotem, aż pod drzwi naszego domu. Nie oczekuję od niej wsparcia. Jestem za to gotowa złapać ją, jeśli zacznie spadać.

– Tak czy inaczej – podejmuję – pani A będzie głównie u siebie, ale w razie gdyby ktoś przyszedł węszyć, to zobaczy, że mamy opiekę dorosłego. Na przykład gdyby ta pani w szkole pytała. Bo, jak już mówiłyśmy, nie musisz niczego trzymać w sekrecie. – Wren przerywa na krótką chwilę, ale zaraz wraca do pracy. – Pani A czasem będzie spała w pokoju mamy, okej?

– Okej.

– Tak więc ja wracam do swojego pokoju, a ty do swojego. Okej?

– Okej. Myślisz, że ona lubi piec?

Wgryza się w tost, kropla stopionego masła ścieka jej na koszulkę.

I w tym momencie ktoś puka do drzwi. Jedna z dziesięciu potencjalnych osób. Może Palacz przyniósł akumulator. Ale nie. Za drzwiami stoi ktoś inny. Chciałam, żeby to był on.

– Cześć, Digby Jonesie – mówię do pięknej twarzy i biorę go za rękę.

– Cześć, Lucille Bennett. – Jest wzburzony, ma dzikość w oczach, jakby nagle puściły wszystkie tamy.

– Co się stało? – Dopiero siódma trzydzieści. Pociągam go w swoją stronę. – Chcesz wejść?

Nie, nie chce. To ja mam wyjść. Wren też. Natychmiast.

Ponieważ mrugnęła.

Eden mrugnęła.

# Podziękowania

**P**isanie książki (w każdym razie tej) to długa i kręta droga, którą trudno przebyć bez pomocy wielu rąk, bez inspiracji i kreatywności całego miasta czy choćby wsi. Przede wszystkim chcę podziękować mojemu bratu Chrisowi – nie jesteśmy bliźniakami, ale bez ciebie by mnie nie było. Bez zbuntowanych rodziców, bez piątki braci i sióstr, ponad dwadzieścioro kuzynów i licznych wujów (oraz jednej cioci), prawdopodobnie byłabym znacznie lepiej przystosowaną jednostką i nie napisałabym tej książki. Dziękuję wam wszystkim, że jesteście takimi wspaniałymi dzikusami.

Joy Romero, Laine Overley, Shandro vom Dorp i Mindy Laks, moje siostry, przyjaciółki do grobowej deski – czuję się zaszczycona, idąc przez życie w waszym towarzystwie. Niko, Satyu, Kaelin, Ryder, Ruby, Oliver i Brytin – kocham was.

Cory, dziękuję, że nie byłeś zaskoczony. Cieszę się, że to z tobą mam dzieci i dziękuję za wszystkie wspólne lata.

Eliamie, towarzyszu broni, dzięki za wspaniały dzień w Filadelfii i za przyjaźń, która łączy nas od dawna i będzie nadal łączyć. Jesteś cudowny.

Stu McKee, jesteś najfajniejszym kumplem na świecie.

Podziękowania niech przyjmą również: Alex Eagleton, Elena Eagleton, Sarah Eagleton, Dani Kraiem, Robin Eagleton, SJ, Eric Ross, Jill Bailey, Stephenie Payne, Tobias Duncan, Elisa Romero, Jessie Woodall, Amanda Jane, Amber Pinnow, Charly Mabry, Prairie Rose, Jesika Brenna, Zena Hodges, Robert Sandoval, Oliver Charity, David Adjmi, Bonnie Pipkin, Rachel Bell, Anais Rumfelt, Andrew Nowick, Sasha vom Dorp (i cały klan

vom Dorpów), Dora McQuaid, Angelica Robinson, Erin Eagleton, Ted Wiard, Keri i Amy, za całokształt. Każde z was po trochu przyczyniło się do powstania tej książki, czy to za sprawą przypadkowej inspiracji, wspólnych wycieczek czy miłych słów, wina pitego w środku nocy oraz kreatywności i uporczywości, z których mogłam czerpać przykład. Mam niezwykle szczęście, że znam was wszystkich, że istniejecie w moim życiu. Niezła grupa wsparcia!

Dziękuję mamie, że dzięki niej w wieku czternastu lat znalazłam się, protestując z całych sił, w tej pełnej pasji, dzikiej, otwartej, szalonej, nieokiełznanej, utalentowanej, radykalnej i zapierającej dech w piersiach wspólnoty. Taos, w tym mieście bije moje serce, dla tych ludzi. Dziękuję Frederickowi Mullerowi z restauracji „El Meze” za użyczenie imienia i cech szczególnych. Jesteś geniuszem. Przy okazji kulinariów: dziękuję wszystkim w „Taos Pizza Out Back”, że dzielnie zniesli moje piski na wieść o książce i że skakali razem ze mną.

Niczego bym nie osiągnęła, gdyby nie Vermont College of Fine Arts i jego przepastne korytarze jak z Hogwartu. Wszyscy, poczynając od pracowników administracji po mądrych i hojnych wykładowców dali mi dom i wspólnotę piszących, z której mogę czuć tylko dumę. Szczególne podziękowania należą się Sharon Darrow, która mnie przyjęła; April Lucie, która zachęciła mnie, bym nie ustawała w wysiłkach; A.M. Jenkins, która nauczyła mnie rozpoznawać emocjonalne kłamstwa na stronach książki, a także we własnym ciele i we własnym życiu; Martine Leavitt, która nauczyła mnie, że kiedy zostajesz z niczym, nie jesteś skazany na bycie ofiarą, musisz wstać i zbudować wszystko od nowa; i Susan Fletcher, która potrafi dostrzec drobiazgi i jest jedną z najmiłszych osób, jakie znam.

Do mojego nieoficjalnego mentora Matta de la Pena: nigdy nie zapomnę, jak przeczytałam: „I Will Save You” i pomyślałam: „Ja też tak chcę”. A potem zostałam moim przyjacielem, co dowodzi niezłomnie, że magia istnieje. Lauro Ruby, najlepsza pierwsza czytelniczko: to było bardzo szczęśliwe spotkanie i gdybym wierzyła w przypadki – hm, ale nie wierzę. MAGIC IFs: jesteście najfajniejszą na świecie rodziną przyjaciół. Kocham was.

Dziękuję również rodzinie z agencji Folio, w szczególności Emily van

Beek. Emily, jesteś nie tylko najcudowniejszą agentką na świecie, jesteś również najlepszą szefową i świetną przyjaciółką. Nie bałaś się zaryzykować tego skoku razem ze mną i jestem ci za to do zgonnie wdzięczna. Jestem winna gorące podziękowania również Molly Jaffie za pracę na froncie zagranicznym. I wszystkim, którzy również na nim walczyli i sprawili, że ta książka stała się najwspanialszym spełnionym marzeniem. Dziękuję fantastycznej Elizabeth Bewley i całej reszcie z wydawnictwa HMH. Dziękuję, że zaryzykowaliście, daliście mi szansę i za to, że jesteście tacy cudowni. Kiedy tylko zobaczyłam list od was, wiedziałam, że to jest to.

Jestem nieskończenie wdzięczna wszystkim, którzy sięgną po tę książkę, wszystkim, którzy uważają, że czytanie jest ważne, że odkrywanie nowych światów jest warte ich wolnego czasu i którzy zechcieli część tego czasu poświęcić mnie.

Dziękuję moim wspaniałym dzieciom, Lilu i Bodhi, jesteście moim oddechem, miłością mojego życia, dziękuję wam za cierpliwość, miłość i uściski, za to, że jesteście. To wszystko dla was.

Wreszcie dziękuję Chrisowi (nie bratu, innemu Chrisowi). Powiedziałam, że nie potrafię napisać dla ciebie piosenki, więc przynajmniej piszę te słowa. Jak mówicie, ty i Cormac McCarthy, piękno i strata to jedno.

Ale piękno jest górą.